

Naszyjnik

Kobiety Jewellii i
Cheryl Jarvis

Dla naszych rodzin, przyjaciół i wszystkich kobiet, które potrafią wyobrazić sobie to, co możliwe.

Oto my, dzisiejsze kobiety, które korzystają z dobrodziejstw edukacji, pieniędzy, kontroli urodzeń, podróży, Internetu i żyją dłużej niż kiedykolwiek.

Co możemy zrobić i czego dokonamy?

JEAN SHINODA BOLEN

Podziękowania

Pragnę podziękować moim agentom Davidowi Kuhnowi i Lisie Bankoff za współpracę; wydawcy Susan Mercandetti za opracowanie konstrukcji książki; mieszkańcom Ventury za czas, jaki zechcieli mi ofiarować, żebym mogła przeprowadzić z nimi wywiady; Michaelowi Parrishowi za cenne rady; Jane Ferry za uczciwą ocenę i wsparcie; Dinie Pielat za wspaniałe zdjęcia; Marcie Baker za talent redakcyjny i mądrość; a także Abigail Plesser za fantastyczną opiekę nad materiałami podczas procesu produkcji.

Wstęp

Osiemnastego września 2004 roku trzynaście kobiet w Venturze, w stanie Kalifornia, wspólnie kupiło brylantowy naszyjnik. Po kilku miesiącach historią zainteresowały się media. W magazynie „People” ukazał się obszerny artykuł na ten temat. Katie Couric mówiła o właścicielkach naszyjnika w programie „Today”. Potem pojawiły się reportaże w programach „Inside Edition”, „The Early Show” i „Studio Two” w telewizji KCBS w Los Angeles. Studio Fox Searchlight Pictures kupiło prawa do filmu. Grupa była jeszcze w powijakach i relacje pomiędzy jej założycielkami skupiały się głównie na brylantach. Nikt nie wiedział, co przyszłość przyniesie, a już najmniej same właścicielki naszyjnika.

Oto cała historia, opowieść prawdziwa od pierwszego błysku.

Rozdział pierwszy
Jonell McLain, wizjonerka
Wprowadza pomysł w życie

Jonell McLain siedziała przy biurku, patrzyła na otaczające ją sterty papierów i próbowała nie dać im się przytłoczyć. Zastanawiała się, dlaczego nigdy nie udawało jej się uporządkować biurka ani odhaczyć wszystkich czterdziestu pięciu punktów na liście spraw do załatwienia. Czy zawsze było ich czterdzieści pięć? W każdym razie Jonell tak się wydawało. Czowała się jak Syzyf, który bez końca musiał pchać pod górę ten sam kamień. Czasem wydawało jej się, że jedyne, co robi, to przekłada papiery z miejsca na miejsce. Mogłaby przysiąc, że niektóre przełożyła ze sto razy. Jednym z problemów było to, że miała mnóstwo pomysłów i dlatego ciągle dodawała nowe punkty do listy. Co do ich realizacji... cóż, tej umiejętności jeszcze nie posiadała w wystarczającym stopniu.

Dzisiaj jednak na widok listy zadań nie odczuwała takich mdłości jak zwykle. Właśnie zamknęła transakcję sprzedaży domu i czuła przyływ energii właściwy agentom nieruchomości, którzy w końcu otrzymują czek z dużą prowizją. Ten czek był podsumowaniem trzech emocjonalnie wyczerpujących miesięcy ciężkiej pracy. Ludzie kupowali domy w obliczu wielkich życiowych zmian i nic dziwnego, że byli nerwowi. Szokujące ceny na Zachodnim Wybrzeżu wyjątkowo niepokoiły potencjalnych kupców przeprowadzających się do Kalifornii. Praca Jonell był tak stresująca, że po każdej udanej transakcji kobieta fundowała sobie jakąś nagrodę.

Tym razem jeszcze nie wiedziała, co kupi, poszła więc do centrum handlowego po pudełko czekoladek dla swoich

klientów - część koszyka powitalnego, który będzie na nich czekał w nowym domu.

Centrum handlowe Pacific Mall było jedynym tego rodzaju miejscem w Venturze, kalifornijskim nadmorskim miasteczku położonym niecałe sto kilometrów na północ od Los Angeles. Jonell szła szybko przez różowoszare wnętrza, zatrzymując się tylko, żeby zerknąć na wystawę u Van Gundy'ego i Synów, rodzinnego, istniejącego od dziesięcioleci sklepu jubilerskiego. Zwykle rzucała tylko przelotne spojrzenie, jednak tym razem przystanęła i nie mogła oderwać wzroku.

W centrum wystawy, na czarnym aksamicie, lśnił brylantowy naszyjnik. Kilka lat temu, przed jakąś oficjalną imprezą, Jonell bez powodzenia szukała zwykłego naszyjnika z górskich kryształów, i oto leżał przed nią dokładnie taki, jaki sobie wymarzyła. Rozpoznała styl „tenisowej bransoletki” (Cienka, brylantowa bransoletka właśnie od tego wydarzenia wzięła swoją nazwę.), wielokrotnie powielany po tym, jak mistrzyni tenisa Chris Evert zgubiła w 1987 roku na turnieju U.S. Open brylantową bransoletkę i przerwała grę, żeby jej poszukać. Brylanty naszyjnika zostały nawleczone na pojedynczy sznurek aż do samego zapięcia. Środkowy kamień był największy, dwa kamienie obok zapięcia najmniejsze, różnica między sąsiadującymi brylantami minimalna, a efekt zapierał dech w piersi.

Ale Jonell patrzyła na wystawę Van Gundy'ego. Nie było mowy, żeby naszyjnik został zrobiony z kryształów górskich.

Rzadko kiedy nosiła kosztowną biżuterię, chociaż miała jej kilka sztuk: obrączki z brylantami od dwóch mężów, czternastokaratowe złote kolczyki, kosztowne zegarki. Tak luksusowa ozdoba to jednak zupełnie co innego. Hm, pomyślała, ciekawe, jak taka naprawdę kosztowna biżuteria

wygląda z bliska? Jak by się czuła, gdyby nosiła na szyi coś tak pięknego i ekstrawaganckiego?

Wiedziona impulsem, weszła do sklepu.

- Czy mogłabym zobaczyć naszyjnik z wystawy? - zapytała nonszalancko, jakby robiła to codziennie.

Dotknęła delikatnego, złotego łańcuszka, który miała na szyi. Dostała go od swojego chłopaka w 1972 roku razem z wisiorkiem w kształcie pacyfki i znów zaczęła nosić w 2003, kiedy rozpoczęła się wojna z Irakiem. Jonell założyła brylantowe cudo na złoty łańcuszek. Naszyjnik jest po prostu przepiękny, pomyślała, i cudownie prosty.

Głęboko oddetchnęła, a wypuściwszy powietrze, zapytała o cenę.

- Trzydzieści siedem tysięcy dolarów.

Jonell aż zaparło dech w piersi. Jedyne pytanie, jakie przyszło jej do głowy, brzmiało: kto kupuje naszyjnik za trzydzieści siedem tysięcy dolarów?

Popatrzyła w lustro. Myślała o wyborach, jakich dokonała w życiu, przez które nigdy nie będzie mogła sobie pozwolić na taki naszyjnik. Zastanawiała się, jak wyglądałoby jej życie, gdyby wyszła za bogatego mężczyznę albo bardziej zadbała o swoją karierę. Gdyby ciężiej pracowała, może zebrałaby dość pieniędzy, żeby pozwolić sobie na taki luksus. Ostatecznie nie miało to żadnego znaczenia. W świecie, gdzie jest tyle nędzy, pomysł posiadania naszyjnika za trzydzieści siedem tysięcy dolarów był dla Jonell, która przez sześć lat zajmowała się dziećmi z biednych rodzin, po prostu niemoralny. Pograżona w myślach, słyszała jedynie urywki z tego, co mówiła sprzedawczyni: sto osiemnaście diamentów... brylanty... ze złoża w rejonie, w którym nie ma konfliktów zbrojnych... 15,24 karata.

„Piętnaście karatów” brzmiało ostentacyjnie, a Jonell nie lubiła ostentacji. Po raz kolejny oszacowała naszyjnik

wzrokiem. Nie było w nim nawet cienia ostentacji. Brylanty były tak małe, idealne do jej metra pięćdziesięciu pięciu, gdy jednak otaczały szyję, wydawały się solidne. Najbardziej magnetyczny był ich blask. Jonell nigdy nie widziała tak lśniących brylantów.

Zawahała się, zanim zdjęła naszyjnik. Podziwiała go jeszcze przez minutę, po czym odłożyła ozdobę na ladę i podziękowała sprzedawczyni za poświęcony jej czas.

Jonell była zaskoczona tym, jak często w ciągu następnych trzech tygodni myślała o brylantowym naszyjniku. Kiedy poszła do centrum handlowego ze swoją osiemdziesięciosześcioletnią matką, zauważyła, że naszyjnik nadal leży na wystawie.

- Mamo, chcę ci coś pokazać - powiedziała, po czym zaprowadziła matkę do jubilera, tak podekscytowana, jakby znów miała siedem lat i ciągnęła ją na zakup pierwszej lalki Barbie. - Mamo, przymierz go. - Oczy matki pojaśniały, kiedy zatrzasnęła zapięcie.

- Jest piękny - wyszeptała. Potrafiła rozpoznać dobrą jakość i jej zachwyt przekonał Jonell, że naszyjnik był klasyczny, ponadczasowy.

Oderwała wzrok od brylantów lśniących na szyi matki i zerknęła na metkę. Dwadzieścia dwa tysiące dolarów. Na ladzie stało ogłoszenie informujące, że sklep przyjmuje oferty od osób, które chcą wykupić biżuterię z wystawy.

Jonell przypomniała sobie, jak skończyła trzydzieści lat i potrzebowała przerwy. Pracowała w Santa Cruz jako terapeutka zaburzeń mowy i czuła się wypalona, do tego była zmęczona długoletnim związkiem, więc pojechała do Nowego Jorku, gdzie zamieszkała z najlepszą przyjaciółką z ostatniego roku studiów na Uniwersytecie Południowej Kalifornii. Jonell była świadkiem, jak jej współlokatorka myje twarz wodą Perrier. Patrzyła, jak otula się w długie do kostek futro z rysia.

Wtedy właśnie Jonell podsumowała swoje szanse na życie w takim luksusie. Były bliskie zeru. Gdy to sobie uświadomiła, poczuła nie zazdrość, lecz ciekawość. Dlaczego tak niewiele osób mogło sobie pozwolić na luksus? Po pół roku wróciła do rodzinnej Kalifornii, ale to pytanie nie przestawało jej nurtować. Teraz znów je sobie zadała.

Dlaczego, zastanawiała się, możemy stać ramię w ramię i podziwiać kosztowne dzieła sztuki w muzeach, a całe tłumy mogą cieszyć się wspaniałymi krajobrazami w parkach narodowych? Dlaczego w ten sam sposób nie możemy dzielić się dobrami osobistymi?

Wtedy przyszedł jej do głowy pewien pomysł: mogłabym nosić tę luksusową ozdobę, gdybym kupiła ją wspólnie z innymi kobietami, pomyślała. Nikt nie potrzebuje naszyjnika z piętnastokaratowymi brylantami na co dzień. Ale - to był przeważający argument - czyż nie byłoby miło założyć coś takiego od czasu do czasu?

Nie mogę wydać na siebie dwudziestu dwóch tysięcy dolarów, ale tysiąc... Tysiąc dolarów nie byłoby zbyt wygórowaną sumą dla większości moich przyjaciółek... Gdybym przekonała tylko jedenaście kobiet, żeby kupiły go wraz ze mną, mogłabym zaproponować dwanaście tysięcy... Cena już spadła o piętnaście tysięcy. Dlaczego nie miałyby spaść o kolejne dziesięć?

Jonell zaczęła dzwonić do przyjaciółek i koleżanek. Rozmawiała z kobietami z grupy spacerowej i klubu inwestycyjnego. Z kobietami, które spotykała na seminariach, przyjęciach, imprezach charytatywnych. Większość odmawiała. Nie mają czasu. Nie są zainteresowane brylantami. Odpowiedzi fruwały jak pociski: „To recepta na katastrofę. Wszystkie będą się o niego kłócić”. „A po co kupować brylanty? Lepszą okazję znajdę na wyprzedaży”.

„Dwanaście kobiet nigdy się nie dogada”. „Jeśli mam wydać tysiąc dolarów, to na coś, co będę miała tylko dla siebie”.

Nawet jej matka dołożyła swoje trzy grosze:

- Stracisz przez to przyjaciółki.

Niektóre komentarze niepokoiły Jonell, budziły w niej wątpliwości. Niektóre nawet prowadziły do kłótni. Inne ignorowała. Ale wciąż koncentrowała się na osiągnięciu celu. Wróciła do kobiet, które odmówiły. Pytała kolejne. Po dwóch miesiącach zgromadziła siedem. Na razie wystarczy, uznała. Znajdzie resztę, zanim przyjdzie rachunek z karty kredytowej.

W sobotę, dzień wyprzedaży, w sklepie stały się trzy pokolenia mężczyzn z rodziny Van Gundy: Kent Van Gundy (osiemdziesiąt lat), który założył sklep w 1957 roku i był już na emeryturze; Tom Van Gundy (pięćdziesiąt cztery lata), jego syn, który przejął interes po ojcu, oraz Sean (dwadzieścia dziewięć lat), wnuk, obecny kierownik sklepu.

Tom mówi, że nigdy nie zapomni tego dnia. Nie zapomni go również Sean. Te kobiety były inne niż poprzednie klientki Van Gundy. Tak wiele kobiet, które przychodzą do jubilera, jest nieszczęśliwych, mówi Sean. Mają rozbiegane oczy i napięte twarze. Niektóre płaczą. Są samotne i szukają kogoś, z kim mogłyby porozmawiać. W ich życiu czegoś brakuje, więc próbują wypełnić tę pustkę. Te kobiety wbiegły do sklepu z uśmiechem, zaraz po otwarciu, by uprzedzić konkurencyjne oferty. Jonell pokazała naszyjnik czterem kobietom, które przyszły razem z nią - dwóm, które przystały na jej propozycję, i dwóm, które odmówiły, ale nie chciały, żeby ominęła je zabawa. Mary Karrh, o głowę wyższa od Jonell, poczuła się tak oderwana od swego codziennego życia księgowej, że na jej twarzy malował się wyraz osłupienia. Jeśli miała jakiegokolwiek wątpliwości, czy dobrze ulokowała swoje pieniądze, wszystkie rozwiązał widok naszyjnika z brylantami.

- Rety, wygląda oszalamiająco - powiedziała.

- Przymierz go, Mary - namawiała Jonell. Pozostałe kobiety skupiły się wokół Mary, która jeszcze bardziej się wyprostowała. Jej słowa zaskoczyły nawet ją samą:

- Widzę się w tym naszyjniku.

Maggie Hood była typową kalifornijską dziewczyną. Miała blond włosy i jędrne ciało. Chodziła w tę i z powrotem, to podziwiając naszyjnik, to flirtując z przystojnym sprzedawcą.

- Musimy zrobić zdjęcia! - powiedziała Jonell i jedna z kobiet wybiegła ze sklepu, żeby kupić jednorazowy aparat fotograficzny.

Wszystkie po kolei - Jonell, Mary, Maggie, jej dwie przyjaciółki - pozowały do zdjęć w naszyjniku. Wyglądały się i chichotały, oszołomione, że trzy z nich choćby rozważały posiadanie czegoś takiego, nawet jako „wspólnego dobra”. Było jasne, że te podekscytowane kobiety nie kupowały brylantów codziennie. Odnosiły się do naszyjnika ze sporym szacunkiem.

- Jest taki piękny - zachwycaly się.

Powtarzały to bez końca. Mówiły tak, kiedy patrzyły na siebie nawzajem i gdy oglądały swoje odbicia w lustrze. Westchnęły głęboko, kiedy Mary założyła naszyjnik do koszuli bez rękawów i szortów khaki, równie głośno wciągnęły powietrze, gdy Maggie przymierzyła go do koszulki na ramiączkach i džinsów. Jęknęły na widok brylantów w zestawieniu ze złotą pacyfką na szyi Jonell.

- Ten naszyjnik jest taki piękny! - Kobiety wszystkich zarażały swoim entuzjazmem, kiedy śmiały się, szczebiotały i czekały.

W końcu nadeszła pora, żeby Jonell podała Tomowi Van Gundy'emu kopertę. W środku była kartka z zapisaną kwotą i dwunastoma nazwiskami kobiet, przy czterech stały znaki

zapytania. Przekazująca ofertę Jonell emanowała pewnością siebie i uśmiechała się szelmowsko, ale była zdenerwowana. Prosiła jubilera, żeby obciął cenę niemal o połowę. Cieszyła się ze swego doświadczenia w negocjacjach, nabytego przy sprzedaży nieruchomości, ale dobrze wiedziała, że tak niska oferta może zostać odrzucona.

Scena zahipnotyzowała wszystkich Van Gundych. Nigdy nic takiego nie wydarzyło się w ich sklepie. Nie chodziło tylko o gwar. Podczas całego ćwierćwiecza pracy w jubilerstwie Tom Van Gundy nigdy nie widział kobiety, która sama kupowałaby luksusową biżuterię dla siebie. Kobiety jej pragnęły, ale oczekiwały, że to mężczyźni dokonają zakupu.

Tom z trudem oderwał wzrok od rozpromienionych kobiet, żeby zerknąć na ich ofertę. Dwanaście tysięcy dolarów, jęknął w duchu. Sklepy jubilerskie nakładają wysokie marże; nie bez powodu oferują rabaty w wysokości 70 procent. W branży jubilerskiej ważne są zdolności negocjacyjne, a w tym sklepie to właśnie Tom najczęściej negocjował ceny. Jednak w przypadku drogocennych przedmiotów - a naszyjnik był takim właśnie przedmiotem - potrzebował pozwolenia. Nie będzie łatwo je zdobyć. Zachowując pozory spokoju, uprzejmie odpowiedział Jonell, że musi jeszcze coś sprawdzić.

Udał się na zaplecze. Priscilla Van Gundy, jego żona i dyrektor finansowa, siedziała, garbiąc się, nad księgami rachunkowymi, w pełni skupiona, starając się nie zwracać uwagi na hałas. Zazwyczaj pracowała w budynku administracyjnym po drugiej stronie ulicy, lecz tym razem została wciśnięta do małego składziku pomiędzy półki z towarami a biurko, które służyło też jako stół kuchenny.

Słyszając zamieszanie, Priscilla przypuszczała, że chodzi o grupę kobiet, o których rozmawiają sprzedawcy, ale nie

ruszyła się od biurka. Unikała kontaktu z klientami, nie chcąc, żeby negocjacje przybrały osobisty charakter.

- Grupa kobiet prosi o specjalną cenę na naszyjnik z brylantami - rzucił Tom w kierunku gęstwiny kasztanowych włosów, za którymi kryła się twarz jego żony. - Za ile możemy go sprzedać?

Priscilla wystukała na kalkulatorze rzeczywistą cenę naszyjnika, wzięła pod uwagę, od ilu miesięcy był w sklepie i ile musieliby dostać, żeby osiągnąć zysk.

- Osiemnaście tysięcy - odpowiedziała.

Tom był pewien, że kobiety nie przyjmą tej ceny, ale przywykł już do żmudnych negocjacji. Poszedł z powrotem do sklepu, stawić czoło Jonell.

- Za drogo - powiedziała. - Chcemy wydać tylko 1000 dolarów na głowę.

Tom oczekiwał takiej odpowiedzi. Kiwnął głową i wrócił na zaplecze.

- Czy możemy opuścić cenę? - zapytał Priscillę.

Rozszyfrowała go. Po trzydziestu trzech latach małżeństwa umiała odczytywać jego emocje, jakby były arkuszem kalkulacyjnym. Ponownie wystukała cyfry na kalkulatorze.

- Siedemnaście tysięcy - odpowiedziała.

Tom skreślił kwotę dwunastu tysięcy na kartce Jonell, napisał piętnaście tysięcy i pokazał Priscilli.

- Możemy sprzedać za tyle? - zapytał.

- Nie bądź śmieszny.

- To może być z korzyścią dla firmy.

- Jeżeli za tyle sprzedamy, to możemy się pożegnać z firmą.

Nic na to nie powiedział. Priscilla rzekła z naciskiem:

- Nie możemy za tyle sprzedać.

Tom spojrział na żonę. Przypomniawszy sobie, jak bardzo się uspokoił, od kiedy sześć lat temu zaczęła z nim pracować. Żaden dolar nie umknął jej uwagi, była świetna w te klocki. Prosperowali głównie dzięki niej. Co ważniejsze, nikomu innemu tak nie ufał.

Ale dzisiaj to nie miało większego znaczenia. Dzisiaj chciał, żeby była elastyczna.

- Mam przeczucie - powiedział.

- Jeżeli sprzedasz naszyjnik za piętnaście tysięcy, to nic na nim nie zarobimy.

W tym momencie Tom Van Gundy uświadomił sobie, że tym razem może się obejść bez zysku, choćby dlatego, że nie chciał rozczarować aż tylu kobiet. Tak samo się czuł w szkole średniej, kiedy jako rozgrywający na boisku nie chciał rozczarować swoich fanów. Odprawienie z kwitkiem dwunastu kobiet nie wróżyło dobrze firmie. A poza tym w głębi duszy chciał, żeby Priscilla uśmiechnęła się tak jak te kobiety. Tak jak nie uśmiechnęła się, odkąd pół roku temu zmarła jej siostra.

Tu chodziło o coś więcej niż o zysk. Tomowi nasunął się pewien pomysł.

Rzadko kiedy Tom Van Gundy działał bez zgody żony i wiedział, że jeśli będzie jej stawiał opór, to przegra. W myśl zasady, że lepiej błagać o przebaczenie po fakcie, niż prosić o pozwolenie przed faktem, zdecydował, że później zmierzy się z jej złością. Opuścił pokój na zapleczu i przekazał Jonell sumę, którą napisał.

- Sprzedam pani naszyjnik za tę cenę - powiedział. - Zrobię to pod warunkiem, że przyjmie pani moją żonę do waszego grona.

Nie wiedział, jak zareaguje Priscilla - czy zechce się do nich przyłączyć? Wiedział tylko, że nie chce, żeby te kobiety zniknęły z jego życia.

Jonell przyjrzała się przystojnemu, łagodnemu mężczyźnie. Nie miała pojęcia, dlaczego chce, żeby jego żona znalazła się w ich gronie, ani kim ona jest. Nie wiedziała czy polubi ją, ani czy polubią ją kobiety, które namówiła na to przedsięwzięcie. Ale ponieważ jego celem było współdziałanie i wspólnota, nie zawahała się.

- Umowa stoi - powiedziała.

Jonell nie martwiła się żoną Toma. Bardziej martwił ją fakt, że kobiety, które z takim trudem zwerbowała, zniechęcą się, jeśli będą musiały zapłacić jeszcze 200 dolarów. Co wtedy zrobi? Ukryła niepokój pod najbardziej promiennym uśmiechem dnia.

Tom wrócił na zaplecze.

- Sprzedałem naszyjnik za piętnaście tysięcy - powiedział ponownie do pochylonej głowy. - A ty jesteś zaproszona do ich grupy.

Priscilla uniosła głowę.

- O czym ty mówisz?

- O tych kobietach. Znalazłaś się w ich gronie.

Wiedziała, że nie jest zadowolony z ceny, więc darowała sobie kąśliwe uwagi. Może postradał zmysły? Czy zapomniał, że sklep dostaje siedem procent, a sprzedawca - trzy procent prowizji? Ta cena była nawet poniżej kosztów. Jak zwykle to ona była buldogiem, a on golden retrieverem. Zawsze to samo. Sprzeczka nie miała sensu. Klamka zapadła.

- Jak uważasz - powiedziała tylko. Nie było nic więcej do dodania.

Priscilla pozostała w pokoiku na zapleczu. Nie była ciekawa kobiet i nie miała ochoty się do nich przyłączyć. Po co jej naszyjnik, który zawsze mogła pożyczyć? Jeśli jej mąż będzie dokonywał takich transakcji, to zbankrutują. Wróciła więc do ksiąg, by znaleźć sposób na pokrycie dzisiejszych strat.

Tom Van Gundy zobaczył coś, czego nie dostrzegła jego żona. Zobaczył grupę kobiet innych od wszystkich, które poznał w swojej dwudziestosiedmioletniej karierze, kiedy to obsługiwał kobiety, rozmawiał z nimi, i je rozumiał. Poczł ich zbiorową energię. Nieoczekiwaną dostrzegł w niej szansę.

Na tym polegała wizja Jonell. Naszyjnik nie miał być dodatkiem czy dziełem sztuki. Brylanty nie miały świadczyć o statusie, nie miały być inwestycją. Naszyjnik miał być eksperymentem kulturowym, sposobem na skrzyknięcie trzynastu przedsiębiorczych kobiet i sprawdzenie, jaki będzie tego efekt. Czy naszyjnik stanie się większy niż suma jego ogniw? Czy trzynaście głosów zabrzmia silniej niż jeden?

Wiara Jonell została nagrodzona. Zanim trzy tygodnie później dostała rachunek za kartę kredytową, namówiła już ostatnie cztery kobiety. Poza niezadowoloną żoną jubilera były to długoletnie przyjaciółki, nowe przyjaciółki, przyjaciółki przyjaciółek. Miały od pięćdziesięciu do sześćdziesięciu dwóch lat, wszystkie oprócz jednej pochodziły z eklektycznego pokolenia baby boomer (Baby boomer - pokolenie Amerykanów urodzone między 1946 a 1964 rokiem. Pokolenie, które było świadkiem afery Watergate, ruchu hippisowskiego, ruchu wolnościowego Afroamerykanów oraz lądowania na Księżycu.). Niektóre były wiernymi mężatkami od ponad trzydziestu lat, inne miały trzech mężów lub tuziny kochanków. Były bezdzietne, matki czworga dzieci, z pustym gniazdem i z pociechami w Małej Lidze. Samotne randkowniczy i kochające babcie, zagorzałe konserwatystki i zdeklarowane liberałki. Niektóre miały dyplomy uniwersyteckie, inne tylko maturę. Jedne imaly się w życiu kilku zawodów, inne robiły karierę w jednej dziedzinie: w finansach i rolnictwie, medycynie i edukacji, przedsiębiorczości i nieruchomościach, mediach i prawie. Pochodziły z bogatych rodzin lub same zapracowały na to, co

miały. Były katoliczkami lub Żydówkami, feministkami albo tradycjonalistkami, miały włosy blond albo siwe.

Żadna z kobiet nie przystała na propozycję Jonell tylko dlatego, że interesowała ją biżuteria czy brylanty. Żadna nie powiedziała „tak”, bo pragnęła nosić naszyjnik. Niektóre wypisały czek, choć nawet nie widziały go na oczy. Każda kupiła jego część, ponieważ, jak intuicyjnie wyczuł Tom, naszyjnik był symbolem nowych możliwości.

Żadna nie wiedziała, że przez następne trzy lata naszyjnik wywrze na ich życie wpływ, jakiego nigdy nie mogłyby sobie wyobrazić, a co więcej, że stanie się początkiem dyskusji. O materializmie i ostentacyjnej konsumpcji, własności i braku przywiązania do przedmiotów. O tym, co oznacza w dzisiejszych czasach bycie kobietą po pięćdziesiątce, która potencjalnie ma przed sobą następnych trzydzieści do czterdziestu lat życia. O związkach, jakie tworzymy, dziedzictwie, które zostawiamy, o tym, jak najlepiej wykorzystać pozostałe lata życia.

To jest historia naszyjnika, ale nie sznurka kamieni. To opowieść o trzynastu kobietach, które przemieniły symbol elitaryzmu w symbol egalitaryzmu, a tym samym nakreśliły na nowo mapę drugiej połowy swojego życia.

To jest opowieść o transcendencji.

Rozdział drugi

Patti Channer, amatorka zakupów

Pokonuje słabość

Jonell wyszła od Van Gundych z brylantowym naszyjnikiem, modląc się w duchu, żeby pozostałe kobiety przesłały jej czeki. Jednak teraz nie miała czasu się tym martwić. Wieczorem urządzała przyjęcie: musiała jeszcze posprzątać dom, zamieść patio i kupić jedzenie. Nic nie mogło osłabić podniecenia, jakie czuła na myśl o założeniu naszyjnika. O szóstej włożyła czarne, obcisłe spodnie i jedwabny golf w kolorze bakłażana. W kwestii ubrań miała swoją zasadę: prosty krój, najlepsze tkaniny. Ozdobiła szyję brylantami i zapatrzyła się w naszyjnik lśniący na oberżynowym tle.

Dzięki odbiciu w lustrze zdała sobie sprawę, że naszyjnik jest dla niej idealny. Pasował do jej krótkich blond włosów, okularów bez oprawek, delikatnego makijażu, nawet do ciemnoczerwonych tipsów - jedyne odstępstwa od ascetycznego stylu. Dopasowała brylanty do wgłębienia na szyi.

Nie ma wątpliwości, pomyślała, ten naszyjnik jest niesamowity. Chyba go zatrzymam.

Żądza posiadania zniknęła tak szybko, jak się pojawiła, ale Jonell i tak była zdziwiona, że w ogóle ją poczuła.

W następnym tygodniu Jonell napisała pierwszy e - mail do kobiet:

Najwyższa pora, żebyśmy zorganizowały spotkanie naszej wspaniałej grupy. Spotkajmy się we czwartek, jedenastego listopada o szesnastej. Proszę, przygotujcie się do dyskusji o tym, jak nazwiemy naszyjnik, w jaki sposób nim się podzielimy, jak go ubezpieczymy, jakie będziemy stosować zasady i o wszystkim innym, co wyda się wam ciekawe,

związanym z naszyjnikiem lub nie... Zdajecie sobie sprawę, że mamy możliwość zaistnieć nawzajem w swoim życiu aż do końca tej przygody. Nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć, co będzie dalej.

Priscilla Van Gundy przeczytała wiadomość. Zupełnie zapomniała o naszyjniku i transakcji, którą przeprowadził jej mąż, prawdopodobnie wyparła ją z pamięci, ponieważ oznaczała stratę finansową. Rety, pomyślała, kto ma czas na spotkania z grupą kobiet? Odpowiedziała oschle:

Nie dam rady przyjść. Muszę pracować.

Sześć kilometrów od niej Patti Channer przeczytała tę samą wiadomość i poczuła ulgę na widok planu spotkania. Lubiła porządek. Natychmiast odpowiedziała: „Będę” i roześmiała się w głos. Oczywiście, że będzie. Spotkanie miało się odbyć u niej w domu.

No proszę, udało się jej, pomyślała Patti. Wspominała rozmowę sprzed czterech tygodni, kiedy Jonell zwróciła się do niej ze swoją propozycją.

Patti jechała przez centrum Ventury, żeby załatwić kilka spraw i słuchała w radiu audycji „Talk of the Nation”, kiedy zadzwoniła komórka.

- Chcę ci coś zaproponować - powiedziała jak zwykle rozentuzjasmowana Jonell.

Mowa Jonell była szybsza niż dozwolona prędkość na Poli Street. Nie było w tym nic dziwnego. Nigdy przedtem jednak Patti nie słyszała, żeby Jonell była tak podekscytowana rozmową o... o biżuterii? O brylantowym naszyjniku? Patti zaparkowała przy krawężniku, żeby móc się skupić.

- Gdybyśmy obie się zdecydowały i namówiły dziesięć innych...

Im więcej Jonell mówiła, tym mniej Patti rozumiała. Dlaczego Jonell chciała wydać pieniądze na coś, co zawsze uważała za lekkomyślność? Nawet nie odwzorowała biżuterii,

którą jej skradziono z domu. Skwitowała stratę wzruszeniem ramion:

- To były tylko rzeczy - powiedziała.

Kiedy w zeszłym roku pojechały na zakupy do Santa Monica, Patti kupiła skórzano - szydełkową torebkę w kolorze burgunda. Jonell była przerażona:

- Jak możesz wydać pięćset dolarów na torebkę? - spytała.

Patti broniła się, mówiąc, że kupiła dzieło sztuki. Jonell odparowała, że za pięćset dolarów można wykarmić sześcioro ludzi przez miesiąc. Łatwo było zrozumieć, dlaczego tak bardzo różniły się ich poglądy na temat wydawania pieniędzy. Dochody Jonell z agencji nieruchomości nie były regularne, musiała więc ostrożnie planować wydatki. Patti otrzymywała stałą pensję za pomoc w prowadzeniu dentystycznej praktyki męża.

Jonell miała dwoje dzieci, które wspierała finansowo, Patti była bezdietna i niczego nie musiała sobie odmawiać. Sprzeczały się o tę kwestię przez całe dwadzieścia pięć lat przyjaźni.

Tamta wycieczka zakończyła się rozłamem: Jonell zaszyła się w księgarni, a Patti poszła rozważyć zakup szyfonowego poncha, które przypominało motyla.

Patti wróciła myślami do rozmowy po usłyszeniu rozkazu Jonell:

- Musisz go przymierzyć!

- Nie muszę. Wchodzę w to.

- On może nam dać wspaniałe perspektywy.

- W porządku, wchodzę w to.

- Musisz go zobaczyć.

- Dobrze, dobrze, wchodzę w to - powtórzyła po raz trzeci.

Patti nie trzeba było przekonywać. Pomysł był wystarczająco niepodobny do Jonell, by Patti miała pewność,

że chodzi o coś więcej niż zakup biżuterii i bez wątplenia interesującego. Jonell była jedyną kobietą w Venturze, której mogła w ciemno powiedzieć „wchodzę w to”. Nie musiała oglądać naszyjnika.

Następnego dnia Patti stała przed wystawą Van Gundyach. Tak, to cudowny naszyjnik. Muszę przyznać Jonell rację, myślała, pochylając się nad szybą. Ale nie kupiłabym czegoś takiego dla siebie. Wieczorem, przy kolacji, rozmawiała o naszyjniku z Garym, pewnym siebie dentystą, za którego wyszła trzydzieści pięć lat temu. Był szczupły, miał metr osiemdziesiąt dwa wzrostu i na czterdziestym spotkaniu licealnym kobiety ogłosiły go „najprzystojniejszym” i „najlepiej zakonserwowanym”. W jego brązowych, wciąż gęstych lokach, lśniło tylko kilka pasemek siwizny. Po ponad trzydziestu wspólnie spędzonych latach Patti wiedziała, co Gary, dziecko biedy, odpowie:

- Ile to będzie kosztowało?
- Tysiąc dolarów.
- I będziecie się nim dzielić? To się uda?
- Oczywiście, że się uda. Dzięki kobietom wszystko się udaje.
- No cóż, może zbiorę grupę facetów i kupimy sobie ferrari.
- I myślisz, że to się uda?

Gary roześmiał się i Patti zawtórowała mu głębokim, gardłowym śmiechem.

Gary nie do końca wierzył, że kobiety będą potrafiły podzielić się naszyjnikiem, i wyobrażał sobie scenariusz przypominający „Gotowe na wszystko”. Jednak odkrył już dawno, że życie małżeńskie płynęło spokojniej, gdy nie wtrącał się w wydatki Patti. Zarabiała pieniądze i mogła z nimi robić, co chciała. Gary postanowił rozważyć dodatnie

strony sytuacji. Przynajmniej nigdy nie będzie musiał kupować żonie brylantowego naszyjnika, dzięki Bogu.

Na miejsce pierwszego spotkania Patti wybrała swój dom na plaży, przytulny, dwupiętrowy, w kolorach ziemi, udekorowany pejzażami morskimi i muszlami, z sypialnią na strychu i tarasem z sekwoi. Przygotowała sery, francuski brie i irlandzki dubliner, butelki białego i czerwonego wina oraz wodę San Pellegrino. W srebrnym kubku schłodziła butelkę szampana. Rozpaliła ogień w gazowym kominku, zapaliła białe świece na półce nad nim i małe świeczki na stoliku do kawy. Patti potrafiła przyjmować gości. Jednak to było tylko spotkanie, nie kolacja, więc postanowiła być umiarkowanie gościnna. Nie miała pojęcia, co będzie się działo w jej salonie. Miała nadzieję, że spotkanie nie zamieni się w wolnoamerykanke.

O czwartej przyszła Jonell z colą, a za nią pozostałe kobiety z butelkami wina i szampana. Wkrótce scena przypominała tę ze sklepu Van Gundy - tyle że kobiet było trzy razy więcej i wszystkie mówiły naraz. Każda po kolei przymierzała przed lustrem naszyjnik i natychmiast stawała się centrum zainteresowania, a Patti robiła zdjęcia. Niektóre poklepywały brylanty jak kobiety z wyższych sfer z powieści Edith Wharton (Edith Wharton (1862 - 1937) - pisarka amerykańska, pisała o uprzywilejowanych klasach Ameryki.), inne były podniecone niczym nastolatki. Te, które już mierzyły naszyjnik w sklepie, nakładały go znowu, ale z pośpiechem, bo przecież nie w tym celu się spotkały.

Po rytualnym mierzeniu naszyjnika kobiety rozsiadły się na ciemnoszarej, skórzanej kanapie, otomanach i krzesłach, rozstawionych w małym salonie. Jonell zaczęła opowieść, jak gdyby zgromadziły się wokół ogniska na plaży. Mówiła o sobie, o swoim pomysle, ekscytacji i tej wspaniałej grupie kobiet, po czym poprosiła, żeby każda z nich powiedziała coś

o sobie. Nie wiedziała, co myślą, gdy tak słuchały, a jednocześnie zadawały sobie pytanie, co właściwie robią w tym salonie, z tymi kobietami i naszyjnikiem.

Jedenaście kobiet - dwie nie mogły przyjść - wszystkie białe. Osiem blondynek, dwie brunetki, jedna siwa. Dziewięć z obrączkami, jedna na szpilkach.

Roz McGrath przyglądała się uważnie uczestniczkom spotkania. Gdzie są kolorowe kobiety? - zastanawiała się. Czy jestem tu jedyną brunetką?

Miała sceptyczne podejście do blondynek - z doświadczenia wiedziała, że większość dowcipów o nich była bardzo bliska prawdy. Nie знаła wielu z tych kobiet, ale chciała, żeby wiedziały, kim ona jest.

- Jestem feministką - brzmiały jej pierwsze słowa. Nancy Huff się skrzywiła. Lata siedemdziesiąte się

skończyły, pomyślała. Jeśli to ma być jakaś grupa podnosząca świadomość, to ja się wypisuję. Ale nic nie powiedziała.

Kiedy ostatnia kobieta zakończyła swoją wypowiedź, głos znowu zabrała Jonell, by opowiedzieć o swojej pracy, mężu, dzieciach i o tym, po co stworzyła tę grupę. Mówiła tak szybko, że niektóre kobiety nie nadążały, ale jej przekaz był jasny:

- Nie jesteśmy tym, co nosimy lub co posiadamy - powiedziała i na wypadek gdyby jej nie zrozumiały, zdjęła z figlarnym uśmiechem żółtą, bawełnianą koszulkę, aby odsłonić przezroczysty stanik.

Długoletnie przyjaciółki Jonell, jak Patti, już to widziały, ale to, co dla nich było widokiem dawnej hippiski, która dobrze czuła się w swojej skórze, dla nowych znajomych wyglądało inaczej. Niektóre zauważyły, jak wspaniałe ciało ma Jonell - smukłe zebra, jędrne ramiona, duży biust - ale

teraz już nie tylko Roz McGrath zastanawiała się, w co wdepnęła.

Następny punkt programu: imię dla naszyjnika.

Jonell chciała nazwać go imieniem Julii Child, która zmarła dwa miesiące wcześniej, trzynastego sierpnia dwa tysiące czwartego roku. Kulinarna wyrocznia spędziła ostatnie lata życia w pobliskim Montecito, gdzie mąż Jonell montował w jej kuchni klonowe blaty. Nadanie jej imienia naszyjnikowi byłoby odpowiednim wyrazem hołdu dla jednej z najwspanialszych kobiet dwudziestego wieku. Dla Jonell, tak jak dla tych kobiet z grupy, które czytały jej książki kucharskie i oglądały program telewizyjny w latach siedemdziesiątych, Child była kobietą, która z bezpretensjonalnym wdziękiem, śmiałością i ogromnym poczuciem humoru pierwsza uczyła Amerykanów francuskiej kuchni. Doceniały fakt, że zrobiła prawdziwą karierę po pięćdziesiątce, ale najbardziej ceniły jej apetyt na życie. Te kobiety rozumiały hołd Jonell. Kilka zaproponowało, aby zapisać nazwę jako „Jewelia” (Jewellery (ang.) - biżuteria.).

Pozostałe milczały. Uważały pomysł za niedorzeczny - zarówno pomysł nazywania naszyjnika w ogóle, jak i nadawanie mu imienia na cześć kucharki.

Następny punkt: jak się nim podzielić? Każda kobieta dostanie naszyjnik na dwadzieścia osiem dni w miesiącu swoich urodzin. Tylko w wypadku dwóch kobiet daty się pokrywały. Urodziny Patti przypadały za dziewięć dni, więc ona dostała naszyjnik pierwsza. Jonell zakończyła spotkanie uroczystym zapięciem brylantów na szyi Patti.

- Nie zgub go, bo nie jest jeszcze ubezpieczony - powiedziała. - I baw się z nim dobrze.

Tego wieczora Patti założyła naszyjnik wart piętnaście tysięcy dolarów do łóżka. Jednak nie spała dobrze. Dwa razy obudziło ją uczucie paniki. Za każdym razem dotykała

naszyjnika, żeby upewnić się, że wciąż ma go na szyi, w jednym kawałku. Po raz pierwszy od czasów, kiedy miała trzynaście lat i podwędziła złotą bransoletkę siostry, miała na sobie coś, co nie należało do niej. Rano poczuła się lepiej, już nie martwiła się o naszyjnik, jednak zastanawiała się, jak by mogła opisać swoje odczucia z minionej nocy. Nawet jeśli nie wiedziała dokładnie, jakich użyć słów, wiedziała, że może zrobić dobre wrażenie opowieścią o tym. Starannie dobrała ubranie, wyszukała kolory i kroje pasujące do brylantów. To było najprostsze zadanie.

Patti Channer była najmłodsza z szóstki dzieci. Wychowywała się w Malverne na Long Island w stanie Nowy Jork. Jej matka była wielbicielką mody i każdej pory roku zabierała córki na całodniowe zakupy do Garment District na Manhattanie. Pierwszy przystanek: rzut monetą między Saksem i Bergdorfem. W tych drogich sklepach matka Patti oglądała modę z wyższych sfer, a potem jechała do Kleina na Czternastą Ulicę, Loehmanna (Loehmann's - sklep sprzedający markową odzież z dużym upustem.) tamtych czasów. Zawsze wiedziała, co kupić. Przedzierała się przez sterty przecenionych markowych ubrań i - raz, dwa, trzy - wracała do domu z idealnymi ciuchami. Czy to dzięki osmozie, treningowi czy DNA, Patti też miała doskonałe oko do mody i instynkt łowcy.

Według opinii wszystkich czterech córek ich matka była piękną, postawną kobietą, która nosiła markową odzież z ogromnym wdziękiem. Upinała rudoblond włosy w kok francuski, zawsze dbała o swoje piękne dłonie i nigdy nie wychodziła z domu bez biżuterii. Była znana z dobrego smaku i zawsze bardzo modnie ubierała córki. Nauczyła Patti i jej siostry szczerzyć się swoim ubiorem, uważała, że ubranie mówi o osobowości. Kiedy Patti zaczęła chodzić na randki, matka ją pouczała:

- Zawsze patrz mężczyźnie na buty.

Gdy ich rodzina przeprowadziła się na Zachodnie Wybrzeże, Ventura była stolicą oszczędności Południowej Kalifornii, a matka Patti królową sklepów z używaną odzieżą i przedmiotami. Patti nigdy nie zapomni, jak znalazła kandelabr za czterysta dolarów identyczny z tym, za który jej matka zapłaciła osiemdziesiąt razy mniej.

Nic dziwnego, że Patti jeszcze w college'u podjęła pierwszą pracę w handlu. Pracowała jako ekspedientka u Abrahama & Strausa na Long Island i kiedy przydzielono ją do działu jubilerskiego, kupiła sobie pierwsze złote kolczyki. Czternastokaratowe kółeczka, rozmiaru srebrnej dolarówki, wykonane z zawile poskręcanych złotych nitek.

- Kosztowały dwieście dolarów - to było w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym - i musiałam kupić je na przedpłatę. Wiedziałam, że były jedyne w swoim rodzaju. Kiedy je zakładałam, czułam się wyjątkowa. Od tamtego czasu nigdy nie wyszłam z domu bez biżuterii. Nigdy.

Moje umiłowanie zakupów jest genetyczne i uważam siebie za wytrawną klientkę. Byłam dumna z faktu, że potrafiłam pójść do Marshalla, przesunąć palcami po materiale i powiedzieć, która kurtka jest od Dany Buchman. Nigdy się nie pomyliłam. Zakupy dla wielu ludzi są afrodyzjakiem. Idą do sklepu, kiedy są smutni, szczęśliwi lub źli. Dla mnie liczy się dreszcz polowania, znalezienie najlepszej jakości za najniższą cenę. Rzadko kupuję w sieciowych sklepach. Kiedyś znalazłam wyszywany szal w sklepie z używaną odzieżą. Zapłaciłam za niego siedemdziesiąt pięć dolarów. Później, kiedy wyjęłam szal z szafy, żeby go założyć, znalazłam oryginalną cenę: trzysta pięćdziesiąt dolarów. Kolejny skarb! Orgazmiczna euforia.

Patti nie czuła tej samej ekstazy na myśl o wspólnym naszyjniku.

- Brylanty są dla mnie zbyt pospolite. Lubię ręcznie robioną biżuterię, ponieważ podobają mi się oryginalne wzory, i lubię wspierać miejscowych artystów. Poza tym - dodała - kolejny naszyjnik jest mi potrzebny jak dziura w moście.

W sypialni, którą dzieli z mężem, Patti opowiada o swoich obiektach pożądania, o swoim życiu jako klientki. To doskonała sceneria dla takiego tematu. Stojący w kącie bambusowy wieszak niemal ginie pod powodzią torebek: pikowanych, wyszywanych kamieniami i koralikami, z piór i ze skóry, aksamitnych i w cętki, nowoczesnych i staromodnych. I, mój Boże, te boa! Długie, krótkie, gładkie i z cekinami, czerwone, czekoladowe, purpurowe i pomarańczowe. W drugim kącie, na podłużnym wieszaku z kutego żelaza, wiszą szale: jedwabne, tkane, z materiału, z frędzlami. Aksamitny szal ozdobiony pomponami z futra norek, czarny, zamszowy, z frędzlami i gruby, filcowy, z wielkimi kieszeniami.

- Ten kupiłam w jednym z moich ulubionych sklepów, Dream Weavers w Martha's Vineyard - objaśnia Patti.

Ze stojącego na dolnej półce wiklinowego koszyka wypływa kaskada apaszek z kaszmiru i kordonka, jedwabiu malowanego w kolorach oliwki i oberżyny. Patti bierze złoto - czarną apaszkę z cekinami, zakłada ją jako pas, potem opaszkę na włosy i naszyjnik.

- Używam ich często jako biżuterii - mówi. - Gdy mam odpowiednie dodatki, potrafię zmienić wygląd absolutnie wszystkiego.

Nieważne, co Patti udrapuje na swoim smukłym ciele, i tak dobrze wygląda. Jej fotogeniczne oblicze jest starszą wersją twarzy aktorki Tei Leoni. Patti ma prawie metr siedemdziesiąt wzrostu, godne pozazdroszczenia blond włosy, gęste i falujące, emanuje blaskiem osoby, która spędza dużo

czasu na świeżym powietrzu, a jej ciało wydaje się cały czas w ruchu. Orzechowe oczy lśnią, kiedy się uśmiecha - a opowiadając o swoich zdobyczach, uśmiecha się często.

W komodzie z wiśniowego drzewa kryje się jeszcze więcej dodatków: opaski, okulary przeciwsłoneczne i do czytania, zdobione biżuterią i szylkretem, różnokolorowe, na wakacje. A w garderobie: berety we wszystkich kolorach, tuziny pasków, sto pięćdziesiąt par butów.

- Kiedy odwiedzam Vegas, nie idę do kasyna. Kupuję buty - mówi. - W sklepach Caesar's Palace mają buty, których nie znajdziesz nigdzie indziej w tym kraju. Nie kupuję produktów seryjnych. Nie chodzę do sieci handlowych, chyba że po skarpetki. Lubię pchle targi i sklepy z używaną odzieżą.

Jest jeszcze biżuteria. Na jednej ze ścian, na szklanych wieszakach, wisi mnóstwo naszyjników: łańcuszki i korale, kryształ górskie i perły, aksamitki i wisiory. Szuflady stojącej obok wieszaków komody pełne są bransoletek, biżuterii, którą Patti odziedziczyła po matce i tej przydatnej na każde wakacje: broszek i kolczyków w kształcie wianuszków, dyń, listków koniczyny, flag.

W szafie wisi wieszak na biżuterię, którego każda z pięćdziesięciu czterech kieszeni kryje parę kolczyków, obok stoi wyszywana kasetka z trzydziestoma przegródkami, a w nich leży jeszcze więcej naszyjników o różnych splotach i kolorach, perłowych, ze szlachetnymi kamieniami, z kością słoniową.

- Mam tu biżuterię oryginalną i sztuczną - opowiada Patti. - Jeśli masz wystarczająco dużo dobrej biżuterii, możesz w nią wmieszać kilka podróbek.

Wyjmuje naszyjnik z jedwabiu w kolorze burgunda, zakończony wisiosem z kości słoniowej, zwisający z etui na okulary ze skóry aligatora w tym samym kolorze. Zapina

wisiorek na szyi, otwiera futerał, przekrzywia głowę i uśmiecha się szeroko.

- Popatrzcie tylko na to!

Scena przypomina tę z ekranizacji Stalowych magnolii, kiedy Clairee, grana przez Olimpię Dukakis, mówi: „Jedynę, co różni nas od zwierząt, to umiejętność doboru dodatków”.

W sypialni nie ma ani jednej szuflady, półki czy komody bez ukrytych schowków i szkatulek z biżuterią. Jedynym miejscem, w którym Patti jej nie trzyma, jest sejf.

- Po tym, jak kupiłyśmy Jewelię, sąsiadka pokazała mi swój brylantowy naszyjnik, który trzyma w sejfie. Inne kobiety, które znam, robią kopie swojej biżuterii i noszą falsyfikaty. To po co w ogóle posiadać taką biżuterię? Na początku tego miesiąca, w którym naszyjnik należał do mnie, obiecałam sobie, że będę go nosiła codziennie.

Patti poszła na coroczną kontrolę do ginekologa.

Uwielbiała swoją lekarkę. Wizyta w jej gabinecie nigdy nie była dla niej przykrym obowiązkiem, tylko miłym przeżyciem, tak miłym, że Patti namówiła doktor Roz Warner na kupno udziałów w brylantowym naszyjniku.

- Dołączę do waszej grupy - powiedziała lekarka, która niedawno przeprowadziła się ze Wschodniego Wybrzeża i chciała poznawać nowych ludzi - ale nie chcę kupować naszyjnika.

- Nie możesz zrobić jednego bez drugiego - odpowiedziała Patti.

Kobiecy wystrój gabinetu wpływał na pacjentki uspokajająco. Na bladożółtej ścianie wisiał zmysłowy plakat przedstawiający kwiat pędzla Georgii O'Keeffe. Jak wiele osób - chociaż nie sama O'Keeffe - doktor Roz odczytywała obraz seksualnie: po lewej stronie widziała cień kobiecej twarzy i piersi, po prawej sromu.

Patti, ubrana w białą bawełnianą koszulę, z brylantami na szyi, usiadła na fotelu i włożyła stopy w strzemiona.

- Przyniosłam aparat! - obwieściła.

- Niemożliwe!

- Naprawdę. I chcę mieć zdjęcie.

Patti nie była pewna, jak Roz zareaguje - w końcu była lekarką - dlatego nie uprzedziła jej telefonicznie. Uważała, że życie jest zabawniejsze, gdy działa się spontanicznie.

Roz praktykowała od dwudziestu lat. Nigdy, absolutnie nigdy, żadna pacjentka nie przyniosła na badanie aparatu fotograficznego. Lekarka była zdumiona, ale wyszła do poczekalni, żeby zawołać Michelle, dwudziestopięcioletnią asystentkę medyczną.

Patti ustawiła aparat i podała go Michelle.

- Co mam z tym zrobić? - zapytała dziewczyna.

- Zrób mi zdjęcie.

Michelle wyglądała na zakłopotaną. Wiedziała, że Patti była jedną z najbardziej przebojowych pacjentek, ale to było trochę za wiele.

- Tylko zrób zdjęcie z boku.

Patti wybuchnęła swoim gardłowym śmiechem, który był tak zaraźliwy, że Michelle i Roz także się roześmiały.

Michelle zrobiła dwa zdjęcia, oddała aparat Patti i wciąż roześmiana wyszła z gabinetu.

- No dobrze, doktor Roz, proszę na czas badania założyć naszyjnik.

Roz uznała, że to było ciekawe doświadczenie, które postanowiła powtórzyć, kiedy przyjdzie jej pora na noszenie brylantów. Będzie miała o czym rozmawiać z pacjentkami, żeby odwrócić ich uwagę od fluorescencyjnych lamp nad głową i metalowego wziernika w środku.

Po wyjściu z gabinetu Patti czuła się naprawdę dobrze. Lubiała dokumentować swoje życie. To ona biegała z aparatem

na każdej wycieczce, podczas rodzinnych wakacji. To był jej sposób na zapamiętanie tego, co dobre, na przedłużenie zabawy. A pokazując zdjęcia innym, czuła się tak, jakby dawała im prezent.

Na pewno nikt przed nią nie poszedł na badanie ginekologiczne w brylantowym naszyjniku. Nie mogła się doczekać, kiedy pokaże zdjęcia kobietom z grupy.

Przez cały miesiąc Patti miała go na sobie: pływając na minidesce surfingowej podczas wesela w Oahu, rozgrywając partyjkę golfa i pomagając sąsiadom w ugaszeniu pożaru. Nosila go w gabinecie męża, gdzie pracowała.

Miała na sobie brylanty w klinice ortopedycznej, w której Gary przechodził operację ramienia, i każdego wieczoru, kiedy martwiła się o jej wynik. Paląc papierosy na patio, zastanawiała się, czy będą musieli sprzedać praktykę? Czy zostanie bez pracy po dwudziestu pięciu latach zarządzania biurem, kierowania personelem, koordynowania terminów wizyt, prowadzenia księgowości? Przez pewien czas jej mąż był jedynym dentystą dziecięcym w mieście, co oznaczało przyjmowanie od sześćdziesięciu do siedemdziesięciu pacjentów dziennie. Mieli mnóstwo pracy, ale też spore zyski. Patti poznała tak wiele interesujących kobiet, które przychodziły z dziećmi. W ten sposób spotkała Jonell.

A jeśli będą musieli sprzedać praktykę? Po raz pierwszy w życiu Patti nie była pewna przyszłości. Miała serdecznie dosyć ludzi pytających, czy wyczekuje emerytury. Nie, nie wyczekiwała nicnierobienia. Zawsze była pełna energii. Nie cierpiała słowa „emerytura” - naprawdę, społeczeństwo powinno wymyślić jakiś nowy termin. Gary tak się cieszył, był gotowy na emeryturę, ale Patti martwiła się niewiadomą, która ją czekała, na samą myśl o niej czuła niepokój. Naszyjnik odwracał jej uwagę od tych ponurych myśli.

Gdziekolwiek była - a Patti bywała wszędzie - opowiadała o naszyjniku. Patti mówiła dużo - nie tak szybko jak Jonell, ale jej słowa zapadały ludziom w pamięć. Jeszcze bardziej niż wyjątkowe dodatki wyróżniał ją akcent z Long Island. Wyjechała z Nowego Jorku w 1975 roku, ale akcent pozostał. Patti uznała go za jeden z dodatków i zachowała. Kiedy mówi, jej dłonie bezustannie fruwały, strzelała palcami, żeby podkreślić swoje słowa, zadbanymi paznokciami bębni o stół, kierownicę czy jakąkolwiek inną powierzchnię. Jej krok przywodzi na myśl dynamizm ulic Manhattanu, kiedy idzie szybko i z werwą właściwą osobie, która brała udział w Waikiki Roughwater Swim (Waikiki Roughwater Swim - zawody pływackie na dystansie 3860 metrów.). Na ulicy rozmawia ze wszystkimi - Patti wszystkich zna - zwracając się do nich „laleczko”, „kotku”, „skarbie”, jak kelnerka w przydrożnym barze. Każdemu, kogo spotka, opowiada historię naszyjnika, akompaniując sobie chrupaniem miętowych cukierków.

Ludzie reagowali na brylanty w różny sposób. Jedni podziwiali, inni wzruszali ramionami, a jeszcze inni atakowali:

- A co wy z naszyjnikiem zrobicie?

Patti nie знаła odpowiedzi na to pytanie i zaczęła się zastanawiać. Co my z nim zrobimy? Pogardliwe uwagi nie sprawiły, że zwątpiła w słuszność swojej decyzji, lecz zaczęła myśleć, jak lepiej opowiadać swoją historię. Tu zmieniła szczegół, tam anegdotę i nadal opowiadała.

- Byłam zaskoczona tym, jak dużą przyjemność sprawiało mi mówienie o brylantach. Lubiłam opowiadać o świetnej cenie, jaką zapłaciłyśmy za naszyjnik, ale przede wszystkim o tym, że się nim dzielimy. Miałam kolejny temat do rozmów z ludźmi. Nie wiedziałam, co zrobimy z naszyjnikiem, co będzie ze mną, ale nie mogłam się doczekać, żeby się dowiedzieć.

Patti zostały jeszcze dwa dni noszenia naszyjnika, kiedy jedna z kobiet zapytała, czy nie mogłaby pożyczyć go na przyjęcie.

- Oczywiście - odpowiedziała Patti.

Ale kiedy następnego dnia kobieta odniosła naszyjnik, Patti go nie chciała.

- Za bardzo lubiłam go nosić - wyjaśnia. - Nie chciałam znowu się do niego przywiązać i za chwilę oddać po raz drugi.

Później, na spotkaniu z kobietami, mówiła o instynkcie posiadania, który ją zaskoczył, poczuła się winna i zakłopotana, jak Gollum z Władcy pierścieni Tolkiena. Gollum tak obsesyjnie pragnął Pierścienia, „jego najdroższego”, że przeżywał psychiczne i fizyczne męki. Patti nazywała naszyjnik „jej pięknym”, a problem, jaki miała z oddaniem, określiła jako „efekt Golluma”.

Wspólny zakup naszyjnika przypominał współwłasność nieruchomości, tyle że współwłaściciele domów nie spotykali się, żeby rozmawiać o swoich doświadczeniach.

- W trakcie tej rozmowy - opowiada Patti - zdałam sobie sprawę, że to nie sam naszyjnik jest tak ekscytujący. Gdybym chciała mieć brylantowy naszyjnik, to już dawno bym go sobie kupiła. Ekscytująca jest historia z nim związana. Najbardziej przywiązałam się do opowiadania tej historii.

Zanim ponownie miała nadejść kolej Patti, Jonell, zagorzała czytelniczka, dała grupie kobiet listę lektur i pierwszą książkę pod tytułem Affluenza (Affluenza - dysfunkcyjny stosunek do pieniędzy i bogactwa, wywołany przez przekonanie, że szczęście można osiągnąć dzięki dobrobytowi materialnemu.), napisaną przez trzech mężczyzn, o których żadna z nich nie słyszała. Jonell podobał się kontekst.

- Jeśli mamy rozmawiać o naszym życiu - przekonywała - ta książka da nam punkt odniesienia, dzięki zawartej w niej wiedzy staniemy się bardziej skuteczne.

Mary O'Connor, swego czasu nauczycielka angielskiego, była zapaloną czytelniczką książek, ale nie lubiła poradników. Gdybym chciała zostać członkiem klubu czytelniczego, pomyślała, tobym się tam zapisała. Ale nic nie powiedziała.

Nancy Huff także milczała, choć myślała to samo. Cała grupa zareagowała na propozycję Jonell jak członkinie „Klubu książki dla niegrzecznych dziewcząt”, gdzie połowa w ogóle nie czyta książki, a druga nawet nie przychodzi na spotkanie.

Patti też nie miała zwyczaju czytać poradników. Lubiała nieprawdopodobne opowieści i kryminały, ale odkąd sprzedali praktykę, miała dużo czasu, więc została członkinią „Klubu książki dla grzecznych dziewcząt” i przeczytała.

Dowiedziała się, że Amerykanie są najbardziej zachłannymi konsumentami na Ziemi, że większość z nich cierpi z powodu nadmiernego posiadania i że w końcu wszystko, co mają, przejmuje nad nimi władzę. Przeczytała, że nigdy przedtem tak wiele rzeczy nie znaczyło tak mało dla tak licznych i że bezwzględne pragnienie, by mieć jeszcze więcej, kosztuje znacznie drożej niż same przedmioty.

- Po raz pierwszy zaczęłam się zastanawiać nad tym, co mam - mówi Patti. - Kiedy byłam młodsza, gromadziłam rzeczy. Jeśli coś, co chciałam kupić, miało dobrą cenę, kupowałam dwie sztuki. Po przeczytaniu tej książki po raz pierwszy zaczęłam myśleć o nadmiarze w moim życiu. Zdałam sobie sprawę, że byłam nieumiarkowana w kupowaniu dodatków. Mara ich dosyć, żeby wyposażyć każdą kobietę w grupie. Mam co najmniej dwadzieścia par okularów przeciwsłonecznych i ile z nich noszę? Cały czas jedną i tę samą parę.

Doszłam do wniosku, że już niczego więcej nie potrzebuję. Już mam za dużo. Nie noszę tego. Niektórych rzeczy w ogóle nie powinnam była kupować, jak na przykład kolorowych szpilek ze skóry jaszczurki. Nawet nie noszę szpilek, ale musiałam mieć te buty. Potrzeba kupowania jest jak przymus zapalenia papierosa. Pragniesz natychmiastowego zaspokojenia, ale jeśli poczekaasz, to minie. Mamy wybór. Kiedy byłam młodsza, nigdy nie przypuszczałam, że nadejdzie taki dzień. Moją mantrą było „kupuj dodatki, kupuj dodatki”. Teraz moja mantra brzmi: „masz dosyć”. Kiedy dzisiaj zajrzałam do szafy, poczułam się chora. Przerazona. - Patti milknie na chwilę. - Wiedziałam, że zakup naszyjnika spowoduje coś nieoczekiwanego, ale nie podejrzewałam, że zmieni mój pogląd na kupowanie. Kiedy byłam młodsza i widziałam coś, czego mi brakowało, kupowałam, żeby ten brak wypełnić. Dzisiaj widzę to, co mam, i kupuję tylko po to, żeby patrzeć. Odkąd zaczęłam nosić naszyjnik i o nim opowiadać, zaczęłam rozdawać swoje dodatki. Dzięki temu czuję się lżejsza, wolna. Gdyby tylko rzucenie palenia było równie łatwe!

Rozdział trzeci

Priscilla Van Gundy, samotniczka

Dostrzega prawdziwe klejnoty

Priscilla nie potrafiła się niczym ekscytować i dotyczyło to także pierwszego maila od Jonell. Wygospodarowanie czasu na spotkanie z grupą kobiet uznała za szaleństwo. Zawsze tak uważała, a teraz, kiedy razem z Tomem sprawdzali wszystkie transakcje, pracowała sześćdziesiąt godzin tygodniowo. Kto miał na to czas? Zaczynała się czuć jak Bill Murray w Dniu świstaka, kiedy każdego ranka, nawet w niedzielę, budziła się z perspektywą tej samej harówki. W zeszłym roku wzięła w sumie dwanaście dni urlopu. To tempo ją wykańczało. Niedawno odszedł jeden ze sprzedawców i do obowiązków Priscilli doszła jeszcze obsługa klientów. Priscilla nie lubiła kontaktów z klientami - tak wiele kobiet przychodziło, żeby porozmawiać. Od czasu do czasu, jeśli kupującym był starszy mężczyzna, który niedawno owdowiał, wysłuchiwał go Tom, ale zwykle klientkami były kobiety, i to Priscilla musiała się nimi zająć. Co tydzień przychodziły te same dwie lub trzy klientki, z opuszczonymi ramionami i smutnymi spojrzeniami. Mówiły i mówiły, czasami nawet przez półtorej godziny, a potem płakały. Ich mężowie zmarli lub odeszli, dzieci wyjechały z miasta albo przestały się z nimi kontaktować. Te kobiety były takie zagubione, ich samotność tak namacalna. Priscilla wiedziała, że chodzą na zakupy tylko po to, aby wypełnić czas. Nie chciały zegarka ani pierścionka, potrzebowały przyjaciółki. Priscilla słuchała, kiwała głową, pocieszała. I wtedy, pewnego dnia na początku grudnia, podała klientce pudełko chusteczek do otarcia łez i nagle zobaczyła w kobiecie Ducha Przyszłych Świąt z Dickensa. Czy za dziesięć lub dwadzieścia lat Priscilla będzie taka sama?

Oczywiście dziś miała pracę, męża, trójkę dzieci przy boku. Ale kto wiedział, co przyniesie przyszłość? Czy nie tego Priscilla nauczyła się przy łóżku umierającej siostry?

Po wyjściu klientki wróciła na zaplecze i sprawdziła pocztę.

Od: JonellRMcL@aol.com Do: Kobiet Jewelii

Ja świetnie się bawiłam, a wy? Mary i Priscillo, bardzo nam was brakowało. Myślę, że dużo zrobiliśmy (potraktujcie to jak protokół):

1. Nazwa: Jewelia.
2. Rozkład zajęć: Mary K. dośle.
3. Pod rozważę: tzn. dzielić się, czy nie dzielić i obietnica, aby nigdy nie robić ani jednego, ani drugiego bez zastanowienia.

4. Może mogłybyśmy pomyśleć o możliwościach: dokąd według Was ma zmierzać Jewelia? Czym jeszcze możemy się dzielić? Czym wszyscy powinni się dzielić?

Nie wiem, dlaczego zdjęłam bluzkę. Czyja to była sugestia? Naprawdę, ktoś powinien dawać mi lepsze rady.

Mamy nadzieję, że przed świętami spotkamy się znowu. Doślę szczegóły. Jesteście fantastyczne! Bawcie się dobrze.

Jonell

Priscilla wpatrywała się w monitor. Czyżby coś ją ominęło?

Priscilla de Los Santos („od świętych”) dorastała we wschodniej części Ventury, w przeważająco hiszpańskiej społeczności rolników. Jej meksykańscy dziadkowie, wędrowni rolnicy, osiedlili się w Venturze podczas wielkiego kryzysu. Jej rodzice także zaczęli od rolnictwa, ale z czasem zajęli się inną pracą: matka pakowała cytryny i sprzątała domy, a potem prowadziła małą knajpkę. Tata pracował na budowie i wylewał cement. Priscilla, najstarsza z szóstki dzieci, większość czasu spędzała w domu, opiekując się

rodzeństwem. Ośmioosobowa rodzina - przez pięć lat dziewięćosobowa, kiedy mieszkała z nimi kuzynka - dzieliła jedną łazienkę.

- Tak wielu ludzi mieszkało w tym małym domku - mówi Priscilla. - Pewnie między innymi dlatego młodo wyszłam za mąż. Chciałam mieć swój dom.

W tej licznej rodzinie nie brakowało członków gangu. Matka Priscilli była zdeterminowana, żeby dzieci nie poszły w ślady wielu kuzynów i posłała je do szkoły św. Sebastiana - były jedynymi dziećmi w latynoskiej dzielnicy, które czekały o siódmej rano na autobus na przystanku.

Priscilla dorastała otoczona rodziną, w tym dziadkami i wujostwem, którzy mieszkali po drugiej stronie ulicy, ale odizolowana od rówieśników. W najbliższym sąsiedztwie rosły gaje pomarańczowe i gorczyca, rośliny tak wysokie, że Priscilla mogła się w nich schować.

- Lubiłam być sama - wspomina - i między innymi dlatego nie miałam przyjaciół.

Dorastając w takim środowisku, stała się twardą dziewczyną. Zadawała się z kilkoma gangsterami. Kiedy miała szesnaście lat, kilka dziewczyn z gangu napadło ją i pobiło tak, że zostały jej na ramionach czerwone ślady.

- Myślały, że jestem słabą dziewczynką z katolickiej szkoły, ale ja stawiałam im czoła. Zawsze czułam się silna. Pewnie dlatego podjęłam pracę w więziennictwie.

Priscilla dorastała w poczuciu inności. Kiedy babcia zapadła na demencję, wtedy jej matka zajęła się abuelita, więc Priscilla z bratem musieli pomagać matce w restauracji. Priscilla miała zaledwie trzynaście lat.

- Naprawdę dobrze grałam w softball, ale nie mogłam chodzić na treningi, bo musiałam pracować popołudniami i w każdy weekend. Pamiętam, jak rozmawialiśmy z kolegami w klasie o tym, co chcielibyśmy dostać na Gwiazdkę.

Powiedziałam, że potrzebny mi płaszcz, a jedna dziewczyna zapytała z pogardą: dlaczego nie poprosisz o coś, co chcesz mieć? Po co prosić o rzecz, której ci potrzeba? Ale ja miałam szczęście, jeśli dostawałam to, co było mi potrzebne. Oni nie mogli pojąć mojego świata, tak jak ja nie mogłam ich zrozumieć. Myślałam, że tak samo będzie z tymi kobietami.

Wydaje mi się, że kogoś, kto dorastał w takich warunkach jak ja, nigdy nie opuszcza uczucie, że nie jest wystarczająco dobry. Nie wydaje mi się, żeby inni tak o mnie myśleli, ale ja sądziłam tak o sobie. Wiedziałam, że przyjaźń nie zależy od tego, w jakich warunkach dorastałaś ani do jakiej chodziłaś szkoły, ale czułam inaczej - i to mnie powstrzymywało przed wychodzeniem do ludzi. Spodziewałam się, że te kobiety pochodzą z wyższych sfer. Nie sądziłam, żebym należała do ich ligi. Czułam się, jakbym wróciła do liceum. Denerwowałam się już na samą myśl o spotkaniu. Czy będę do nich pasować? Czy mnie zaakceptują? A jeśli mnie nie polubią?

Priscilla zdała sobie sprawę, że wciąż wpatruje się w e-mail. Nie lubiła poczty elektronicznej, nie cierpiała przychodzić rano do biura, gdzie na monitorze czekało na nią osiemdziesiąt nowych wiadomości. Zawsze odpowiadała bardzo zwięźle. Wystukała:

Będę. Już się cieszę na spotkanie.

Wcale się nie cieszyła, po prostu chciała być uprzejma. Źle się czuła w tłumie. Czasami zastanawiała się, czy nie cierpi na jakąś fobię. W szkole zawsze siedziała w ostatniej ławce i za wszelką cenę starała się nie zwracać na siebie uwagi. Kontakt z garstką szkolnych kolegów trwał nie dłużej niż dziesięć minut dziennie.

Przez większość życia Priscilla miała tylko jedną bliską przyjaciółkę, która mieszkała w Houston. Określenie „bliska” było pojęciem względnym, bo czasem Priscilla nie

rozmawiała z nią przez cały rok. Jednak posiadanie jednej przyjaciółki, mieszkającej dwa i pół tysiąca kilometrów od Priscilli, wydawało się jej wystarczać, skoro i tak bez przerwy pracowała. A pracowała bezustannie od czasu, gdy witała, obsługiwała, nakrywała do stołów i zmywała naczynia w knajpce mamy. Zanim skończyła dwadzieścia siedem lat, urodziła trójkę dzieci i ani na chwilę nie przestała pracować.

Śmierć młodszej siostry nie zmieniła trybu życia Priscilli, spowodowała jedynie, że jeszcze bardziej zamknęła się w sobie. Siostra, u której stwierdzono rzadki przypadek raka, umierała w męczarniach, lecz z godnością, kiedy choroba atakowała jeden organ po drugim.

- Doreen była energią naszej rodziny, aktorką, to ona zawsze opowiadała dowcipy - wspomina Priscilla. - Po jej śmierci zupełnie zamknęłam się w sobie. Wstawałam rano i automatycznie robiłam, co do mnie należało. Każdego wieczoru po pracy szłam prosto do sypialni, wkładałam piżamę, kładłam się do łóżka i oglądałam powtórki Idola i Seinfelda (Kroniki Seinfelda - słynny amerykański serial komediowy.). Odciełam się od wszystkich, nawet od męża. Izolacja - w tym byłam naprawdę dobra. Izolowałam się przez całe życie. Łatwiej mi było wziąć pilota, niż wyciągnąć rękę do ludzi. Jednak przychodzi moment, kiedy zaczynasz zdawać sobie sprawę, że na samotności zbudowałeś całe swoje życie. A to nie jest dobre.

Priscilla postanowiła, że skoro ma iść na spotkanie, to musi zrobić dobre wrażenie. Wszystkie ubrania w jej szafie były czarne - najlepszy kolor dla ukrycia nadwagi, którą w swojej opinii miała. Priscilla nie umiała się cieszyć pożądanym przez tak wielu mężczyzn bujnym ciałem. Nieważne, że prawdziwe kobiety miały okrągłości, Priscilla patrzyła krytycznie na swoją figurę, uważała ją za efekt amerykańskiego stylu życia.

Wybrała najlepszy kostium od St. Johna i szpilki od Stuarta Weitzmana. Bizuterią się nie martwiła: na palec prawej dłoni założyła pierścionek z idealnie wykrojonym brylantem, a na nadgarstek owalny zegarek Philipa Steina o dwóch tarczach, dwa razy z rzędu wybrany przez Ophrę jako najlepszy prezent na Gwiazdkę, który gospodyni programu sama nosiła. Priscilli spodobał się ten zegarek, bo miał dwie miedziane blaszki, które podobno pomagały w zasypianiu. Ponieważ budziła się co noc o drugiej nad ranem i wpatrywała w sufit, potrzebowała każdej pomocy, jaką mogła znaleźć. Wybrała wersję za dwa tysiące dolarów, z brylantową oprawką. Jedną z zalet posiadania sklepu jubilerskiego była możliwość pożyczania wszystkiego, co chciała. Z drugiej strony żadna biżuteria tak naprawdę nie należała do niej. Jeśli klientowi spodobały się jej ozdoby i chciał je kupić, Priscilla zdejmowała błyskotki i nigdy więcej ich nie nakładała. Wolą zarabiać pieniądze, więc starała się nie przywiązywać do biżuterii.

Znalazła miejsce do parkowania przed zabytkowym hotelem Pierpont Inn, wyłączyła silnik i zebrała się w sobie. Nerwy miała napięte do granic możliwości. Przypomniał jej się rok 1994, kiedy to chciała wrócić do college'u, żeby zrobić dyplom. Przez dwadzieścia lat wychowywała trójkę dzieci, wykonywała prace tymczasowe i przeróżne prace stałe: od zamykania kryminalistów w więzieniu stanowym po sprzedawanie kosmetyków dla sieci Mary Kay. Podjechała pod sekretariat uczelni, zaparkowała, zgasiła silnik, spanikowała, włączyła silnik, objechała kampus dookoła, wróciła na parking, wyłączyła silnik, spanikowała, włączyła silnik i objechała kampus. Powtórzyła to osiem razy - tak, liczyła - zanim w końcu zebrała się na odwagę, żeby wejść do środka i porozmawiać z doradcą do spraw przyjęć. Dzięki

Bogu to już miała za sobą. Nie musiała objeżdżać dzielnicy osiem razy.

Cieszyła się, że zapłaciła swoją część ceny naszyjnika. Mogła jej nie płacić, wynegocjować to jako część umowy, ale nie chciała różnić się od innych.

Kiedy skończyła wewnętrzny dialog i weszła do pokoju, jedyne wolne krzesło przy długim, prostokątnym stole powiedziało jej jasno, że przyszła ostatnia. To nie było nic nowego. Priscilla zawsze się spóźniała na spotkania towarzyskie. Jednak i tak zgañała się w duchu: spóźnienie nie zapewnia dobrego pierwszego wrażenia.

Małe złote lampki w gałęziach sosny przydawały eleganckiej, prywatnej sali hotelowej świątecznej atmosfery. Ostrokrzew i gwiazda betlejemska, umieszczone nad kominkiem, rozświetlały ciemne, drewniane ściany. Jednak Priscilla nie zauważyła wystroju pomieszczenia, zobaczyła tylko kobiety, które śmiały się i mówiły wszystkie naraz. Poczowała bijącą od nich energię i przyjazną atmosferę, zrozumiała bezpretensjonalny język e - maila.

Zajął jej to mniej niż minutę: zobaczyła, czego jej w życiu brakuje.

- Przepraszam za spóźnienie - powiedziała szybko. - Miałam dużo pracy.

Zanim, skończyła mówić, Jonell z szerokim uśmiechem poderwała się z krzesła. Szybko podeszła do nowo przybyłej, otoczyła ją ramieniem i przedstawiła pozostałym. Wszystkie kobiety uśmiechnęły się szeroko i pomyślały: a zatem to jest kobieta, której hojny mąż sprawił, że to wszystko było możliwe.

Priscilla usiadła. Wiedziała, że takie zachowanie jest niegrzeczne, ale nie mogła przestać wpatrywać się w kobietę, która siedziała naprzeciwko. To była Maggie Hood, z prostymi, długimi włosami i grzywką podkreślającą zieleń jej

oczu, ubrana w obcisły sweter we wzór leoparda, który podkreślał kształty masywnego ciała. Priscilla nie miała pojęcia, że kobieta po pięćdziesiątce może wyglądać tak atrakcyjnie.

Gdyby zaczęły się zwierzać, Priscilla odkryłaby, że ich style życia różnią się od siebie równie diametralnie jak typy urody. Maggie miała trzech mężów i wielu przyjaciół, jednak Priscilla miała z nią więcej wspólnego, niż mogłaby się tego domyślać, gdyby oceniała ją po wyglądzie. Trzy tysiące kilometrów od Ventury, w najstarszej części Chicago, Maggie też wyrastała na twardą dziewczynę.

Maggie uśmiechnęła się ciepło do Priscilli, ale ona wciąż czuła się obco. Tak wiele kobiet w grupie od dawna miało mężów, podczas gdy jej małżeństwo przeżywało kryzys. Tak wiele z nich pochodziło stąd, a ona była przyjezdna. Pomimo że większość z nich była matkami, jedynie Priscilla wciąż mieszkała z dziećmi.

Priscilla odwzajemniła uśmiech Maggie, po czym jej wzrok przyciągnęła inna kobieta, która siedziała u szczytu stołu, z kaskadą blond włosów, ubrana w czerwony sweter i brylantowy naszyjnik. Priscilla przez ponad rok patrzyła na naszyjnik w sklepie, ale nigdy nie widziała, żeby wyglądał tak, jak teraz. Południowe słońce, które wpadało przez wysokie okna, zwielokrotniało blask brylantów, otoczyło kobietę w czerwieni świetlistą aureolą. Skąpana w świetle była nie tylko jej twarz, lecz także cała sylwetka. Czy ktoś musiał założyć naszyjnik, żeby brylanty wyglądały tak pięknie, zastanawiała się Priscilla, czy to zasługa chwili, tego miejsca, tych kobiet?

Priscilla wierzyła w znaki. Kiedy pierwszy raz spotkała Toma Van Gundy'ego, ujrzała otaczające go światło i od razu wiedziała, że poślubi tego mężczyznę. To było przemożne, niemal religijne odczucie. Czuła, że teraz, tutaj, też dzieje się

coś wyjątkowego. Wrażenie nie przypominało trzęsienia ziemi, które przeżywała jako nastolatka, ale i tak poczuła, jak coś drga pod jej stopami: chciała do nich przynależeć.

Kobiety też myślały o Priscilli. Wszystkie podziwiała jej odwagę - dołączyła do grupy, w której nikogo nie знаła. Kilka z nich zastanawiało się, jak ta cicha kobieta porozumie się z głośnymi i rubasznymi członkiniami grupy.

Kiedy skończyły sałatki, Jonell przekazała harmonogram spotkania. Punkt pierwszy: kto był niegrzeczny i (lub) miły? Mam nadzieję, że jedno i drugie. Punkt drugi: koszt ubezpieczenia naszyjnika: osiemdziesiąt osiem dolarów, czterdzieści sześć centów na osobę. Punkt trzeci: Co sądzicie o oddaniu ręczników organizacji społecznej pomagającej bezdomnym?

Kobiety wypisały czeki i ruszyły do wyjścia. Pożegnały się ciepło z Priscilla, wszystkie po kolei wylewnie zapewniały, że dobrze jest mieć ją w grupie. Priscilla zatoneła w powodzi uśmiechów.

Tego wieczoru przy kolacji po raz pierwszy od dawna Tom zobaczył, jak Priscilla się uśmiecha, odsłaniając olśniewająco białe zęby. Ciepłe, brązowe oczy Priscilli otoczone były siateczką zmarszczek. Tom zakochał się w jej uśmiechu jeszcze w liceum, kiedy był początkującym rozgrywającym, a ona cheerleaderką, która go dopingowała.

- To wspaniałe kobiety - powiedziała Priscilla. - Dziękuję, że dałeś mi szansę dołączenia do ich grupy.

- Nic nie zrobiłem.

- Oczywiście, że zrobiłeś.

- Po prostu zobaczyłem, jak dobrze te kobiety się razem bawią i chciałem tego samego dla ciebie.

- Nie zdawałam sobie sprawy, jak mało radości jest w moim życiu.

- Kiedyś umiałaś się cieszyć.

- Nie wiem, co się stało.

- Ani ja.

Czy ktokolwiek z nas potrafi wskazać moment, w którym tracimy młodość, radość z drobiazgów, przestajemy cieszyć się życiem? Przez lata - dekady - pracujemy, dbamy o rodzinę, sadzimy begonie. A potem pewnego dnia budzimy się i czekają nas chemioterapia, wizyty w domu opieki, aż w końcu zdajemy sobie sprawę, że od lat nie mieliśmy prawdziwych wakacji, a jedyne, co możemy zrobić, to zadać sobie pytanie: czemu nagle życie stało się takie ciężkie?

Kiedy Jonell rozesłała e - mail z datą i miejscem następnego spotkania, Priscilla odpowiedziała natychmiast:

Będę. Cieszę się na spotkanie.

I tym razem naprawdę się cieszyła.

Jednak na spotkaniu znowu była cicha i powściągliwa. Zastanawiała się, czy kiedykolwiek na tyle uwierzy w siebie, żeby mówić z taką swobodą i pewnością, jak inne kobiety. W latynoskiej dzielnicy nauczyła się sztuki przetrwania, a nie subtelnej sztuki konwersacji. Zauważyła, że kobiety wyrażają odmienne opinie, ale nie podnoszą głosu, jak eksperci na kanale Fox News. Nie wytykały sobie braku racji ani nie wyzywały od głupich. Priscilla nigdy nie spotkała się z tak cywilizowanym sporem. Zastanawiała się, czy kobiety byłyby równie miłe, gdyby to ona się odezwała. Tak samo jak na pierwszym spotkaniu w Pierpont Inn, czuła się akceptowana, a co więcej, ceniona, traktowana jak ktoś wyjątkowy. Radość z przebywania w pobliżu tych kobiet powoli przeważała nad lękiem, że im nie dorówna.

Na czwartym spotkaniu, w którym uczestniczyła Priscilla, Jonell streściła główne punkty programu: u kogo był naszyjnik i do kogo przechodzi, co grupa będzie robiła dalej, po czym zapytała:

- Czy któraś z was chce jeszcze o czymś porozmawiać? Roz McGrath, weteranka grup kobiecych, była wrażliwa na głosy, których nie słyszeć.

- Zróbmy rundę dookoła - zaproponowała. - Niech każda z nas ma szansę się wypowiedzieć.

Priscilla spanikowała. Będzie musiała coś powiedzieć. Nie może jako jedyna milczeć. Co powie? Kobiety wypowiadały się po kolei. Priscilla znowu zauważyła, że żadna z nich nie została skrytykowana. Może jej także nikt nie skrytykuje. Zaczęła się rozluźniać. Wyprostowała się, wciągnęła głęboko powietrze. Gdy zastanawiała się, co powie, zdała sobie sprawę, że nie będzie mogła mówić o nowinkach ani naszyjniku. Ale zabierze głos.

Nadeszła jej kolej. Rozejrzała się po pokoju, zobaczyła dwanaście par skupionych na sobie oczu. Zaskoczona, zdała sobie sprawę, że jej potrzeba mówienia jest silniejsza niż lęk przed reakcją słuchaczek.

A oto, co powiedziała:

- Patrzenie, jak umiera moja siostra, zostawiło we mnie otwartą ranę. Wszystko, co czułam, wypłynęło na powierzchnię. Jej śmierć nauczyła mnie, że trzeba mówić ludziom o swoich uczuciach, zanim będzie za późno. Śmierć mojej siostry była dla mnie wielkim ciosem, ale z czasem zdałam sobie sprawę, że choć siostra umarła, dała mi prezent - spotkanie z wami. Jestem taka wdzięczna, że mogę należeć do waszej grupy. Z wami czuję się szczęśliwa. Zainspirowałyście mnie waszym ciepłem, akceptacją, radością, przyjaźnią, którą darzycie się nawzajem, tym, jak pełnymi garściami czerpicie z życia, jak słuchacie siebie bez krytyki, jak powitałyście mnie w swoim życiu. Teraz rozumiem znaczenie słowa „inspirować”. To znaczy „oddychać”. Dziękuję wam.

Kiedy mówiła, jej oczy wypełniały się łzami. Zanim skończyła, łzy błyszczały także w oczach pozostałych kobiet.

Gdy Priscilla po raz pierwszy dostała brylantowy naszyjnik, nosiła go do biura, do sklepu, banku, na seminarium. Nie wybierała specjalnie ubrań, żeby go podkreślić, nie mówiła o nim. Wiedziała, że powinna zwracać większą uwagę na biżuterię, przede wszystkim dlatego, że byłaby to dobra reklama dla sklepu. Ale nie przepadała za błyskotkami. Kiedy jeździła z Tomem na wystawy, widywała kobiety obwieszane ozdobami, ale obnoszenie się z inwentarzem sklepu nie leżało w jej charakterze. Priscilli podobała się biżuteria na innych kobietach, ale sama nie odczuwała potrzeby jej noszenia. Ozdoby były ostatnią rzeczą, o jakiej myślała, ubierając się. Musiała przyznać, że to nie najlepsza cecha u żony jubilera, ale po prostu nic nie czuła na widok biżuterii.

Tak samo jak nie czuła nic na widok brylantowego naszyjnika. Co dla niej znaczyło noszenie go? Nada (Nada (hiszp.) - nic.). To, co ekscytowało Priscillę, to myśl o następnym spotkaniu, na którym miała przekazać naszyjnik, o wieczorze, gdy znów spotka się z całą grupą, i to ona będzie gospodynią.

Priscilla zaczęła przygotowania sześć tygodni przed spotkaniem. Wyprasowała biały, lniany obrus i serwetki do kompletu. Wypolerowała srebrne sztucce i tace. Wyciągnęła porcelanę „Columbia” Wedgwooda i kryształowe kieliszki w kolorze żurawiny. Zamówiła catering z Wood Ranch BBQ & Grill w Camarillo: zimne krewetki, kanapki przekąskowe, grillowaną wołowinę, wybór sałatek i chleba. Przygotowała czekoladowe ciasto z kremem, które niegdyś było jej popisowym deserem, a którego nie robiła od siedmiu lat. I akcent końcowy: chambord (Chambord - wino z Doliny Loary.) i szampan. Wiedziała, że kilka kobiet uwielbia szampana, więc wyjęła butelkę Dom Perignon, którą dostali z

Tomem na Gwiazdkę trzy lata wcześniej. Od tamtego czasu nie było żadnej specjalnej okazji, żeby ją otworzyć.

Priscilla skrzywiła się na widok żółtej plamy, którą szczeniak córki zostawił na kremowym dywanie, ale wiedziała, że kobiety jej nie zauważą. Dlaczego miałyby się przejmować? Jedzenie wyglądało wspaniale, ale nawet to nie było ważne. Kobiety z grupy nie były wymagającymi gośćmi, nie dbały o to, co Priscilla poda.

Pięć minut przed szóstą otworzyła podwójne drzwi dwupiętrowego domu z cegły, pokrytego stiukiem i stanęła na zewnątrz.

Kobiety, jak to miały w zwyczaju, przyszły w grupkach, wchodząc do domu, wszystkie śmiały się i mówiły. W drzwiach powitała je ciepło Priscilla, a za nią półtorametrowa figura Marii Panny stojąca w wykuszu, z niebem pomalowanym w stylu trompe l'oeil (Trompe l'oeil - styl w malarstwie, sposób malowania wywołujący złudzenie, że perspektywa obrazu albo przedstawiane przedmioty są rzeczywiste.) za plecami.

Kobiety uśmiechały się, obejmowały i wykrzykiwały:

- Fantastyczna fryzura!
- Jak twoja podróż?
- Och, kurczę, popatrzcie na jedzenie!

Po entuzjastycznym powitaniu przeszły do jadalni. Kilka kobiet poszło prosto po szampana. Uniosły brwi i otworzyły usta, kiedy zobaczyły butelkę Dom Perignon.

- Masz pojęcie, co to jest? - zapytała Priscillę Dale Muegenburg.

- Nie znam się zbyt dobrze na szampanie, ale myślę, że jest drogi.

- Kosztuje około pięciuset dolarów za butelkę.
- Nie miałam pojęcia.

- Skoro już wiesz, to czy jesteś pewna, że chcesz go otworzyć?

- Jestem pewna. To specjalna okazja.

Zanim spotkanie nabrało rumieńców, miłośniczki szampana zgodnie przyznały: to najlepsze bąbelki, jakie kiedykolwiek piły.

- Zanim spotkałam te kobiety - mówi Priscilla - zawsze przed wszystkim się broniłam, mówiłam „nie”. Tom prosił mnie w sklepie, żebym obniżyła cenę, jak przy brylantowym naszyjniku, a ja mówiłam „nie”. Pytał, czy chciałabym pojechać na Hawaje, a ja odpowiadałam, że nie stać nas na to. Byłam okropna dla swojej córki, kiedy jeździła na wycieczki z koleżankami. Pracuje u nas w sklepie i sądziłam, że nie powinna tracić czasu na zabawę. Wysysałam życie ze wszystkich, którzy mnie otaczali.

Przez bardzo długi czas moje życie składało się jedynie z rodziny i pracy. Właściwie wszystko kręciło się wokół pracy. Wiedziałam, że to nie jest najważniejsza rzecz na świecie, ale zachowywałam się tak, jakby była. Praca stała się nawykiem, i to mi wystarczało.

Jednak nie byłam przygotowana na to, jak bardzo moje życie się zmieni. Od śmierci siostry i, w tym roku, ojca moja rodzina nie jest taka sama. Dzieci są już dorosłe i mają własne rodziny. To także coś nowego. Kiedy dorastały, wprowadziłam surową dyscyplinę. Teraz, gdy się usamodzielniały, nie chcę powiedzieć niczego, co mogłoby je urazić. Jestem z nimi blisko, ale zawsze czuję, że muszę być ostrożna, nie mogę przekraczać pewnych granic, zwłaszcza w rozmowie z synowymi. Trzeba wiedzieć, kiedy się odezwać, a kiedy zamilczeć. Najczęściej lepiej się wycofać. Nieważne, jak dobre ma się pomysły, jak ostrożnie dobiera słowa, dorosłe dzieci w każdej sugestii słyszą krytykę. Dlatego już nawet niczego nie sugeruję - to jest najtrudniejsze. Do tego jako

sprzedawca muszę uważać, żeby mówić odpowiednie słowa właściwym ludziom. Każdą rozmowę muszę prowadzić ostrożnie i z uwagą.

W grupie mogę zapomnieć o tym wszystkim. W dniu, w którym mam iść na spotkanie, praca idzie mi szybciej, łatwiej. Chodzę lżejszym krokiem. Teraz zawsze pytam: kiedy następne spotkanie? Tak świetnie się bawiłam, kiedy gościłam grupę w swoim domu. Po raz pierwszy od wielu lat przyjmowałam gości i po raz pierwszy w życiu nie byłam zdenerwowana ich wizytą. Nie chciałam, żeby wychodziły. Dzięki dzieleniu się z nimi sobą i swoim domem czułam spokój i pełnię.

Odkąd chodzę na spotkania, zaczęłam mówić „tak”. „Tak” na pokazanie się. „Tak” na wyciągnięcie ręki do ludzi.

Wynegocjowanie mojego uczestnictwa w grupie było najwspanialszym prezentem, jaki mój mąż kiedykolwiek mi dał. Oddał z powrotem moje życie. Podarował przyszłość.

Rozdział czwarty

Dale Muegenburg, tradycjonalistka

Roznieca na nowo płomień małżeńskiej miłości

Dale Muegenburg miała dostać naszyjnik dopiero po jedenastu miesiącach. To okropne, że musiała tak długo czekać. Czyż nie byłoby miło założyć go na doroczny bal klubu tańca w San Diego? Zadzwoiła do Roz McGrath.

- Oczywiście, że możesz go pożyczyć - powiedziała Roz przez telefon - ale nie będzie mnie w domu. Zostawię ci go na werandzie.

Dale, wyobrażając sobie typowe sąsiedztwo, zadrżała. Na zewnątrz, gdzie każdy będzie mógł go zobaczyć? Bez nadzoru? Co ta kobieta sobie wyobraża? Naszyjnik nie jest jeszcze nawet ubezpieczony. A jeśli ktoś go weźmie? Czy Dale będzie musiała wyłożyć pieniądze, żeby go odkupić?

Spięta Dale zapakowała ostatnie rzeczy do torby i nie rozluźniła się przez całą drogę do Amarillo, położonego dwadzieścia cztery kilometry na południe od Ventury. Poganiała męża, żeby jechał szybciej. Nie uspokoiła się, dopóki Ted nie wjechał na długą, krętą żwirową drogę, u której szczytu stał samotny dom Rose.

Dale pognęła do drzwi frontowych i schwyciła srebrne etui na biżuterię, po czym ścisnęła je na kolanach przez całą trzygodzinną drogę do San Diego.

Wtedy nowy niepokój zmącił jej myśli.

Czy ludzie nie pomyślą, że naszyjnik jest sztuczny? W kwestii biżuterii Dale wyznawała filozofię „im mniej, tym lepiej”. Jako prawdziwy klejnot naszyjnik był elegancki, lecz jako podróbka - zbyt ostentacyjny. Z drugiej strony prawdziwy naszyjnik z brylantami był symbolem statusu, a Dale krzywiła się na widok takich symboli. Jak wiele kobiet była podatna na ich czar - rolex był jedynym prezentem od

pierwszego męża, jaki zatrzymała - jednak czuła się płytka, kiedy mu ulegała. Nie lubiła się afiszować. Byłaby bardzo zakłopotana, gdyby ludzie uznali, że kupiła sobie symbol statusu. Poczucie winy sprawiło, że emocje zaczęły wirować w Dale jak obrazki w kalejdoskopie.

Dlaczego założenie naszyjnika wydawało się tak doniosłym wydarzeniem?

W hotelu Rancho Bernardo Dale zamieniła sandały na szpilki, a dzinsy na czarną sukienkę koktajlową z krepy. Delikatnie wyjęła naszyjnik z futerału i zapięła go na karku. Popatrzyła w lustro i znowu zalała ją fala emocji. Najpierw poczuła się elegancka jak królowa albo księżna Monako. Chwilę później jej animusz zniknął. Dlaczego widok siebie samej w naszyjniku tak ją niepokoił? Jak to możliwe? Przecież chciała wziąć udział w tym eksperymencie, walczyła, żeby dołączyć do grupy.

Dale Muegenburg regularnie spacerowała z Jonell i Nancy Huff. Trzy razy w tygodniu spotykały się o siódmej trzydzieści rano w kawiarni Palermo na Main Street. Ruszały wzdłuż Main na zachód, mijały budynek Misji i kierowały się w stronę mola. Wdychały słone powietrze Pacyfiku i kończyły spacer godzinę później bajglami z serem i podwójną latte. Dale jako jedna z pierwszych usłyszała o pomysle Jonell i też jako jedna z pierwszych zgłosiła chęć uczestnictwa.

Pomysł Dale się spodobał, ale wydatek nie. Pieniądze stanowiły dla niej problem. Nie pracowała na pełny etat, odkąd piastowała stanowisko asystentki adwokata w kancelarii Teda, gdzie poznali się dwadzieścia siedem lat temu. Wychodząc za Teda, owdowiałego adwokata z trójką dzieci, Dale czuła się, jakby podjęła pracę na pełny etat w domu. Próbowwała imać się różnych dorywczych prac, między innymi przez dwa lata uczyła francuskiego w liceum, ale pięć lat temu matka Teda zaczęła wymagać opieki i Dale musiała

na dobre pożegnać się z pracą. Oznaczało to, że nie miała żadnych własnych dochodów. Mogła bez konsultacji z mężem wydać sto dolarów, ale nie tysiąc.

Tego wieczoru przy kolacji była zbyt zdenerwowana, by wspomnieć Tedowi o naszyjniku. Potrzebowała czasu, aby znaleźć sposób, jak najlepiej poruszyć ten temat. Nie zamierzała prosić męża o zgodę, ale chciała mieć jego wsparcie.

Działaj powoli, powiedziała sobie, wybadaj, co on o tym myśli. Poddaj mu ten pomysł i poczekaj, niech Ted się z nim oswoi.

Ted był dobrym słuchaczem - to jedna z cech, które przydawały mu niezaprzeczalnego czaru. Wydawał się chłonać każde usłyszane słowo i naprawdę zainteresowany tym, co ludzie do niego mówili. Miał metr siedemdziesiąt pięć wzrostu, był łysy, nosił okulary i emanował seksapilem.

Tego wieczoru, kiedy Dale powiedziała Tedowi o wspólnym kupnie naszyjnika, mąż wysłuchał jej słów z uwagą. Jego mina mówiła „mów dalej”, myślał jednak: czy ja dobrze słyszę? Trzy kobiety, które razem spacerują, zamierzają kupić naszyjnik za dwadzieścia dwa tysiące dolarów? Czy ona oszalała? Jeśli takie są jej towarzyszki, to powinna znaleźć inne.

Głośno powiedział:

- Ech, wy, dziewczyny.

Dwa tygodnie później Dale wróciła do tematu.

- Plan Jonell może się powieść - zaczęła. - Chciałabym wziąć w tym udział.

O nie, ona znowu o tym, pomyślał Ted.

- Przecież masz już ładną biżuterię - powiedział na głos.

- Chodzi bardziej o to, że będziemy dzielić się naszyjnikiem.

- Nie sądziłem, że lubisz brylanty.

- Chodzi o coś więcej niż ich noszenie.

Nie łąpię, o co w tym chodzi, pomyślał. Wciąż tego nie rozumiem.

Dale, napotkawszy opór, nie walczyła dalej. Ta taktyka sprawdziła się doskonale, kiedy w wieku dwudziestu dziewięciu lat z dnia na dzień została matką nastolatków i wciąż pomagała jej w zgodnym życiu małżeńskim z Tedem. Porzuciła zatem temat.

Podczas gdy Dale zastanawiała się, jak przekonać męża do zakupu, Ted szukał sposobu, jak odwieść ją od tego pomysłu. Nie mógłby od trzydziestu lat wykonywać zawodu prawnika, gdyby nie był dobrym strategiem. Wiedział, że nie może - i nie chce - powstrzymać żony, ale kto wie, jak bardzo uraziłby Dale? A uraza, o czym dobrze wiedział, mogła zniszczyć małżeństwo. Wciąż jednak słono płacili za college najmłodszej córki. W takiej sytuacji brylantowy naszyjnik był ekstrawagancką i niepotrzebną błyskotką. Jednak Ted nie tyle nawet wątpił w sens zakupu, ile czuł się zraniony. Przez dwadzieścia cztery lata małżeństwa podarował Dale tak wiele pięknej biżuterii. Czy to jej nie wystarczało? I dlaczego chce mieć brylanty? Ostentacja nie była w jej stylu. Dale była skromna, stonowana.

Ted postanowił porozmawiać z Wayneem Huffem, którego żona, Nancy, zdecydowała się na uczestnictwo w tym przedsięwzięciu. Wayne zajmował się robotami budowlanymi, miał subtelne maniery i ciepły uśmiech.

- Myślę, że to zły pomysł - powiedział Ted pewnego niedzielnego popołudnia w domu Wayne'a.

- Dlaczego? - zapytał Wayne. - Dla dziewczyn to bardzo ważne. Będziesz szczęśliwszy, jeśli jej pozwolisz.

- Dlaczego tak sądzisz?

- A myślisz, że będziesz szczęśliwy z nieszczęśliwą żoną?

- Nie... Ale ten wydatek...

- Pomyśl o nim jak o inwestycji w wasz związek.

Ted lubił i szanował Wayne'a, więc jego słowa miały dla niego znaczenie. Rozsądek mu podpowiadał, że Wayne miał rację, ale emocje? Ted wciąż nie był do końca przekonany.

Dale o tym wiedziała. Podczas następnego spaceru zwierzyła się Jonell, że nie wie, jak przełamać opór męża.

Jak przekonać męża? Pomysłowość była mocną stroną Jonell. Na to pytanie już dawno znalazła odpowiedź. Musiała, skoro niewielu mężczyzn reagowało tak, jak Tom Van Gundy na pomysł, by ich żony kupiły brylantowy naszyjnik lub choćby uczestniczyły w jego kupnie. Mąż Jonell - tak jak wielu innych, którzy przewracali oczami, żartowali, krzywili się, a ich reakcje, czy to gwałtowne, czy subtelne, mówiły jedno: matko, co za bezsens - uznał pomysł za absurdalny.

Najbardziej oczywisty sposób, żeby mężczyzna zmienił zdanie - uznała Jonell - to seks.

- Wprowadzimy zasadę - powiedziała, a w jej oczach - jak zwykle - tańczyły psotne ogniki. - A właściwie, nie zasadę, bo nie wierzę w zasady. Wskazówkę. Każda kobieta, do której trafi naszyjnik, musi kochać się, mając na sobie tylko brylanty.

Przerwała i uśmiechnęła się figlarnym uśmiechem.

- Dlaczego kobiety nie miałyby przejąć władzy nad światem za pomocą seksu i brylantów?

Dale nie wiedziała, czy ta sztuczka zadziała, ale nie traciła czasu. Tego wieczoru podczas kolacji wspomniała żartem o „wskazówce”. Śmiechem zamaskowała zakłopotanie. Czuła się zażenowana, że używa podstępu, a jeszcze bardziej wizją siebie nagiej, w naszyjniku.

Bizuteria jako afrodyzjak? Ted nigdy by o tym nie pomyślał, ale ten obraz natychmiast go podniecił. Co za wspaniały sposób ozdobienia cudownego ciała żony! Uśmiechnął się.

- Zdecydowanie musisz go mieć.

W ten sposób Dale pokonała ostatnią przeszkodę z łatwością godną Florence Griffith - Joyner (Florence Griffith - Joyner - znana amerykańska sprinterka.).

Teraz, w hotelowym pokoju, Dale założyła naszyjnik po raz pierwszy. Chwila, w której czuła się jak królowa, minęła. Teraz czuła się bardziej jak pokojówka. Moja suknia nie jest go warta, pomyślała. A od tego był tylko maleńki krok do: ja nie jestem tego warta. Jestem za gruba. Gdy patrzyła w lustro na piękny naszyjnik i sukienkę w rozmiarze czternaście, Dale zdała sobie sprawę, jak bardzo jest zmęczona tym, że nie czuje się dobrze w swoim ciele, i przed lustrem złożyła przysięgę: schudnę jedenaście kilogramów. Kiedy za jedenaście miesięcy dostanę naszyjnik, będę się mieścić w ósemkę.

Wspominając te chwile przed lustrem, Dale mówi:

- Czułam się źle w swoim ciele między innymi dlatego, że przestał mnie interesować seks. Zawsze uważałam się za kobietę o ognistym temperamencie, ale menopauza po prostu go zdusiła.

Seks zaczął mi przypominać poród. Pamięta się, że był bolesny, ale przez lata zapomina, jak bardzo. Wiedziałam, że kiedyś uwielbiałam seks, ale nie pamiętałam uczucia pożądania i entuzjazmu.

Wiele kobiet po pięćdziesiątce nie dba o seks. Rozmawiałam z mnóstwem mężatek, które nie uprawiały seksu od lat. Ludzie wpadają w rutynę i zaczyna im być z tym wygodnie. Łatwo zrozumieć, jak to się dzieje, ale kobiety ryzykują, że ich mężowie nawiążą romanse. Dla mnie to byłaby katastrofa. Podjęłam świadomą decyzję, że znowu zainteresuję się seksem.

Słyszałam, jak lekarz w telewizji mówił, że im więcej uprawiasz seksu, tym więcej go chcesz. Polecał książkę pod

tytułem The Sex Diet. Jedyne egzemplarz, jaki udało mi się znaleźć w Internecie, był używany.

- Blee... - powiedziała przyjaciółka, kiedy jej o tym powiedziałam. - Używany egzemplarz poradnika seksualnego.

Nie pomyślałam o tym, więc poczułam ulgę, kiedy książka przyszła w oryginalnym, zaklejonym opakowaniu. Do książki dołączone były cienkie ulotki, jedna dla niego, jedna dla niej, pełne pomysłów. W ramach żartu dałam tę książkę Tedowi na Walentynki. Żadne z nas jej nie przeczytało, ale ja zerknęłam na ulotkę. Za bardzo się wstydziłam, żeby odważyć się na coś ekstremalnego, ale te propozycje uruchomiły moją wyobraźnię, sprawiły, że zaczęłam się zastanawiać, co mogłabym zrobić, żeby mieć więcej energii i entuzjazmu.

Potem zapisałam się na seminarium o życiu intymnym. To nie było seminarium dla par sensu stricto, ale poszliśmy razem. Efekt był dużo większy, niż oczekiwałam. Oboje zdaliśmy sobie sprawę, że nie komunikujemy się ze sobą. Tak naprawdę przez ponad dwadzieścia lat nigdy nie rozmawialiśmy o seksie. Wymienialiśmy tylko jakieś zawołane uwagi, jeśli zbyt często mówiłam „nie”, a to trudno było nazwać rozmową. Wstydziłam się inicjować seks, a mówienie o nim żenowało nas oboje.

Po seminarium wymyśliliśmy kod, zabawne zwroty oznaczające, na ile które z nas ma ochotę na seks. W ten sposób dawaliśmy sobie znaki bez potrzeby zbytnej dosłowności. Już prawie nie używamy tego kodu, bo teraz jesteśmy bardziej otwarci i szczerzy, ale ten sposób komunikacji okazał się dla nas przełomem.

Ubytek wagi też dużo zmienił. W ciągu ośmiu miesięcy straciłam jedenaście kilo, tak, jak sobie obiecałam. Tedowi nie przeszkadzało, kiedy byłam większa, ale po schudnięciu czułam się bardziej sexy.

Najbardziej pomogła mi endokrynolog, do której poszłam i powiedziałam, że moje życie intymne wymaga poprawy. Przepisała mi hormony i testosteron. Skutkiem ubocznym był zarost na twarzy - stale wyskubuję włoski - ale było warto. Testosteron wprowadził mnie w zupełnie nowy wymiar.

Teraz to ja częściej pragnę seksu i jestem dużo mniej powściągliwa. A oto przykład. Kiedy pojechaliśmy na spotkanie uczniów college'u Teda, spaliśmy w akademiku. Ted jest jedenaście lat starszy ode mnie, więc chodził do szkoły przed rewolucją seksualną. Zaczęłam myśleć o tamtych czasach z jego perspektywy, że pewnie chciałby mieć wtedy dziewczynę w swoim pokoju. Żeby zrealizować jego - jak sądziłam - fantazję, zamówiłam szkolny mundurek: spódniczkę w kratę, seksowną białą bluzkę i podkolanówki. Wiedziałam, że będę się wstydziała kupić strój w sklepie dla dorosłych w Venturze, więc zamówiłam go przez Internet. Nie kupiłabym kostiumu, gdybym przymierzyła go w sklepie, w kratce nie wyglądałam najlepiej. W akademiku były wspólne łazienki, więc musiałam przebrać się i na wierzch włożyć szlafrok. Nie chciałam, żeby ktokolwiek zobaczył mnie w tym przebraniu. Świetnie się bawiłam i Ted też chyba to docenił.

Z dnia na dzień coraz mniej się wstydzę próbować nowych rzeczy. Lubię oglądać w Internecie te wszystkie gadzety i kostiumy - kowbojek, dziewcząt z haremu. Chciałam zacząć oglądać filmy erotyczne, więc je także znalazłam w Internecie. Uznałam, że te filmy są zabawne i stymulujące, chociaż zawsze brakowało mi bardziej rozwiniętej fabuły, podczas gdy Ted, typowo po męsku, chciał obejrzeć tylko seks. Bez przerwy myślę: „ciekawe, czy to by było przyjemne”.

Kochanie się tylko w brylantowym naszyjniku było zdecydowanie zabawne i seksowne. Chichotaliśmy. Naszyjnik dodał sytuacji blasku i dramatyzmu, czułam się, jakbym była na planie filmowym.

Na początku, gdy zaczęłam eksperymentować, bałam się, że zaszokuję Teda. On dorastał w bardziej konwencjonalnych czasach. Nie chciałam, żeby stracił dla mnie szacunek, uznał, że zachowuję się jak dziwka, więc ostrożnie próbowałam nowości. Ale on zgadzał się na wszystko, co proponowałam, nawet reagował z entuzjazmem. Im bardziej mnie doceniał, tym bardziej byłam zrelaksowana i pewna siebie. Nagle zaczęłam się zastanawiać, dlaczego stałam się taka wstydliva.

Dale nie dorastała wśród wstydliwych kobiet. Jako najstarsza z trzech córek wychowywała się w wyższej klasie średniej w Palo Alto, trzy domy od rodziny Hewlettów, tych od fortuny Hewletta - Packarda. Jednak to nie sąsiedztwo miało największy wpływ na Dale, lecz kobiety z jej rodziny.

Egzotyczna ciotka Jeanne, która pracowała dla ministerstwa spraw zagranicznych i zwoziła do domu Dale upominki z różnych stron świata: figurki gazeli i bębny ze skóry zebry z Nairobi, siodło na wielbłąda i popiersie Nefretete z Kairu. Przywiozła Dale kimono z Hongkongu, czerwoną, skórzaną szkatułkę na biżuterię, inkrustowaną srebrnymi hieroglifami z Egiptu. Swymi urzekającymi opowieściami otworzyła umysł Dale na fascynację innymi kulturami.

Matka Dale, Mary, kobieta z jasno określonymi zasadami, nauczyła Dale, że jeśli chłopiec, który miał po nią przyjechać, spóźnia się kwadrans, to nie powinna się z nim więcej umawiać. Dale nie była przekonana do takich zasad, ale widziała, jak pomagały one matce, która otrzymała trzy propozycje małżeństwa, zanim powiedziała „tak” ojcu Dale. Fotografie z okresu, kiedy była młodą wdową, ukazywały Mary w objęciach wielu przystojnych mężczyzn. Nie musiała zabiegać o męską uwagę, ale przyjmowała ją swobodnie, była w zgodzie z własną seksualnością. Kiedy córka zapytała ją

wprost o seks z mężem, Mary odpowiedziała równie bezpośrednio:

- Jest wspaniały.

Kartki z życzeniami, przysyłane Mary na osiemdziesiąte urodziny, przypomniały Dale o powodzeniu matki. W jednej nadawca pisał do „sexy Mary”, w innej do „seksbomby z sąsiedztwa”. W domu spokojnej starości trzech mężczyzn ubiegało się o jej względy, składając codziennie wizyty i przynosząc prezenty.

Babcia Dale, Neva. Elegancka kobieta, która zawsze trzymała na stoliku do kawy bukiet długich, czerwonych róż, bardzo barwna postać. Kiedy Dale studiowała na Uniwersytecie Kalifornijskim w Santa Barbara, osiemdziesięcioletnia Neva miała dużo młodszego chłopaka, który był pilotem.

- Pod względem fizycznym nasz związek też jest wspaniały - mówiła do Dale z uśmiechem i puszczała oko.

Neva przyklejała afirmacje do lustra i namawiała Dale do czytania poradników pozytywnego myślenia.

Po tym, jak ktoś w 1974 roku na rozdaniu Oscarów przebiegł nago przez scenę i rozbieranie stało się modne, zwłaszcza w kampusach studenckich, rodzina Dale siedziała w salonie, gdy nagle Neva, która przyjechała z wizytą, przebiegła przez pokój nagusieńka, jak ją Pan Bóg stworzył. Zaszokowała wszystkich. Potem ubrała się, usiadła z rodziną na kanapie i wszyscy pokładali się ze śmiechu. Jako nastolatka Dale czuła się trochę zażenowana wyskokami babci, ale nawet wtedy widziała, jak szczęśliwą i pełną życia kobietą była Neva.

- Kobiety w mojej rodzinie czerpały radość z seksu - wspomina Dale - co wyszło mi na dobre. Dzięki temu uważałam seks za coś normalnego, naturalnego i zdrowego. Jednak mężatkom z długim stażem może być trudno

podtrzymywać zainteresowanie seksem, brakuje im energii, nie czują pożądania. Ważne, żeby kobiety z tym walczyły, bo mężczyźni potrzebują seksu, aby czuć się kochanymi. Bodźce wizualne wywołują u mężczyzn automatyczną reakcję, więc im trudniej jest stłumić popęd seksualny. U kobiet seks jest bardziej związany z mózgiem, musimy stworzyć w głowach fantazję, ale to oznacza, że mamy większą kontrolę nad popędem, co działa na naszą korzyść. To oznacza, że możemy zmienić nasz sposób myślenia, ożywić swoje życie seksualne. Ja pewnie mogłam urozmaicić nasze wcześniej, gdybym wiedziała to, co wiem teraz. Życie seksualne musi się stać naszym priorytetem.

Kuchnia w wygodnym, pełnym dzieł sztuki domu Muegenburgów jest świadectwem dwóch pasji Dale: wykwintnej kuchni i kultury francuskiej. Na siedmiu półkach z książkami kulinarnymi stoją egzemplarze Food Lover's Guide to Paris (Food Lover's Guide to Paris - Przewodnik po Paryżu dla smakoszy.), At home in Provence (At home in Provence - W Prowansji jak w domu.) obok klasycznych dzieł Julii Child i Jacques'a Pepina. W plastikowych pudełkach leżą egzemplarze „Gourmet” i „Bon Appetit” z ostatnich pięciu lat. Na blacie wykładanym szarymi kafelkami stoi kolorowa ceramika francuska. Miedziane rondle pochodzą od E. Dehillerina, paryskiego producenta garnków, u którego zaopatrywała się Child. Na ścianie wisi oprawione menu z Taillevent, grande dame paryskich restauracji.

Dale przygotowuje na kolację bakłażana z parmezanem. Podczas gotowania rozmawia swobodnie.

- Najbardziej lubię we francuskiej kulturze to - mówi - że ludziom nie szkoda czasu, żeby cieszyć się życiem. Rozkoszują się dobrym jedzeniem, wyśmienitym winem, seksem, rozmową, niemal zmieniają je w dzieła sztuki. Mogłabym znów zacząć pracować na pełny etat, ale nie

wyobrażam sobie życia z dwu - lub trzytygodniowym urlopem raz na rok.

Dale jako jedyna w grupie nie pracuje poza domem.

Większość czasu poświęca - wzorem Francuzów - na smakowanie życia, wydaje przyjęcia z wyśmienitym jedzeniem, pamięta o urodzinach przyjaciół, obdarowuje ich starannie wybranymi kartkami i prezentami, rozpieszcza rodzinę przedłużonymi obchodami urodzin i świąt.

Odkryła jednak, że brak pracy w opętanej karierą społecznościami ma swoją cenę.

- „Czym się zajmujesz?” to pytanie, na które trudno mi odpowiedzieć. Niektórzy od razu tracą tobą zainteresowanie. A klub inwestorów i praca charytatywna wydaje się im nie wystarczać. Musisz się nauczyć mówić o sobie w ciekawy sposób. Jewelia dała mi bardzo interesujący temat do rozmowy - mówi.

Dale ma na sobie bawełniane spodnie i w drobną, granatowo - czarną kratkę koszulę, spod której wyziera czarny koronkowy stanik. Ubranie jest zbyt luźne - to efekt ostatniej diety holistycznej. Od czubków rozjaśnionych włosów aż do wypedikiurowanych stóp wygląda na zadbaną i dobrze zorganizowaną. Łatwo ją sobie wyobrazić, jak spaceruje po Champs - Elysees, wyglądając bardziej jak Parisienne niż turystka. Jej głos przypomina ochryply tembr Kathleen Turner, twarz ma gładką, choć nie uciekała się do ingerencji chirurga plastycznego.

- Jestem przeciwna jakimkolwiek drastycznym zabiegom - wyjaśnia - ale jeśli jest jakiś krem czy hormon, który może pomóc, to go wykorzystuję.

Niedawno zaczęła używać kremów Obagi (Obagi - seria kosmetyków dermatologicznych.) i jej skóra promienieje.

Kiedy Dale kroi bakłażana na centymetrowe plastry, do kuchni wchodzi Ted, jego dziarski krok sygnalizuje dobry

nastrój. O szóstej był na siłowni, po owocnym dniu w firmie, w której zajmuje się planowaniem przestrzennym, a teraz, w domu, wita go zapach sosu pomidorowego z cebulą, czosnkiem i bazylią. Jego ubranie również jest zbyt luźne.

- Dale jest kucharką - mówi. - Ja jestem maitre (Maitre (franc.) - kierownik sali w restauracji hotelowej.), d'sommelier (Sommelier (franc.) - kelner.) i ekipą sprzątającą.

Dale skrapia bakłażana olejem z orzeszków ziemnych, a Ted opowiada o jednej ze swoich kelnerskich wpadek. Dale zaproponowała, że przygotuje polędwicę wołową na ucztę al fresco z inną parą. Schowała sos śmietanowy do lodówki w takim samym pojemniku, w jakim przechowywała resztki kociego jedzenia. Ted, który miał za zadanie spakować kosz na piknik, złapał pojemnik z frieskies zamiast sauce moutarde.

- Całkiem dobrze to zniosłam - mówi Dale. - Przynajmniej tak pamiętam.

- A czy ty kiedykolwiek zrobiłaś scenę? - pyta Ted. - Nie przypominam sobie.

- No, może małe przedstawienia. Mąż patrzy na nią z uśmiechem.

- Tak, one mi się podobały.

Rozmowa schodzi na pierwszy miesiąc, w którym Dale miała Jewelię. Razem z Tedem postanowili pojechać do Paryża, ich ulubionego miejsca na wakacje, żeby świętować urodziny Dale i odwiedzić najmłodszą córkę, która pracowała w kancelarii adwokackiej w paryskim oddziale nowojorskiej firmy.

Dale zawsze wyczekiwała niecierpliwie podróży, ale podczas tej miała nosić Jewelię. Druga wskazówka sformułowana przez Jonell mówiła, że każda kobieta, która będzie jechała do Paryża, może zabrać naszyjnik ze sobą - ze względu na jego nazwę. Dale była bardzo podekscytowana, że jako pierwsza kobieta w grupie postępuje według obu zasad.

Bez wątpienia noszenie naszyjnika do ubrań w rozmiarze osiem przynosiło duzo więcej satysfakcji niż zakładanie go do rozmiaru czternaście. Dale uwielbiała patrzeć, jak atrakcyjnie brylanty wyglądały teraz na jej szyi: układały się bardziej w literę „V” niż „U”.

Ted, urodzony gawędziarz, podejmuje opowieść. Przez lata nauczyli się doskonałego podziału obowiązków - wyjaśnia. Dale, mistrzyni poszukiwań, zarezerwowała loty, hotele i restauracje. Przystudiowała lokalną historię i kulturę. Władala czterema językami, ale popracowała trochę nad francuskim. Ted zaplanował rozrywki.

- Dokładnie wiedziałem, co chcę zrobić - mówi Ted. - Pokazać Jewelii Paryż. Zobaczyć miasto tak, jakbym oglądał je po raz pierwszy.

- Czy możesz jednocześnie mówić i robić sałatkę? - prosi Dale.

Ted opowiada dalej, a przy tym myje liście sałaty rzymskiej, kroi czerwoną cebulę, obiera cienko awokado. Praca nie przeszkadza mu w rozmowie, podobnie jak Dale.

- Wspięliśmy się z Jewelią na szczyt wieży Eiffla. Zabraliśmy ją do Luwru i na spacer wzdłuż Sekwany. Odwiedziliśmy Łuk Triumfalny i Musee d'Orsay. Wreszcie zabraliśmy ją do Cartiera - to chyba był gwózdź programu. To ja wpadłem na pomysł, żeby przedstawić Jewelię jej francuskiej kuzynce czy raczej ciotecznej babce. Chciałem zrobić jej zdjęcia z bogatą krewniaczką. - W jego tonie słycać rozbawienie, jakby Jewelia była członkiem rodziny.

Oboje czuli się trochę onieśmieleni luksusowym otoczeniem: klasyczne markizy osłaniające najbardziej ekskluzywny sklep świata, odźwierny w liberii, wytworne inkrustowane gabloty i wysoka, eteryczna blondynka, która do nich podeszła. Cartier ma żelazną zasadę, powiedziała

Muegenburgom: żadnych zdjęć w sklepie. Jednak kiedy zobaczyła ich rozczarowanie, szepnęła:

- Proszę pójść za mną.

Zaprowadziła ich do gabloty w kącie i oznajmiła, że zrobi wyjątek dla ich „małego tenisowego naszyjniczka”. Ted sfotografował Dale i Jewelię obok olśniewającego naszyjnika z trzech sznurów brylantów.

- To jednak nie kuzynka - uznał - ale raczej prababcia Jewelii, baronessa. Potem zabraliśmy ją do katedry Notre Dame, bo Jewelia niezbyt dobrze się prowadzi. Powinna była się wyświadczać, a gdzie znaleźlibyśmy do tego lepsze miejsce? Tom Van Gundy może ją czyścić, ale tylko powierzchownie. Usiedliśmy w ławce i przez chwilę rozmyślaliśmy o jej grzechach. Naprawdę sędzę, że po wyjściu lśniła trochę jaśniej.

- Kolacja gotowa - mówi Dale.

Ted siada, bierze kęs bakłażana i patrzy na żonę z uznaniem.

- To jest naprawdę dobre - chwali z uśmiechem.

- Masz dołeczki w policzkach - zauważa Dale, nawiązując do jego ubytku wagi i kładzie mu rękę na ramieniu. - Są takie słodkie.

Ted uśmiecha się z zażenowaniem, mówiąc:

- Zawstydzasz mnie. - I kończy opowieść: - Gdy patrzyliśmy na miasto, jakbyśmy tam byli po raz pierwszy, zauważyliśmy szczegóły, których wcześniej nie dostrzegaliśmy. To była zupełnie inna wycieczka i, co mnie zaskoczyło, jedna z naszych najbardziej udanych podróży.

I tak mąż, który najbardziej protestował przeciwko temu, żeby żona kupiła udział w naszyjniku, zyskał na nim najwięcej.

- Kilka lat temu, kiedy zmarła moja matka, a nasza najmłodsza córka się wyprowadziła, przestaliśmy się tak

naprawdę sobą interesować. Teraz swawolimy po całym domu - cieszy się Ted. - Pod wieloma względami za sprawą Jewelii zaczęliśmy bardziej podobać się sobie samym, między innymi dzięki zmianom, jakie zaszły w naszym wyglądzie. Ja schudłem dwadzieścia jeden kilogramów, a to dzięki gonitwie za Dale ubraną tylko w naszyjnik, żebyśmy mogli wypełnić wskazówkę. Dale także schudła. Jesteśmy bardzo ze sobą związani, więc wspieramy się nawzajem w dobrych nawykach. Poza tym Dale zyskała wiele pewności siebie, z czego czerpię ogromne korzyści. Czasami zapominam, ile mam lat. W najdzikszych nastoletnich latach ani nawet dziesięć czy piętnaście lat temu nie wyobrażałem sobie, że mógłbym prowadzić takie życie seksualne, jakie mamy teraz. To niewiarygodne. I nie biorę żadnych pigułek. Dzięki Jewelii nauczyłem się, jak ważne jest, żeby czasem stracić kontrolę, pozwolić, żeby coś zaczęło żyć własnym życiem.

Rozdział piąty
Maggie Hood, poszukiwaczka przygód
Pragnie zdrowego życia

Suchanie o przygodach innych kobiet z naszymi noszycami było bolesne dla Maggie Hood. Ona była zapewne największą poszukiwaczką przygód z nich wszystkich. Skakała na bungee w Nowej Zelandii, obozowała w australijskim buszu, przejechała rowerem Pacific Coast Highway, wspięła się na górę św. Heleny w Waszyngtonie, a pięćdziesiąte urodziny ucziała skokiem ze spadochronem. Jeździła na nartach, także wodnych, chodziła na piesze wyprawy i ukończyła krótki triathlon. Jednak w lutym, kiedy po raz pierwszy nosiła naszycami, Maggie nie szukała żadnych przygód. Inaczej niż pozostałe kobiety nie mogła świętować pierwszego spotkania z brylantami. Musiała skoncentrować wszystkie siły na zarabianiu na życie i odbudowywaniu go.

Maggie miała ogromne doświadczenie w odbudowywaniu swojego życia. Jej pierwsze małżeństwo z chłopcem z college'u zakończyło się po pięciu latach, kiedy on zapragnął mieć dzieci, a ona chciała robić karierę. Przy drugim małżeństwie złożyła pozew o rozwód po trzech miesiącach i dwóch ciosach męża.

Jednak tamte rozstania bledły w porównaniu z tym, które miało miejsce, kiedy nadeszła jej kolej na noszenie brylantów. Ten rozwód kładł kres szesnastoletniemu małżeństwu z ojcem dwojga dzieci Maggie. Rozstanie wpędziło ją w depresję, a opieka naprzemienna nad dziećmi zupełnie przybiła. Odkąd przyszły na świat, co wieczór całowała dzieci na dobranoc, a teraz mogła je widywać tylko co drugi tydzień. Wiedziała, że musi sobie znaleźć jakieś zajęcie. Nie lubiła przesiadywać sama w domu.

Jednak jej grupa wsparcia także się skurczyła. Po rozwodzie straciła zaprzyjaźnione pary, a co gorsza, także rodzinę męża, która przez szesnaście lat była jej własną.

Rodzice Maggie nie żyli. Jeden z braci dogorywał w więziennym szpitalu psychiatrycznym, pozostała trójka rodzeństwa mieszkała na Środkowym Zachodzie. W Chicago Maggie miała krąg bliskich przyjaciółek, od szkoły podstawowej aż do średniej, ale wszystkie pozostały w mieście.

Przyjaciele Maggie z poprzednich miejsc pracy i poprzedniego życia byli rozrzucony od Nowego Jorku aż do Arizony. Nawet pracowała w coraz mniejszych zespołach - obecnie sprzedawała domy dla agencji nieruchomości, w której pracowało tylko pięcioro ludzi. Odkryła, że im robi się starsza, tym trudniej jej zaczynać życie od nowa.

Maggie spotkała Jonell na seminarium i od razu wiedziała, że chce kupić udziały w naszyjniku. I oto teraz, pod koniec lutego, „jej miesiąca”, zaprosiła grupę, żeby w obecności wszystkich przekazać naszyjnik, który nigdzie nie był. Nie będzie jej trudno oddać brylanty. A dlaczego miałyby być, skoro ledwo pamięta, że go nosiła. Rozstanie i przeprowadzka do wynajętego domu wprowadziły w jej życie chaos. Przeprowadzki zawsze są ciężkim przeżyciem, ale dla Maggie, po raz pierwszy bez dzieci u boku, to była tortura. I do tego jeszcze naszyjnik był u niej w Dzień Świętego Walentego, ale nie miała nikogo, z kim mogłaby się umówić na randkę w ten najbardziej romantyczny wieczór roku. Wtedy zrozumiała, jak ciężko będzie jej w święta. Uwielbiała wydawać okazjonalne przyjęcia dla rodziny męża. Ale to już przeszłość. Jedyne, co jej pozostało, to głębokie poczucie osamotnienia.

W wieczór spotkania kobiety przyszły o szóstej, jak zwykle śmiały się i rozmawiały. Uściskały Maggie.

- Twój dom wygląda wspaniale - powtarzały jedna po drugiej.

Ich komplementy sprawiły, że wymiana naszyjnika bardziej przypominała parapetówkę. Maggie spędziła z tymi kobietami tylko kilka godzin, a mimo to, rozglądając się po salonie, czuła życzliwość, jakiej od bardzo dawna nie zaznała. Jednak w tym miesiącu wydarzyło się coś dobrego. Naszyjnik wniósł w jej życie nową energię. Może to on poprowadzi mnie do nowego rozdziału w życiu, pomyślała.

Miała taką nadzieję.

Miesiące mijały, a Maggie starała się pogłębić więź, którą czuła tego wieczoru u siebie w domu. Jednak przyjaźń nie rodziła się tak szybko i łatwo, jak tego oczekiwała. Różniła się od pozostałych kobiet pod wieloma względami. Podczas gdy większość z nich miała dość obfite kształty, Maggie, najmłodsza w grupie, prezentowała jędrne ciało trzydziestolatki. Większość z nich starzała się naturalnie, Maggie zdecydowała się na podniesienie powiek i lifting twarzy.

Istniały między nimi też mniej widoczne różnice. Większość kobiet miała w grupie stare przyjaciółki, Maggie znała tylko trzy z nich - przelotnie. Była jedyną mamą w grupie, która wciąż wychowywała dzieci - w wieku dziesięciu i piętnastu lat - co oznaczało, że czasami spóźniała się na spotkania, ponieważ musiała porozmawiać z nauczycielką albo pójść na mecz baseballu lub softballu. Poza tym i tak traciła dużą część rozmów przez wadę słuchu. Cieszyła się z aparatu słuchowego, który nosiła od trzydziestego roku życia, ale nienawidziła swojej ułomności. Nie słyszała puent żartów, szept był poza jej zasięgiem. Nie słyszała, kiedy mówiły - co często się zdarzało - wszystkie naraz.

Mimo to nie mogła się doczekać drugiej rundy z naszyjnikiem. Tym razem rozegra to, jak należy. Przysięgła

sobie, że przeżyje przygodę, jaką tylko ona, poszukiwaczka przygód, przeżyć potrafi. Zaplanowała, że znów skoczy ze spadochronem. Pierwszy raz był tak ekscytujący, że Maggie przykleiła na zderzaku swojej furgonetki naklejkę z napisem: „Skacz ze spadochronem! Zaryzykuj nie po to, żeby uciec od życia, lecz po to, żeby życie nie uciekło tobie!”.

Maggie uzgodniła datę, po czym napisała e - mail do kanału drugiego telewizji KCBS w Los Angeles:

Będę skakała ze spadochronem z Jewelią, brylantowym naszyjnikiem wartym trzydzieści siedem tysięcy dolarów. Myślę, że to fantastyczna historia. Proszę dać znać, czy są Państwo zainteresowani.

Producent programu odpisał:
jesteśmy zainteresowani.

Pewnego wietrznego, słonecznego dnia w lutym Maggie pojechała dwieście dwadzieścia pięć kilometrów do Szkoły Skoków Spadochronowych Jima Wallace'a w Perris w Kalifornii. Chwilę pogawędziła z reporterem i operatorem kamery, po czym ubrała się w niebiesko - fioletowy kombinezon z polycottonu, zapięła uprząż, założyła rękawiczki i gogle. Na końcu przykleiła taśmą klejącą naszyjnik do karku.

- Będę dziś miała jeden z tych „nieborgazmów” - powiedziała kokietyjnie do kamery i z głośnym śmiechem dodała: - Jewelia po raz pierwszy w życiu wyskoczy z samolotu.

Operator zrobił zbliżenie na regularne rysy Maggie, jej zielone oczy, sypkie włosy, brylanty otaczające jej szyję. W podmuchach wiatru kamera zarejestrowała kolczyki z kryształem górskim, które Maggie kupiła do kompletu z naszyjnikiem za dziesięć dolarów i dziewięćdziesiąt dziewięć centów w sklepie JCPenney.

Uniosła oba kciuki w górę, wsiadła do samolotu i zajęła miejsce na ławce między dwoma innymi skoczkami.

Samolot wzbił się w górę. Spadochroniarze wyskoczyli jeden po drugim.

- Twoja kolej - powiedział instruktor do Maggie. Maggie wstała, a instruktor przypiął jej swoją uprząż.

- Jestem gotowa - odparła i znów uśmiechnęła się do kamery.

Wychyliła się z otwartych drzwi samolotu i na wysokości czterech tysięcy metrów skoczyła.

Jej ciało przyjęło pozycję horyzontalną. Maggie rozpostarła szeroko nogi i ręce, posłała pocałunek do kamery. Przez pięćdziesiąt sekund pikowała z prędkością stu dziewięćdziesięciu trzech kilometrów na godzinę, aż wiatr huczał jej w uszach.

Potem pociągnęła za linkę, spadochron się otworzył, a ciało Maggie przybrało pozycję pionową. Przez następnych tysiąc pięćset metrów Maggie i Jewelia spokojnie i bezgłośnie płynęły ku ziemi.

Maggie wstała z miękkiego podłoża, po czym wypięła się z uprzęży swojej i instruktora.

- To było fantastyczne - zachwycała się przed kamerą. Dotknęła naszyjnika.

- Jewelia to zrobiła. Przetrwała swój pierwszy skok ze spadochronem.

Gdy nagranie dobiegło końca, Maggie spytała reportera, kiedy materiał będzie w telewizji. Odpowiedział, że w ciągu kilku następnych dni w wiadomościach o siedemnastej.

Każdego popołudnia Maggie nagrywała wiadomości na wideo, aż trzeciego dnia po skoku puszczone materiał o niej. Oglądając siebie w telewizji jeszcze raz przeżywała tamte emocje, więc obejrzała reportaż trzy razy. Nie mogła się doczekać, aż pokaże nagranie grupie. W końcu przeżyła

przygodę z naszyjnikiem, coś, co zbliży ją do pozostałych kobiet. I pokazała Jewelię milionom widzów. Kobiety będą zachwycone.

Dwa dni później zadowolona z siebie Maggie uściskała kobiety na powitanie. Cierpliwie przeczekała kolację i omówienie głównych punktów spotkania.

W końcu Jonell zapytała:

- No dobrze, jak ci minął miesiąc z Jewelią?

- Fantastycznie - odpowiedziała Maggie. - Pokażę wam. - Włączyła trzydziestopięciocalowy telewizor Sony, żeby odtworzyć reportaż, i obejrzała go z całą grupą. Tak, znowu. Nigdy nie miała dosyć tego nagrania. Uwielbiała patrzeć na siebie w sytuacjach, w których rzucała wyzwanie śmierci.

Kobiety patrzyły, a temperatura w pokoju rosła. Większość z nich nie widziała reportażu w telewizji, nie miały nawet pojęcia o skoku Maggie.

Wiele z nich myślało to samo: co ona wyprawia? Skąd jej przyszło do głowy, że w tym eksperymencie chodzi o to, by mogła pokazać się w telewizji?

Nagranie dobiegło końca. Nikt nie odezwał się ani słowem.

Cisza powiedziała Maggie, że spuściła bombę, ale nie miała pojęcia, w jaki sposób. Wszystkie chciały usłyszeć opowieść Patti, która zabrała Jewelię na Hawaje i historię Dale po wycieczce z brylantami do Paryża. Dlaczego nikt nie był zainteresowany przygodą Maggie?

Zbita z tropu i urażona Maggie także milczała.

Parę minut później spotkanie dobiegło końca.

W ciągu kilku następnych dni za pośrednictwem maili i telefonów kobiety ustaliły, że Jonell przekaze Maggie e - mailem wiadomość od całej grupy: Możesz nosić naszyjnik, robić, co tylko chcesz, skakać ze spadochronem, na bungee

albo spuszczać się z góry na linie, ale nie informuj o tym mediów. Osobista promocja nie jest tym, na czym nam zależy.

Maggie czuła, jak podczas czytania wiadomości tężeją jej mięśnie, aż wyszły żyły na ramionach. Teraz ona była zaskoczona. Zadzwoiła szybko do Jonell i od razu zaczęła się bronić. Przecież nie zrobiła nic innego niż zwykle. Kiedy jej córka omal nie zginęła przez niebezpieczne surfowanie, zadzwoniła do gazet. Rozsyłała maile, żeby rozreklamować swój klub narciarski. Skontaktowała się ze wszystkimi mediami w Venturze, żeby promowały „Marsz Miliona Matek” („Million Mom March” - marsz w dniu kobiet, postulujący ograniczenie dostępu do broni palnej.) w Los Angeles. Media były jej środowiskiem. Jako główny kierunek w college'u w Minnesocie obrała komunikację. Pracowała jako reporterka dla filii CBS w La Crosse w Wisconsin. Pisała scenariusze i sprzedawała reklamy radiowe. Zanim zaczęła sprzedawać domy, całe jej życie zawodowe wiązało się z mediami.

Jonell pamiętała o doświadczeniu Maggie, ale wysłuchiwała jej jeszcze raz.

- Na następnym spotkaniu sama możesz powiedzieć kobietom, jak się czujesz - odpowiedziała uprzejmie. - Wtedy o tym porozmawiamy.

Maggie nie chciała siedzieć na ławie oskarżonych i słuchać, jak inne kobiety mówią, że sobie z nich zakpiła. Zamiast iść na spotkanie, została w domu i rozmyślała o obrocie, jaki przyjęły sprawy.

Nie mogła kłócić się z tymi kobietami. Była skłócona ze swoim byłym mężem, z jego rodziną, a teraz także z nastoletnią córką. Wiązała z tą grupą ogromne nadzieje, nie mogła stracić z nią kontaktu. Przesłała mailem najszczerze przeprosiny, na jakie ją było stać, jednak nawet w obrębie dwóch stron nie mogła powstrzymać się przed krytyką wobec

adresatek: „Na przyszłość - napisała - jeśli macie do mnie jakieś zastrzeżenia, powiedzcie mi o tym wprost, a nie za moimi plecami”.

Kiedy kliknęła „wyślij”, zdała sobie sprawę, że przez długotrwałe działanie w pojedynkę zapomniała, co oznacza bycie częścią grupy. Nie musiała się przed nikim tłumaczyć, odkąd skończyła - ile? - jedenaście lat.

Tamtego roku zmarł jej ojciec, który był alkoholikiem. Zostawił rodzinę z zaległym czynszem za rok i rachunkami ze szpitala na tysiące dolarów, ale bez jednego dolara na koncie. W ciągu roku matka także zmarła od nadmiaru alkoholu, co oficjalnie położyło kres dzieciństwu Maggie.

Najstarsza z pięciorga dzieci musiała codziennie po szkole pilnować braci i sióstr, żeby odrobili lekcje i wypełnili swoje domowe obowiązki. W wieku czternastu lat zaczęła potrzebować pieniędzy na ubrania i szkła kontaktowe, więc przez dwadzieścia cztery godziny tygodniowo sprzedawała słodycze w Chicago Theatre, największym kinie w mieście. Nie powstrzymał jej fakt, że musiała wracać przez niebezpieczną okolicę o jedenastej w nocy w tygodniu i o drugiej nad ranem w weekendy. Nauczyła się przeklinać po hiszpańsku. Ćwiczyła groźne spojrzenia w lustrze, aż wytrenowała minę, która mówiła: nie zadzieraj ze mną. Miała metr pięćdziesiąt dwa wzrostu i ważyła czterdzieści sześć kilo, ale nikt jej nigdy nie zaczepiał.

Od tamtych nocy w Chicago pracowała bez przerwy. W college'u utrzymywała się z pożyczek studenckich i pracy kelnerki. Nigdy nie szukała u nikogo wsparcia czy rady, nie wypłakiwała się na niczym ramieniu.

Żadna z kobiet nie wspomniała więcej o incydencie. Maggie także, ale długo myślała nad tym, co się stało.

Najpierw zastanawiała się nad sobą. Wiedziała, że jej bezpośredniość, którą wyniosła z nędznych ulic Chicago,

mogła kogoś urazić. Tak jak arogancja, której nabyła w ciągu trzech lat jako reporterka telewizyjna, kiedy robiła wywiady z tak ważnymi ludźmi, jak Jimmy Carter czy Nancy Reagan. Doszła do wniosku, że z kobietami z grupy będzie musiała postępować inaczej, pomyśleć, zanim coś powie czy zrobi, nabrać trochę pokory.

Maggie niełatwo było zniechęcić. Po prostu stawiała czoła nowemu wyzwaniu. Kiedy rynek nieruchomości się załamał, narzekała tak samo, jak każdy agent w kraju, ale potem zaczęła działać. Zainwestowała dwa i pół tysiąca dolarów w szkolenie z obrotu nieruchomościami, planowała uzyskać licencję brokerską i przenieść się do lepszego biura. Postanowiła zrobić certyfikat osobistego trenera oraz poprowadziła dwunastotygodniowe warsztaty „Żyj fitnessem i zdrowiem (bez względu na wszystko)”.

Maverick to siłownia na Telegraph Road, w której Maggie jest stałą klientką. Właśnie skończyła półgodzinny trening z ciężarkami. Ma na sobie spłowiałe czarne spodnie od dresu, obcisłą koszulkę, która odsłania jej wyrzeźbiony brzuch, i buty Nike Air. Odkąd była nastolatką, wyrobiła sobie piętnaście kilogramów mięśni, ale wciąż jest szczupłą i drobna. Jej skórę pokrywa lśniąca warstwa potu.

- Kiedy zakładam naszyjnik do eleganckiej garderoby, czuję się cudownie - mówi. - Ale wkładanie go na siłownię, kiedy mam na sobie przepocone ciuchy i żadnego makijażu, to świetna zabawa.

- Zaczęłam trenować dwadzieścia sześć lat temu, kiedy kierowałam działem i byłam tak zestresowana, że nie mogłam spać. Na siłowni odkryłam, że jestem tylko ja i sprzęt. Nie słyszałam dzwoniących telefonów, nie widziałam stert papierów. Trening stał się dla mnie formą medytacji. Kiedy zobaczyłam, jak bardzo uspokaja, podjęłam zobowiązanie. Woziałam w samochodzie strój do ćwiczeń i dwa razy w

tygodniu prosto po pracy szłam na siłownię. Ludzie patrzą na mnie i myślą, że ćwiczę codziennie. Ćwiczę rzadziej, ale robię to regularnie i robiłam przez połowę mojego życia. Słowo numer jeden w moim słowniku to „zobowiązanie”.

Ćwiczę także dlatego, że potrzebuję energii, bo mam małe dzieci. Z moją dziesięcioletnią córką kręcę hula - hop. Jeśli nie będę w formie, za kilka lat nie zrobię tego, co chcę. Podczas podróży nie wejdę po schodach do pałacu, który zamierzam zwiedzić. Jeśli przejdę jakąś operację, a nie będę w formie, rekonwalescencja potrwa dłużej.

Wszyscy w mojej rodzinie zmarli przed siedemdziesiątym piątym rokiem życia. Dla mnie to za wcześnie. Będę miała sześćdziesiąt lat, kiedy mój syn pójdzie do college'u. Mogę być przed siedemdziesiątką, gdy zostanę babcią. A muszę zabrać moje wnuki do Disneylandu.

Nowe wyzwania - to kolejny klucz do wiecznej młodości. Tym właśnie była dla mnie Jewelia. Moim następnym wyzwaniem jest wspinaczka na Mount Whitney, najwyższy szczyt w Kalifornii. Już się zobowiązałam. Dostanę się na szczyt, choćbym miała się tam czołgać.

Pracuję nad swoim umysłem tak samo intensywnie, jak nad ciałem. Czytam książki o osobistej przemianie, odkąd przeczytałam w latach osiemdziesiątych Sukces dzięki pozytywnemu myśleniu autorstwa Napoleona Hilla i W. Clementa Stone'a. Całe lustro w łazience i zagłówek łóżka mam oklejone karteczkami z afirmacjami. Nieustannie pracuję nad sobą, staram się uwolnić od przeszłości i żyć zdrowym, prawdziwym życiem. W niektóre dni to łatwe. A w inne nie tak bardzo. Czasami czuję się w tej grupie mało ważna, niezauważana. Muszę walczyć z tym uczuciem. Muszę sobie mówić: „to cudowne kobiety. Takie odczucia dawno minęły”. Musimy uporządkować przeszłość, pozbyć się negatywnych uczuć. Gdybym tak ciężko nie pracowała nad sobą, nie

poradziłabym sobie z reakcją na mój skok ze spadochronem. Ta grupa jest taka sama jak każdy związek. A podstawą każdego dobrego związku jest zobowiązanie, że będziemy przepracowywać problemy.

Na początku konfliktu wyciągamy palec, żeby wskazać winnych, ale w końcu musimy wycelować go w siebie i przyjąć odpowiedzialność. Zdałam sobie sprawę, że jeśli chcę nawiązać z tymi kobietami głęboką przyjaźń, to muszę wyciągnąć do nich rękę. Nie da się kogoś poznać, jeśli widuje się go raz w miesiącu. Związki buduje się podczas spotkań w cztery oczy. Zamierzam zadzwonić do każdej kobiety z grupy z zaproszeniem na lunch. Żyję według celów, a jednym z nich jest poczuć się częścią grupy. Podjęłam zobowiązanie.

Przyjaciółki są niezbędne do zdrowego życia.

Rozdział szósty

Tina Osborne, niechętna

Znajduje radość w czynieniu dobra

Drugiego stycznia 2005 roku w gazecie „Ventura County Star” ukazała się wzmianka o trzynastu kobietach i ich brylantowym naszyjniku. Dwa dni później gazeta opublikowała list do redakcji, napisany przez byłego profesora Harvardu, obecnie wykładowcę na Kalifornijskim Uniwersytecie Luterskim, który skrytykował kobiety.

„Dobry przykład tego, jak media promują fałszywe przekonanie, że posiadanie przedmiotów i zwracanie tym na siebie powszechnej uwagi przynosi szczęście”, napisał. „Noszenie naszyjnika w miejscach publicznych rodzi kolejny problem: manifestowanie fałszywego bogactwa”.

Jonell zmartwiła się, czytając te słowa. Czy profesor miał rację? Czy kobiety udawały, że są kimś ważniejszym, niż były w rzeczywistości? Roztrząsała ten problem przez komórkę, podczas porannych spacerów, z przyjaciółmi i rodziną. Upokorzenie wkrótce zostało zastąpione przez rozbawienie faktem, że profesor psychologii poświęcił czas na skomentowanie jej eksperymentu. Po rozbawieniu przyszedł czas na sprzeciw. Jonell uwielbiała pojedynki.

- Oczywiście, media promują fałszywe przekonanie, że posiadanie przedmiotów przynosi szczęście. To nic nowego. Ale nam chodzi o coś innego. A co jest złego w manifestowaniu fałszywego bogactwa? I jaka w ogóle jest definicja pojęcia „bogactwo”? Może to właśnie umiejętność dzielenia się jest prawdziwym skarbem? Co wy na to?

Im więcej o tym mówiła, tym więcej zadawała pytań. W końcu pozostało jedno: czy możemy sprawić, że naszyjnik będzie znaczył coś więcej?

Słowa profesora mogły zboleć Jonell, ale też pobudziły ją do działania.

Dwa miesiące później, ósmego marca 2005 roku, w Międzynarodowy Dzień Kobiet, grupa wydała przyjęcie, którego celem była zbiórka pieniędzy dla Koalicji Walki z Przemocą w Rodzinie. Uczestników miał skusić wieczór z Jewelią.

Kobiety postawiły na nieskomplikowaną promocję, wydrukowały ulotki na zwykłym papierze i porozdawały je rodzinom, przyjaciołom, współpracownikom oraz sklepom. Namówiły przyjaciół i krewnych, żeby udostępniili miejsce, personel, zapewnili muzykę, wino, kwiaty, jedzenie: półmiski bruschetty i egzotycznych serów, quiche z owczym serem i suszonymi pomidorami, miniaturowe tarty z figami i wisienkami. Nakłoniły dwóch mężów, żeby zajęli się barem i dały dwóm bezdomnym dwadzieścia dolarów za przyniesienie piwa.

Wiele z kobiet już wcześniej brało udział w zbiórkach pieniędzy, ale były to akcje planowane przez kogoś innego. Dopiero teraz mogły puścić wodze fantazji. Jak każde przedsięwzięcie organizowane w kilka tygodni, przyjęcie, zanim przyniosło korzyści, wzbudziło obawy: a jeśli nikt nie przyjdzie? Bez załączonych do ulotek kartek z prośbą R.S.V.P. ani bez potwierdzających telefonów kobiety mogły tylko spekulować: przyjdzie dziesięć osób czy dwieście i nie wystarczy dla wszystkich jedzenia?

Norbert Furnee, smakosz, znawca wina i bon vivant zaoferował na miejsce przyjęcia Deco, swoją kontynentalną restaurację w centrum. Była ukryta na pierwszym piętrze zabytkowego budynku Banku Włoch, ozdobionego płaskorzeźbą z włoskiego marmuru, tuż za rogiem domu, w którym Erle Stanley Gardner pisał kryminały o Perrym Masonie.

Deco nie było pierwszą restauracją w Venturze z wybornym jedzeniem, ale lokal Furnee był chyba pierwszym z taką atmosferą: szarozielone ściany, sufit w kolorze masła orzechowego, ręcznie wykonany bar z filipińskiego mahoni, współczesna sztuka z prywatnej kolekcji właściciela, wspaniały wybór win.

Goście zaczęli schodzić się o piątą. O wpół do szóstej w maleńkiej restauracji panował taki tłok, że ludzie wypływali poza patio aż na ulicę. W miarę wzrostu decybeli i ilości rozpychających się łokci, kobiety zaczynały się rozluźniać. Przedzierały się przez tłum, witały nowo przybyłych.

- Gdzie jest Jewelia? - pytał jeden gość po drugim. Kobiety przeczesywały pomieszczenie wzrokiem i bezgłośnie pytały jedna drugą:

- Gdzie jest Jewelia?

Wiedziały, że w tym miesiącu naszyjnik ma Tina Osborne. Nie wiedziały jednak, że nie zamierzała pojawić się na przyjęciu ani że chciała odłączyć się od grupy.

Dwie godziny wcześniej, kiedy kobiety przestawiały stoły w Deco, by pomieścić jak najwięcej gości, Tina Osborne kończyła pracę we Wniebowzięciu Naszej Pani, parafialnej szkole średniej na Telegraph Road, naprzeciwko centrum handlowego. Uczyła nauk społecznych, ortografii i religii.

Prace uczniów, flaga UCLA (UCLA - University of California, Los Angeles - Uniwersytet Kalifornijski.), plakat z Jezusem i krucyfiks ozdabiały ściany przestronnej, słonecznej klasy, w której trudno znaleźć ślady obecności dziewięćdziesięciu uczniów. Nie widać było ani jednej porzuconej kartki czy książki, wszystkie krzesła leżały równo na ławkach.

Przy stu pięćdziesięciu czterech centymetrach wzrostu Tina nie była dużo wyższa od swoich uczniów, ale miała donośny głos i władczy sposób bycia. Z blond włosami,

głęboką opalenizną, w sandałach na płaskim obcasie i krótkiej, kwiecistej spódnicy uosabiała niezobowiązujący styl kalifornijskiej dziewczyny, jednak w zachowaniu była bardzo zasadnicza. Nie pozwalała uczniom wyjść, dopóki klasa nie była tak uporządkowana jak wtedy, gdy do niej weszli. Kiedy ich karciała - „nie jestem z was zadowolona” - słuchali. Ale nawet bardzo surowa mina nie przysłaniała urody Tiny. Rysy miała tak doskonałe, twarz w tak idealnych proporcjach, że mogłaby należeć do aktorki filmowej.

Dla Tiny to był długi dzień. Ćwiczyła z siódmą klasą przed wielkopostną mszą pasyjną. Ożywiła lekcję z historii starożytnego Egiptu dla szóstoklasistów dzięki mumifikowaniu z nimi kurczaka, którego potem zakopali w szkolnym ogrodzie. Przygotowała ósmą klasę do odegrania sprawy sądowej i wyjaśniła im koncepcję „Boskiego Przeznaczenia” (Manifest Destiny - koncepcja „Boskiego Przeznaczenia”, różnie interpretowana: począwszy od uznania, że głosi prawo Amerykanów do przejęcia obszarów pomiędzy Atlantykiem a Pacyfikiem, aż po Przyznanie im prawa do kontroli nad całą półkulą zachodnią.) w dziewiętnastowiecznej Ameryce. Zrobiła siódmoklasistom dyktando i mimo że była wykończona, została po lekcjach, żeby ocenić prace. Jej zasada? Nigdy nie brać pracy do domu. Poza klasą także chciała mieć życie.

Chociaż ostatnio stawało się ono coraz bardziej puste.

Trzy domy od Tiny odchodziła jej dziewięćdziesięciodwuletnia matka, której oczy z każdym dniem traciły wyraz. Mieszkająca z nią opiekunka była błogosławieństwem, ale Tina wciąż kupowała matce jedzenie i lekarstwa, w tygodniu przynosiła obiady, odwiedzała staruszkę niemal codziennie po szkole. Jako jedyna dziewczynka wśród siedmiu braci Tina od pierwszych lat

życia była bardzo mocno związana z matką, jedyną kobietą, której mogła się zwierzyć. Jednak tamte dni już minęły.

A teraz, kiedy Tina wracała ze szkoły do domu, mężczyzna, który na nią czekał, nie był tym samym, w którym zakochała się na UCLA, tamtym studentem stomatologii, który serwował jej posiłki w domu Thety (Theta - stowarzyszenie studenckie.), który przypominał Tinie jej braci, przystojnym, zadziornym, zabawnym i bystrym. Ozzie wciąż był przystojny, ale już nie tak bystry. Miał pięćdziesiąt osiem lat i stwierdzono u niego chorobę Parkinsona.

- Kiedy usłyszałam diagnozę, byłam w szoku. Co innego, kiedy choruje ktoś z twoich rodziców, ale choroba kogoś w twoim wieku uderza cię jak obuchem. Najpierw zrobiło mi się go żal. Potem pomyślałam: a co się stanie, jeśli on nie będzie mógł pracować? Wiedziałam, że będzie musiał zrezygnować z praktyki. Przez dwa lata będzie dostawał rentę inwalidzką, ale co potem? Czy poradzimy sobie finansowo?

Musiałam znowu zacząć uczyć w pełnym wymiarze godzin. Nie wiem, kiedy będę mogła przejść na emeryturę. Potrzebujemy ubezpieczenia. Żadne z nas nie pochodzi z zamożnej rodziny, pieniądze zawsze były dla nas problemem.

Zaczęłam uczyć, kiedy moje najmłodsze dziecko było w siódmej klasie. Lubiłam pracować, ponieważ miałam własne pieniądze, z którymi mogłam robić, co mi się żywnie podobało, a to zwykle oznaczało kupowanie rzeczy do domu. Teraz całe moje zarobki idą do skarbonki, z czym nie jest mi lekko. Już nie mogę chować pieniędzy w szufladzie z bielizną. Nasze role odwróciły się z dnia na dzień. Nagle ja stałam się żywicielem rodziny. Czułam się z tym fatalnie. Miałam wrażenie, że powinnam prowadzić inne życie.

Przez długi czas nie mówiłam o diagnozie nikomu, żadnemu z przyjaciół ani rodzinie. Pragnęłam tylko spokoju.

To było zbyt nowe, zbyt intymne. Nie chciałam, żeby ludzie o nas mówili.

Bałam się, że go stracę, że nie damy sobie rady finansowo. Gonitwa myśli budziła mnie o drugiej nad ranem. Czy będziemy mogli zostać w naszym domu? A jeżeli nie? Dokąd pójdziemy? Brałam różaniec i modliłam się. „Proszę, Boże, ukazaż mi moją drogę”. Zasypiałam dopiero o piątej, a pół godziny później musiałam zwlec się z łóżka, żeby pójść do pracy.

Potem zaczęłam być zła. Dlaczego my? Dlaczego ja? Miałam już matkę pod opieką. Byłam zła, bo miałam coraz więcej pracy i byłam wykończona.

Trudno dostrzec oznaki pogorszenia jego stanu. Nagle przybiera taki poważny wyraz twarzy i wygląda jak maska, i myślę, że jest na mnie zły albo nie interesuje go to, co mówię. Jednak ta mina nie oznacza ani jednego, ani drugiego, to po prostu objaw choroby. Ogarnia cię złość na chorego, bo zmienia się jego osobowość. Tracisz mężczyznę, za którego wyszłaś. Tracisz najlepszego przyjaciela. Coraz bardziej odczuwam różnicę między tym, kim był i kim jest teraz. Między tym, kim jest on, a kim ja. Już nie zmierzamy w tym samym kierunku.

Ni z tego, ni z owego moja matka jest naprawdę stara, mój mąż się starzeje, a człowiek sam staje się stary, jeśli obraca się w towarzystwie starców. Ale ja jeszcze nie jestem na to gotowa. I nie chcę być. Mam młodą duszę. Nie mam żadnych problemów zdrowotnych. Nie biorę leków. Po szkole jadę do mamy, z którą nie mam kontaktu, a potem wracam do męża, z którym nie komunikuję się tak jak kiedyś, i czuję się taka samotna. Jestem w pułapce między jednym przytłaczającym smutkiem a drugim. Przez cały czas czuję ucisk w żołądku.

Spotkania z nową grupą kobiet wydawały mi się kolejnym obowiązkiem.

Tina nie brała udziału w przygotowaniach do przyjęcia. Nie rozsyłała zaproszeń rodzinie, przyjaciołom ani współpracownikom. Powiedziała Ozziemmu, że to nie jest ważna impreza, więc nie musi na nią iść. Wolał zostać w domu.

Tina także wolałaby nie iść. Nie miała ochoty na niczyje towarzystwo, nie mówiąc już o tłumie. Od początku niechętnie przyłączyła się do grupy. Nigdy nie interesowały jej żadne kółka i miała już przyjaciół. Poza tym większości kobiet w ogóle nie знаła, a poznawanie ich wydawało jej się związane z jeszcze większą ilością pracy. Przyłączyła się do nich tylko dlatego, że namówiła ją Nancy Huff.

Przyjęcie budziło w Tinie mieszane uczucia. Nikt z nią na ten temat nie rozmawiał. Nikt nie zapytał, czy przyjdzie, więc jakie znaczenie może mieć jej obecność?

Zastanawiała się nad tym pytaniem, kiedy odezwało się jej katolickie poczucie winy. Przyjęcie odbywało się w miesiącu, w którym naszyjnik należał do niej. Równie dobrze może go pokazać. Przecież nie nosiła brylantów do szkoły. Cóż, właściwie nosiła, ale chowała je pod golfami i kołnierzykami. Czowała się z nimi niezręcznie przy innych nauczycielach.

Przymierzyła kilka strojów, po czym zdecydowała się na prostą czarną spódnicę z koronki i obcisłą dżersejową bluzkę w tym samym kolorze, z głębokim, bardzo nienauczycielskim dekoltem w kształcie litery „V”. Założyła czarne, ozdobione cekinami sandały na wysokich obcasach, odświeżyła makijaż: nałożyła ciemniejszy cień na powieki, wybrała czerwiejszą szminkę. Nastroszyła krótkie włosy i zaciesała je za uszy. Założyła brylantowe kolczyki, które należały do jej matki. Naszyjnik miała już na sobie, ale dopiero w zestawieniu z tym strojem brylanty wyglądały jak należy, zadziwiały. Tina obejrzała się w dużym lustrze i spodobało jej się to, co zobaczyła: zasadnicza nauczycielka zmieniła się w piękną

kobietę. Tina nie lubiła w tygodniu chodzić na przyjęcia ani pić, ale elegancki strój po ciężkim dniu pracy sprawił jej przyjemność.

W Deco pojawiła się o siedemnastej trzydzieści. Znalazła miejsce do parkowania przed budynkiem, jak gdyby uśmiechnęli się do niej parkingowi bożkowie. Wysiadła z białego volvo kombi i ruszyła w stronę restauracji. Światła lśniły, uśmiechały się do niej nieznajome twarze. Głosy wykrzykiwały:

- Przyjechała!
- Zróbcie jej miejsce!
- Już idzie!
- Czyż nie jest piękna?

Tina rozejrzała się dookoła siebie. O kim oni wszyscy mówią? O niej? Dlaczego mieliby czekać właśnie na nią? Co się dzieje?

Głosy wykrzykiwały coraz głośniej:

- Cudowne...
- Oszałamiające...
- Przepiękne...

Mój Boże, pomyślała Tina, oni chyba nie mówią o moim biuście. Wiedziała, że jej dekolt ukazuje rowek między piersiami, ale nie sądziła, żeby był aż tak głęboki. Ale z jakiego innego powodu tylu mężczyzn wpatrywałoby się w jej biust?

- Podejdz tu... tutaj... mogę sobie zrobić z tobą zdjęcie? Chciałbym mieć zdjęcie z Jewelią.

Jewelia! Oczywiście. Ludzie nie mówili o Tinie, tylko o brylantowym naszyjniku. No dobrze, dziewczyno, pomyślała, musisz stanąć na wysokości zadania. Ramiona do tyłu, biust do przodu. Pokaż im ten uśmiech.

Tina uśmiechnęła się szeroko. Wiedziała, jak maszerować po czerwonym dywanie.

Szła po nim, kiedy wybrano ją królową roku w Madonnie Gwieździe Mórz, katolickim liceum w San Pedro. Defilowała przed trenerami i sportowcami, gdy zdobyła drugie miejsce w wyborach Miss UCLA. Szła po nim, kiedy czterech mężczyzn wybrało ją do wymarzonej letniej pracy: kelnerki koktajlowej w Walt Disney's Club 33, ekskluzywnym klubie dla dygnitarzy. Stanowisko wymagało noszenia kostiumu francuskiej pokojówki, ale przynosiło największe napiwki w całym Disneylandzie.

Ta praca nie była niedosiężną fantazją dla dziewczyny dorastającej w Los Angeles, trzydzieści kilometrów od Hollywood. Blask sławy otaczał domowe życie Tiny. W jej oczach uderzająco atrakcyjni rodzice przypominali gwiazdy filmowe. Jej standardową odzywką było:

- Moja mama wygląda jak Elizabeth Taylor, a tata jak John Wayne.

Dwóch z siedmiu braci Tiny występowało w dzieciństwie w filmach, jeden w serialu telewizyjnym. Trzy popołudnia w tygodniu i całą sobotę Tina spędzała na lekcjach baletu w studiu Nica, męża znanej w latach pięćdziesiątych tancerki Cyd Charisse. Tina uwielbiała występować, przebywać na scenie. Po obejrzeniu Mojej gwiazdeczki poprosiła tatę, żeby nazywał ją Star, tak, jak miała na imię w tym filmie Shirley Tempie. Mówił tak na nią aż do śmierci.

Rodzina Tiny wciąż była w świetle reflektorów. Jeden z jej braci został operatorem filmowym, drugi uczył aktorstwa i śpiewał, trzeci miał zespół muzyczny. A teraz czar sławy kusił następne pokolenie. Syn Tiny, Sean, produkował programy telewizyjne o sportach ekstremalnych. Jej córka Mary wygrała reality show na MTV „Surf Girls”, co sprawiło, że zaczęła pojawiać się w reklamach, gazetach i filmach dokumentalnych.

Tina z radością odstąpiła dzieciom miejsce na scenie. Już dawno przestała myśleć o blasku sławy.

Przyjęcie miało skończyć się o ósmej, ale ludzie wciąż stali w długiej kolejce do baru i kłębili się w każdej wolnej przestrzeni. Tina myślała, że zna w Venturze prawie wszystkich, lecz restauracja była pełna nowych twarzy. Przez cały wieczór podchodzili do niej nowi ludzie, rozmawiali, pytali o historię naszyjnika. Tina nie miała dosyć powtarzania opowieści. Cały wieczór ludzie chcieli robić jej zdjęcia. Nie miała dosyć uśmiechania się.

O dziewiątej trzydzieści goście wciąż rozmawiali i robili zdjęcia, a Tina nadal miała mnóstwo energii. Bardzo nie chciała, żeby ten wieczór dobiegł końca, ale o dziesiątej pojechała do domu. Po drodze odmówiła modlitwę dziękczynną za to, że włożyła odpowiedni strój - a nawet za to, że w ogóle tam poszła.

Nie mogła się doczekać, aż opowie mężowi o tym wieczorze, ale Ozzie już spał. Dziesiąta trzydzieści była zbyt późną godziną, żeby mogła zadzwonić do kogokolwiek bez poczucia winy, więc napisała maila do przyjaciółki. Tina opisała cały wieczór: tłum gości, spontaniczność, energię. Wspomniała, że czuła się jak gwiazda filmowa, jak wolny duch.

To było magiczne, wystukała na klawiaturze. Nigdy nie zapomnę tego wieczoru.

Wieczoru, dzięki któremu Tina została w grupie.

- Kiedy kończymy pięćdziesiąt lat - mówi później Tina - i nie uciekamy od życia, coś się zmienia. Nigdy nie przypuszczałam, że będę miała dziś tak wiele pracy i osób wymagających mojej opieki, jak wtedy, gdy wychowywałam czwórkę dzieci. Tyle starzejących się kobiet pielęgnuje w sobie złość i gorzknieje, o czym świadczą ponure zmarszczki na ich twarzach. Przysięgam sobie, że ja się taka nie stanę.

Kiedy nadciągają mnie negatywne myśli, wiem, że pora spotkać się z dziewczynami.

Rozdział siódmy

Mary Osborn, współzawodniczka

Stara się dzielić odpowiedzialnością

W tym samym czasie, kiedy Tina była w centrum zainteresowania, inna piękna blondynka przepychała się przez tłum. Nosiła to samo nazwisko co Tina, ale poza tym nic ich nie łączyło. Tina była drobna, Mary Osborn - posągowa. Tina wciąż była z pierwszym mężem, Mary już z trzecim. Tina całe życie pracowała jako nauczycielka, Mary zajmowała się interesami. Jednak przyjęcie w Deco wywołało u obu kobiet tę samą reakcję: ponowne uznanie wartości grupy.

Mary była jedną z wielu kobiet, które z miejsca odmówiły Jonell. Uznała za niedorzeczny pomysł, że kobiety mogą dzielić się brylantowym naszyjnikiem. Każda będzie chciała go nosić w tym samym czasie. Mary wyobrażała sobie kłótnie, ale nie przychodziła jej do głowy ani jedna sytuacja, w której sama mogłaby założyć taką ozdobę.

Teraz jako gość na przyjęciu ze zdziwieniem zauważyła, że kobiety nie tylko używają naszyjnika, by zdobyć pieniądze na szczytny cel, ale też dzięki niemu spotykają się z przyjaciółmi i rodziną, poznają nowych, interesujących ludzi. A wszystko to w kilka godzin.

Kurczę, to się nazywa maksymalne wykorzystanie wolnego czasu, pomyślała Mary z zazdrością. Najwidoczniej nieprzyłączenie się do grupy było błędem, ale mogła go naprawić.

Później, na spotkaniu klubu inwestorów, którego część członkiń należała do Jewelii, Mary poszukała Jonell.

- Chcę dołączyć do grupy - powiedziała. - Chcę zająć miejsce pierwszej kobiety, która zrezygnuje.

Potem podeszła do innych kobiet z Jewelii.

- Proszę, użyjcie swoich wpływów, żeby włączyć mnie do grupy - prosiła - jeśli ktoś zrezygnuje.

Miesiąc później zrezygnowała jedna z kobiet i Mary przyłączyła się do grupy.

Mary potrafiła radzić sobie z ludźmi. Na spotkaniu dotyczącym praw obywatelskich motocyklistów precyzyjnie się przez tłum około stu pięćdziesięciu mężczyzn, żeby porozmawiać z mówcą, który zrobił na niej największe wrażenie. Odkryła, że łączą ich wspólne pasje: harleye i polityka. Wyszła za niego za męża. Jako członkini Centralnego Komitetu Partii Republikańskiej Hrabstwa Ventura często spotykała się z wizytującymi politykami. Jako starsza asystentka dyrektora generalnego Behavioral Science Technology Inc., międzynarodowej organizacji zajmującej się bezpieczeństwem pracy z siedzibą w Ojai, pracowała z VIP - ami i personelem z całego kraju.

Mary doprowadziła sztukę poznawania ludzi do perfekcji. Z łagodnie modulowanym głosem, wyważonym słownictwem i stonowanym zachowaniem była chodzącym obrazem Miss Ameryki. Dzięki delikatnym, ładnym rysom i ciału tancerki z Vegas mogłaby zająć pierwsze miejsce w konkursie bikini. W biurze, ubrana w garsonki, jedwabie i wysokie obcasy, uosabiała profesjonalizm.

Aby jej nie ograniczać, szef Mary zaproponował, żeby starała się o stanowisko w dziale public relations, ale ona lubiła swoją pracę, w której robiła dla szefa wszystko: poczynając od planowania kalendarza aż po przygotowywanie prezentacji. Lubiała być blisko władzy, tam, gdzie podejmowano decyzje. Znajdowała satysfakcję w pracy z mężczyzną, od którego wciąż się czegoś uczyła. Poza tym za dziesięć - , dwunastogodzinny dzień pracy otrzymywała pensję, dzięki której znalazła się w grupie czterech procent najlepiej zarabiających kobiet.

Mary nie lubiła nosić brylantów w biurze. Według niej naszyjnik nie pasował do kultury korporacyjnej. Jednak lubiła mieć go na sobie, kiedy pędziła swoim harleyem, i na strzelnicy.

Po pięćdziesięciogodzinnym tygodniu pracy Mary spędza sobotę na warsztatach „Kobiety na Celowniku” w Klubie Strzelniczym Ojai Valley. Należy do klubu od sześciu lat, a od dwunastu do Narodowego Stowarzyszenia Broni Palnej.

Strzelnica znajduje się w Narodowym Lesie Los Padres, na obrzeżach Ojai, miasta leżącego dwadzieścia minut drogi od Ventury. Wśród gór otaczających Ojai znajdowała się Shangri - La, rajska dolina z filmu Franka Capry z 1937 roku, opartego na powieści Jamesa Hiltona Zagubiony horyzont. Huk wystrzałów niesie się po piaszczystej pustyni, w obrębie kilometrów nie ma żadnych „zamglonych gór”. Tutaj, pośród aromatycznych suchych krzewów i krzaków, trawa marnieje w oczach, upał dusi.

Pomimo wypalonego słońcem otoczenia Mary jest uosobieniem chłodu. Ma na sobie obcisłe niebieskie dżinsy, czarną koszulę z długimi rękawami, czarną czapkę bejsbolową za złotym logo NRA (National Rifle Association - Narodowe Stowarzyszenie Broni Palnej.), okulary przeciwsłoneczne Juicy Couture i naszyjnik ze stu osiemnastu brylantów. W czarnych butach na pięciocentymetrowych obcasach ma metr osiemdziesiąt dwa wzrostu i wygląda o dziesięć lat młodziej niż na swoje pięćdziesiąt dziewięć lat, stanowczo zbyt młodo, żeby szesnastolatek mówił do niej „babciu”. Przypomina takie kociaki z pistoletem jak Julie Christie w filmie McCabe i pani Miller czy Jane Fonda w Kasi Ballou.

Mary podchodzi do znajomych mężczyzn, z których większość jest dziś instruktorami. Razem z mężem strzela z nimi w weekendy do rzutek i teraz wymienia z każdym

uściski. Krąży także wokół kobiet, namawia je, by wstąpiły do klubu.

- Święcie wierzę, że mamy prawo się bronić - wyjaśnia kobiecie, która strzela po raz pierwszy. - Kiedy mój mąż wyjeżdża z miasta, czuję się pewniej, jeśli mam broń.

To pierwszy sponsorowany przez NRA warsztat tylko dla kobiet. Strzelnicę wypełnia dwadzieścia siedem kobiet: od nastolatek po sześćdziesięciolatki. Uczestniczki i instruktorzy częstują się kawą i babeczkami z borówkami, po czym zbierają przy drewnianych stołach piknikowych ustawionych pod zadaszeniem.

Mary czuje się w tym spartańskim otoczeniu równie swobodnie, jak w swoim eleganckim biurze. Nic dziwnego, skoro dorastała w bazach wojskowych, gdzie jej ojciec był zawodowym żołnierzem, który zaczął służyć w marynarce i przeszedł do lotnictwa. Podarował Mary i jej dwóm starszym siostrą wiatrówki Czerwony Kapturek, zabierał córki na pola i uczył strzelać. Czasem dołączała do nich matka Mary, która sama była dobrym strzelcem. Ojciec Mary był tak często poza domem, że dziewczyna nigdy nie zapomniała tych wspólnych chwil, zwłaszcza że nie trwały długo. Zmarł, kiedy miała dziewięć lat.

Mary już dawno nie ma tamtego Czerwonego Kapturka, ale pozostało jej zainteresowanie bronią. Dzisiaj jest właścicielką „pięknej Beretty”, pistoletu High Standard Supermatic Trophy kalibru 22, zasilanego gazem pistoletu Colt Combat Commander oraz pistoletu Desert Eagle i, z powodów sentymentalnych, dwóch Czerwonych Kapturków. Zapisła się na ten warsztat, bo nigdy wcześniej nie uczyła się strzelać z pistoletu.

Zaczynają się zajęcia, jeden instruktor przypada na dwie uczestniczki. Mary jest w parze ze Stephanie Fuller, pięćdziesięciodwulatką, która zajmuje się pożyczkami pod

hipotekę. Obie kobiety usiadły przy stole naprzeciwko instruktora, Ralpha Rendiny, mechanika samochodowego, który brał udział w zawodach strzeleckich. Jest opalony i muskularny, ma krótkie, nastroszone włosy.

- Nie istnieje coś takiego jak bezpieczna broń palna - mówi instruktor. - To wy musicie zapewnić bezpieczeństwo. Trzydzieści lat temu ludzie uczyli się obsługiwać broń od swoich rodziców. Teraz uczy ich Hollywood, a w filmach nikt nie postępuje z bronią właściwie.

Rendina mówi, a Mary zdejmuje okulary przeciwsłoneczne i zawiesza je na dekolcie bluzki w kształcie litery „V”. Pokazuje Rendinie pistolet męża, który przyniosła, Colt Python 357 Magnum.

- Pożyczamy sobie nawzajem pistolety - wyjaśnia.

Rendina demonstruje, jak trzymać broń, naciskać spust, ładować i rozładowywać magazynek. Mary chłonie każde jego słowo. Kiedy instruktor upuszcza nabój, biegnie, żeby go podnieść.

Mimo, że mówi do obu kobiet, Rendina skupia swoją uwagę na Mary.

- Czy zastrzeliłabyś kogoś - pyta ją - gdybyś bała się o swoje życie?

- O, tak - zapewnia bez wahania.

- W takim razie musisz się nauczyć, jak strzelać w swojej obronie.

- Byłoby świetnie - odpowiada Mary. - Czy są zajęcia dla kobiet?

Na strzelnicy, w odległości piętnastu metrów od strzelców, ustawiono dwadzieścia tarcz. Mary zakłada okulary ochronne i słuchawki. Strzelają ze Stephanie na zmianę. Rendina przez cały czas je instruuje.

- Kobiety są najlepszymi strzelcami - mówi. - Ich serce bije wolniej, wolniej też oddychają, więc są bardziej stabilne.

Mary wystrzeliwuje wszystkie dwadzieścia trzy naboje. Strzela, trzymając pistolet w jednej ręce, w obu, w prawej, w lewej. Zmienia kąta ustawienia. Choć żaden z naboji nie trafia w czarny środek, każdy mieści się w obrębie kół tarczy.

Po zakończonym strzelaniu Rendina idzie do wszystkich dwudziestu tarcz i dokładnie ogląda wyniki.

- Mary była najlepsza pod względem trafień w tarczę - ocenia.

- Strzelanie daje mi energię - mówi później Mary, elegancko sącząca z puszki dietetyczną pepsi. - Chciałabym strzelać w każdy weekend, to cudowny sport. Nigdy nie udałooby mi się namówić do tego kobiet z Jewelii, ale czyż nie byłoby wspaniale umówić się z przyjaciółkami i pójść postrzelać?

- Uwielbiam współzawodnictwo - tłumaczy Mary kilka dni po wizycie na strzelnicy. - Za każdym razem, gdy strzelam, chcę być lepsza. Chciałam być lepsza niż Stephanie. W młodości byłam niezgrabna i niezdarna, nie uprawiałam żadnego sportu. Mój drugi mąż występował w konkursach strongmanów, to on namówił mnie na strzelanie, treningi na siłowni i zapasy. Mieliśmy w domu stół do siłowania się na rękę i ja też brałam udział w konkursach. Mąż zainteresował mnie motocyklami.

Lubię sprawować kontrolę nad potężnymi maszynami. Lubię samochody z silnikami o dużej mocy. Raz prowadziłam samochód wyścigowy na Lyons Drag Strip w Los Angeles, przejechałam czterysta metrów w dziesięć sekund. Uwielbiam, jak podnosi się poziom adrenaliny, spowodowany podejmowaniem ryzyka. I lubię poczucie władzy.

Moja chęć współzawodnictwa wynika zapewne z faktu, że nie miałam szansy pójść do college'u albo - jeśli ją miałam - jej nie dostrzegłam. Po śmierci ojca matka zaczęła mieć problemy emocjonalne. Chodziłam do czterech różnych

liceów. Desperacko chciałam wyrwać się z domu, więc wyprowadziłam się, kiedy miałam siedemnaście lat, w wieku osiemnastu wyszłam za męża, a jako dwudziestodwulatka urodziłam pierwszą córkę. Pracuję na pełny etat, odkąd skończyłam osiemnaście lat, z wyjątkiem tego roku, kiedy się urodziła.

Tak bardzo chciałam, żeby moje córki poszły do college'u, żeby nie popełniły moich błędów. Ale one obie zrobiły dokładnie to samo co ja, czym złamały mi serce. Nauczyłam się, że ważniejsze jest to, jakim jesteś przykładem dla swoich dzieci niż to, co im mówisz. Mój brak wykształcenia zawsze mi przeszkadzał, dlatego tak bardzo staram się zdobywać nieformalną edukację. Zawsze szukam nowych informacji, wiecznie uczestniczę w jakichś kursach - w seminarium o literaturze, warsztatach prawnych, kursie komputerowym. Jedną z pociągających cech mojego męża jest to, że stanowi dla mnie intelektualne wyzwanie. Nigdy nie mam dosyć nauki. Wciąż zadaję sobie pytanie: co wiedzą absolwenci szkół, czego nie wiem ja?

Czasami myślę, że ukończenie college'u już nie ma znaczenia. Spotkałam mnóstwo lepiej wykształconych ludzi, którzy byli głupszy ode mnie. Kiedy indziej myślę, że nie mogę umrzeć bez ukończenia szkoły. Wiem, że miałabym większe poczucie własnej wartości, gdyby mi się udało. Ludzie często pytają, gdzie chodziłam do szkoły i w jakiej dziedzinie się specjalizowałam. To pytanie zawsze mnie wprawia w zakłopotanie. Nawet dzisiaj czuję, że spychają mnie na margines. Dlatego czułam się onieśmielona, kiedy pierwszy raz spotkałam te kobiety. Tak wiele z nich należało do bractw uczelnianych, było debiutantkami piszącymi magisterkę, podczas gdy ja użerałam się z dwoma trudnymi mężami i wychowywałam dzieci. Nigdy nie zaprosiłam kobiet do domu, tak skromnego w porównaniu z ich domami.

Zwykle wybieramy przyjaciół, którzy myślą podobnie. Gdybym nie przystąpiła do grupy, nigdy nie spotkałabym połowy tych kobiet. Liberalizm Jonell był dla mnie trudny do przyjęcia. Zawsze sądziłam, że rok tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty siódmy był ważną granicą dzielącą nasze pokolenie. Uważałam za haniebną, że ludzie protestują przeciwko wojnie w Wietnamie, i to z taką złością. Jak mogli okazywać taki brak szacunku żołnierzom i rządowi? Podczas zajęć z psychologiem poprosiłam go o pomoc w zrozumieniu Jonell, a on dał mi artykuł o kontrkulturze lat sześćdziesiątych, który otworzył mi oczy.

Zawsze rozróżniałam tylko czerń i biel. Nie dostrzegam szarości. Moje horyzonty się poszerzyły dzięki słuchaniu różnych punktów widzenia kobiet, stałam się mniej ograniczona. One mają tyle energii, że przebywanie z nimi mnie także dodało sił.

Rok po przyłączeniu się do Jewelii Mary przekonała grupę, żeby następna zbiórka została przeznaczona na Miracle House - ośrodek oferujący intensywną kurację odwykową dla mieszkających w nim narkomanek. Mary chciała się odwdzińczyć, ponieważ terapia w ośrodku uratowała życie jednej z jej krewnych. Kiedyś mówiła sobie, że odwdzińczy się, ale nie miała pojęcia, co mogłaby zrobić.

Dowiedziała się od tych kobiet. Zajęła się organizacją zbiórki tak, jak przez lata organizowała tego rodzaju imprezy dla swojej firmy.

Przyjęcie bardzo się różniło od tego w Deco. Deszcz bębnił o dach Table 13, o wiele większej restauracji, w której kręciło się dużo mniej gości. Jednak to nikomu nie przeszkadzało. Braki w atmosferze zostały nadrobione przejrzystym przekazem, gdy dwie kobiety opowiadały ze łzami, jak Miracle House uratował im życie. Wzruszyły

wszystkich obecnych, w tym zapłakaną Mary. Dzięki kobietom z Jewelii spełniła swoje marzenie.

Pięćdziesięciodolarowe datki przy wejściu dały w sumie kwotę siedmiuset pięćdziesięciu dolarów dla ośrodka. W Deco zebrano na rzecz Koalicji Walki z Przemocą w Rodzinie pięćset czterdzieści dolarów. Żadna z tych kwot nie szokowała, ale obie miały swoje znaczenie.

Stowarzyszenie przeznaczyło zebrane pieniądze na dziewięćdziesięciodniową terapię przez zabawę dla dzieci, które były ofiarami przemocy domowej. Miracle House mogło zapłacić za pobyt i leczenie dziesięciu kobiet, które potrzebowały terapii, ale nie mogły sobie na nią pozwolić ze względów finansowych.

- Niedawno obcięto nam fundusze - powiedziała dyrektorka Brenda Davidson - więc pieniądze, które zebrała Jewelia, spadły nam jak z nieba.

Zadziwiona łatwością, z jaką trzynaście kobiet działających razem może coś osiągnąć, grupa znalazła swoją drogę: lokalna filantropia dla społeczeństwa, którego potrzeby znały i mogły zobaczyć rezultaty. Półtora roku po utworzeniu grupy kobiety z Jewelii zebrały dzięki brylantowemu naszyjnikowi więcej pieniędzy, niż na niego wydały.

Rozdział ósmy

Mary Karrh, pragmatyczna

Odkrywa na nowo, że życie jest jej pasją

Jonell rozdała plan spotkania ze zwykłym, figlarnym uśmiechem.

1. Gdzie była Jewelia - w wielu interesujących miejscach - w zimnej wodzie i, och, między iloma parami nóg?

2. Dokąd pójdzie dalej?

3. Komu może pomóc?

4. Czy wszyscy są szczęśliwi?

Pod pewnymi względami tak, wszyscy byli szczęśliwi. Zbiórka pieniędzy dawała kobietom satysfakcję. Artykuł o Jewelii w magazynie „People” je podekscytował. Jednak niektóre czuły, że coraz większy wpływ na grupę mają czynniki zewnętrzne, dlatego potrzebna im ochrona w postaci nadaniu grupie statusu spółki z ograniczoną odpowiedzialnością.

Jonell osłupiała.

- Po co nam to potrzebne? - zapytała.

- A jeśli ktoś przyjdzie na naszą kwestę i nas pozwie? - odpowiedziała któraś z kobiet.

- Pozywano mnie jako agentkę nieruchomości i jako sąsiadkę - odparła Jonell - a mimo to sama bym nigdy nikogo nie pozwała. Nie podoba mi się, że świat działa w ten sposób.

- Ale, niestety, tak działa - zauważył ktoś inny.

- Wiem, że tak działa - powiedziała Jonell. - Moje umowy na sprzedaż nieruchomości zawierają osiemnaście stron obwarowań prawnych. Ale to nie jest zwykły interes. Jesteśmy grupą kobiet, która dzieli się naszymi interesami.

Jednak biznesmenki chciały mieć do czynienia ze zwykłym interesem. Potrzebowały zasad działania.

Jonell nie lubiła zasad. Od samego początku powtarzała:

- Jedyną zasadą jest brak zasad. Ktoś zauważył:

- Brak zasad to też zasada.

- To prawda - przyznała Jonell. - Ale zostawmy chociaż jedną strefę naszego życia, gdzie nie będzie ich więcej.

- A jeśli któraś z nas będzie chciała zrezygnować? - zapytał ktoś. - Czy sama może zdecydować, komu przekazuje swoje udziały, czy zadecyduje o tym grupa? I jaką część swojej inwestycji może odzyskać?

- Pomyślimy nad tym, kiedy tak się zdarzy. Jonell chciała improwizować. Pozostałe kobiety chciały spisać podstawowe zasady, żeby uniknąć skakania od kryzysu do kryzysu. Według nich spisane wytyczne ułatwiały kontakty międzyludzkie. Jonell zacytowała Katharine Hepburn:

- „Słuchaj zasad, a ominie cię cała zabawa”. Zasady ograniczają nowe możliwości - dodała.

Jej przeciwniczki widziały złe strony wykorzystywania nowych możliwości. Trzy właścicielki firm, którym w przeszłości wytoczono proces, chciały ochrony, żeby już nigdy nie musiały przez to przechodzić.

Mary Osborn, mająca wojskowe wychowanie, chciała porządku.

Dale Muegenburg, z prawniczą przeszłością, chciała umowy.

- Ten eksperyment miał być zabawą - upierała się Jonell. - Czy potrzebujemy umowy prawnej, żeby się razem bawić?

Inne kobiety protestowały:

- Żyjemy w społeczeństwie, które lubi się procesować. Według Jonell podejście „świat jest przeciwko nam” wywoływało w ludziach najgorsze instynkty. Zdaniem jej przeciwniczek filozofia Jonell była naiwna.

Jonell chciała, żeby egzystencja grupy opierała się na zaufaniu, pozostałe kobiety wierzyły, że świat nie zawsze jest godzien zaufania.

Dyskusja sprawiała przyjemność elokwentnej Jonell. Pozostałe kobiety czuły się nieswojo wobec konfliktu.

Jonell miała swoje zwolenniczki.

- Nasz cały system prawny to przestarzały twór wymyślony przez mężczyzn - powiedziała Roz McGrath. - Kobiety mogą stworzyć coś lepszego.

Argumenty przemieszczały się w tę i z powrotem. Podczas tej polemiki tylko jedna kobieta przyznawała rację obu stronom. Mary Karrh miała równie delikatne uczucia jak Jonell - także była hippiską - ale przez całe zawodowe życie pracowała w biznesie, przez ostatnie dwie dekady jako księgowa. Rozumiała punkty widzenia obu stron.

Na poprzednich spotkaniach jej wypowiedziane cichym głosem słowa były często zagłuszane przez bardziej natarczywe.

- Przepraszam, czy teraz ja mogę coś powiedzieć? - zapytała z uniesioną dłonią.

Zwykle nikt nie słuchał jej pomysłów, chyba że ktoś później wypowiedział je głośniej. Jednak tym razem kobiety słuchały.

- Już tworzymy spółkę - powiedziała. - Na różne sposoby możemy nadać jej osobowość prawną, ale spółce z ograniczoną odpowiedzialnością będzie łatwiej współpracować ze światem biznesu. Musimy też ustalić, w jaki sposób będziemy zgłaszać nasze przychody i wydatki do urzędu skarbowego. To tylko formalność, ale możemy dobrze się przy tym bawić, stworzyć coś nowego. I wciąż możemy przekazywać pieniądze na cele charytatywne.

Mary Karrh znalazła słowa, które przemówiły do Jonell, ale spokój nie trwał długo.

Park Finansowy Ventura to nowoczesny, dwupiętrowy budynek, w którym dziewiętnaście biur otacza imponujące, pozbawione dachu atrium. Mary Karrh siedzi za biurkiem w małym biurze księgowym, którego współwłaścicielką jest od osiemnastu lat. Na biurku leżą formularze podatkowe, egzemplarze „Federal Tax Weekly” i kalkulator. Pod ścianami stoją pudła pełne dokumentów, jeszcze więcej pism wypełnia półki. W okresie rozliczania podatków Mary pracuje od pięćdziesięciu do sześćdziesięciu godzin tygodniowo, poza tym okresem - o połowę krócej.

Jest wysoka i szczupła, ma gęste, krótkie włosy i rumianą, ładną twarz usianą - podobnie jak ramiona - piegami. Nosi delikatny makijaż, tylko tusz do rzęs i róż.

- Zawsze wolałam naturalny wygląd - mówi. - To wymaga mniej pracy. Na szczęście mój mąż też mnie taką woli.

- Kiedy dorastałam, miałam kłopoty z zawieraniem przyjaźni. Pochodziłam z wojskowej rodziny, więc ciągle się przeprowadzaliśmy, a ja byłam nieśmiała i źle się czułam w towarzystwie innych dziewcząt. Nie interesowały mnie stroje ani kosmetyki. Większość koleżanek chciała wyjść za mąż, ja pragnęłam zrobić karierę. Miałam wielu przyjaciół, ale aż do osiemnastego roku życia żadnej bliskiej przyjaciółki. Mężczyźni wydawali mi się bardziej interesujący.

Dorastałam w rodzinie z zamożnej klasy średniej. Gdy tylko skończyłam szesnaście lat, zaczęłam pracować jako kasjerka w bazie wojskowej, gdzie mój ojciec był pilotem, i założyłam swoje pierwsze konto bankowe. Choć nie było wtedy skanerów, znałam cenę każdego produktu i pod koniec dnia moja kasa zawsze zgadzała się co do pensa.

Nigdy nie miałam kłopotów finansowych, dopóki nie skończyłam czterdziestu lat i nie umarł mój ojciec. Nie miał ubezpieczenia na życie i były kłopoty z wypłatą zasiłku

socjalnego. Wpadłam wtedy w panikę: a jeżeli coś przytrafi się mojemu mężowi - jest starszy ode mnie o osiem lat - więc namówiłam go na ubezpieczenie na życie. Po raz pierwszy w życiu przeraziła mnie myśl, że może zabraknąć mi pieniędzy.

Kilka lat później ogarnęła mnie panika na myśl o emeryturze. Kiedy na nią przejdę? Czy stać mnie na to? Poszłam na dziesięciodniowe seminarium o pieniądzach, gdzie musieliśmy przedstawić konkretny problem. Ja mówiłam o emeryturze. Odkryłam wtedy, że wcale nie chcę przechodzić na emeryturę. Kocham to, co robię. Czuję się wydajna w pracy i znaczy to dla mnie bardzo wiele. Przychodzenie do biura mnie stymuluje. Pracuję z dyrektorami generalnymi i dyrektorami do spraw finansowych. Księgowość sprawia, że mój umysł jest aktywny. Dlaczego mam przechodzić na emeryturę tylko dlatego, że moi przyjaciele czy mąż to robią albo dlatego, że kończę sześćdziesiąt czy sześćdziesiąt pięć lat? Zdałam sobie sprawę, że w przejściu na emeryturę nie martwi mnie kwestia pieniędzy i było to ogromne odkrycie, warte o wiele więcej niż sto dolarów, które wydałam na seminarium. Teraz rzadko mówię o emeryturze.

Na seminarium zachęcano nas, żebyśmy zmienili swoje podejście do pieniędzy, traktowali je bardziej jak zabawę niż przeszkodę. Właśnie wtedy Jonell zaproponowała mi kupno udziału w naszymyjniu. Ten zakup wydawał się naprawdę zabawny, coś z zupełnie innej bajki.

Dyskusja o spółce sprowadziła Mary z powrotem do "jej bajki".

Dale przyszła na następne spotkanie z trzydziestoczterostronicową umową, nad którą pracowała wraz ze swoim zespołem przez kilka tygodni. Na widok dokumentu Jonell zbladła, Mary Karrh wzdrygnęła się. Przeglądając umowę, pomyślała, że oto ma przed sobą

prawniczą wersję krycia własnego tyłka: kodeksy, protokoły, trzydzieści pięć definicji, te wszystkie „niniejszym” i „uprzednio”, cztery strony konsekwencji podatkowych, które - Mary była pewna - rozumiała tylko ona. Obszerny dokument wymagał nawet podpisów mężów zgodnie z kalifornijskim prawem własności.

Połowie grupy dokument spodobał się od pierwszego wejrzenia. Jonell go znienawidziła.

Napięcie rosło. Głosy wznosiły się coraz wyżej. Dyskusja przestała być zabawna.

W końcu Jonell straciła cierpliwość.

- Ta grupa to był mój pomysł - warknęła - a ja nie chcę tego dokumentu.

Miała nadzieję, że to położy kres kłótni. Była jedynaczką, co oznaczało, że przez osiemnaście lat nie musiała negocjować z rodzeństwem, zawsze stawiała na swoim. Teraz nie mogła przeforsować swojego zdania i wcale jej się to nie podobało.

Wśród kobiet było siedem pierworodnych, w tym Dale, które dowodziły rodzeństwem, klasą, firmą. Dale zasugerowała, żeby razem przejrzały umowę, paragraf po paragrafie, każde „niniejszym” i „uprzednio”. Dyskusja znów utknęła w martwym punkcie.

Po raz kolejny słowa Mary Karrh okazały się głosem rozsądku i kompromisu.

- Ta kłótnia do niczego nie prowadzi - powiedziała. - Przystudiujmy ten dokument w domu. Niektóre z nas wolałyby coś prostszego, mniej konwencjonalnego. Chętnie przygotuję umowę, która będzie kompromisem między ustną umową, za którą głosuje Jonell, a formalnym dokumentem, którego chce reszta, coś, z czym wszystkie będziemy mogły żyć. Możemy o nim podyskutować na następnym spotkaniu.

Wszystkie kobiety się zgodziły, po czym doszły do porozumienia: każda będzie mogła wypowiedzieć swoje zdanie, a wszystkie będą słuchały. Na koniec, nawet jeśli któraś z nich będzie w opozycji do tego, czego chce grupa, będzie musiała ustąpić i dostosować się do reszty - to jedyny sposób, żeby rozwiązać problem i przejść dalej.

Spotkanie wykończyło Mary. Nie mogła doczekać się soboty, kiedy pojedzie na pole golfowe, jej ulubione miejsce relaksu.

Saticoy Country Club to nieformalny, bezpretensjonalny klub, którego główną atrakcją jest golf. Wyzwanie w postaci pięćdziesięciohektarowego pola golfowego - które niektórzy gracze szeptem nazywają „najlepiej ukrytą tajemnicą Południowej Kalifornii” - porastają gaje awokado i agapanty, sykomory i eukaliptusy, golfiści raczą się widokiem na góry Santa Susana i Pacyfik. Godne pozazdroszczenia słoneczne niebo Ventury, świeże powietrze i dwadzieścia jeden stopni - zwykła pogoda w Venturze, niezwykła dla reszty kontynentu - sprawiają, że można tu grać w golfa przez okrągły rok. Dziś odbywają się zawody klubowe, ale Mary gra nie dlatego, lecz mimo to. Mogła zagrać w golfa jedynie jako uczestniczka zawodów. Ma na sobie białe szorty do kolan, czarną koszulkę polo i daszek z różową wstążką symbolizującą walkę z rakiem piersi, taką samą jak na broszce i gumowej bransoletce.

- Dzielę moje życie na „Przed Rakiem” i „Po Raku” - mówi, gdy prowadzi elektryczny wózek. - Kiedy usłyszałam diagnozę - skończyłam wtedy pięćdziesiąt jeden lat - wiedziałam, że wszyscy będą chcieli wiedzieć, jak się czuję, ale nie będą chcieli dzwonić. Tak wielu ludzi nie wie, jak się zachować czy co powiedzieć. Wzięłam więc sprawy w swoje ręce. Razem z mężem szukaliśmy informacji o chorobie i sposobach leczenia, zaczęłam pisać e - maile o tym, co się dzieje. Tak wiele kobiet prosiło mnie, żebym im je wysyłała,

że lista chętnych wydłużała się bez końca. Tamoxifen (Tamoxifen - syntetyczny lek stosowany głównie w terapii raka sutka.) zamienił mnie w istotę, której nie poznawałam i e - maile stały się moją terapią.

Pocieszanie nie przychodzi mojemu mężowi łatwo. Nie udzielił mi wsparcia, kiedy usłyszałam diagnozę. Nie mogłam się wypłakać na jego ramieniu. Z natury nie jest zbyt uczuciowy, więc wiedziałam, że to nie chodziło o mnie, ale kiedy masz raka, zawsze chodzi o ciebie, więc bardzo źle to zniosłam. Zwróciłam się do moich przyjaciółek, nawiązałam nowe przyjaźnie - te kobiety były dla mnie wsparciem.

Jedna ze współzawodniczek Mary podchodzi i uderza piłeczkę.

- Świetne uderzenie! - woła Mary, po czym pochyła się, żeby uściskać kobietę. - Uwielbiam sposób, w jaki uderzasz - dodaje. - Tak nieruchomo trzymasz głowę.

Mary przygotowuje się i uderza. Piłeczka ląduje w zagłębieniu w piaszczystej ziemi.

- Cholera - jęczy, po czym się śmieje. - Przy takiej pogodzie trudno nie być szczęśliwym. Ciężko mi grać przeciw przyjaciółom, bo chciałabym, żeby im też poszło jak najlepiej. Lubię golfa, bo to gra dżentelmenów, honorowa.

Mary podlicza punkty. To zawsze jej zadanie, tak jak sprawdzanie rachunku w restauracji. Prowadzi także księgi finansowe dla kobiet Jewelii.

Kieruje rozmowę z powrotem na temat raka piersi:

- Zastanawiasz się, dlaczego ty jeszcze tu jesteś, skoro tak wiele innych kobiet umarło. Czujesz, że twoje życie powinno coś znaczyć. Ja oddałam się zbieraniu pieniędzy na walkę z rakiem. Każdego roku zbieram ponad pięć tysięcy dolarów. Nie dostaję nic od przyjaciół, którzy mieszkają w domach wartych miliony dolarów i pięciodolarówki od ludzi żyjących

z zasiłku. O tych, którzy nie dają, zawsze myślę: zostało nam tak mało czasu. Po co być samolubnym?

Rak dał mi szansę stania się lepszym człowiekiem. Kiedy ludzie nagle umierają, mogą pozostawić po sobie bałagan. Świadomość, że umrzesz, to dar. Po co czekać aż do tego momentu, żeby powiedzieć ludziom, co do nich czujesz? Gdybym umarła dziś, niewiele słów pozostałoby niewypowiedzianych. Hojność nie polega tylko na dawaniu pieniędzy, ale na dawaniu siebie, Twojego czasu, słów. Teraz ściskam ludzi tak, jakbym nigdy nie miała ich puścić.

W latach sześćdziesiątych zajmowałam się polityką. Maszerowałam w demonstracjach antybombowych, uczestniczyłam w wiecach w People's Park w Berkeley (People's Park w Berkeley - park położony niedaleko Uniwersytetu Kalifornii, w którym każdy student mógł wypowiedzieć się publicznie. Utworzony w czasach radykalnego aktywizmu politycznego późnych lat sześćdziesiątych.) - robiłam wszystko, nie byłam tylko aresztowana. Ale straciłam zapal. Nie stałam się zagorzałym yuppie, tylko wsiąkłam w korporacyjny świat, ogarniała mnie coraz większa apatia. Kiedy byłam hippiską, czułam, że pomagam coś zmienić. To uczucie zaczęło powracać, gdy rozpoczęłam kwestę na rzecz raka piersi i przy tych kobietach jest coraz silniejsze. Zapal Jonell jest zaraźliwy. Dzięki grupie czuję się bardziej zaangażowana, żywsza. Odkrywam, że życie znowu staje się moją pasją. Tysiąc dwieście dolarów, które wydałam na naszyjnik, było moją najlepszą inwestycją w życiu.

Mary Karrh jechała na następne spotkanie podekscytowana. Była zadowolona z tego, co osiągnęły razem z Jonell i doktor Roz: w cztery godziny zredukowały dokument do siedmiu stron napisanych prostym językiem i uczyniły umowę mniej restrykcyjną. Przesłała mailem

poprawioną wersję do pozostałych udziałowców. Trochę niepokoił ją fakt, że żadna z adresatek nie odpowiedziała, ale wciąż była pełna optymizmu i nadziei.

Już po kilku minutach oficjalnej części spotkania wiedziała, że prostsza umowa nie zostanie zaakceptowana. Kobiety nawet nie chciały o niej rozmawiać. Ich lekceważenie rozczarowało Mary.

Jonell załamało. Czuła się jednocześnie zdradzona i porzucona przez przyjaciółki. Po raz kolejny usiłowała przeforsować swoje zdanie i znowu natrafiła na mur równie twardy jak brylant, od których to wszystko się zaczęło.

Ciało Jonell zeszywniało. Usta jej drżały, gdy próbowała powstrzymać łzy. Emocje podpowiedziały jej, że pora się poddać, intelekt - że grupa nie przetrwa, jeśli dalej będzie się upierać przy swoim.

- Róbcie, co chcecie - powiedziała. - Ja skończyłam.

Umowa zawiązania spółki stała się punktem zwrotnym: nastąpił koniec grupy Jonell i nadszedł czas grupy. Jonell chciała zobaczyć, co się stanie, kiedy zbierze razem trzynaście bab z jajami. Teraz widziała: razem stanowiły siłę. Wspólnie ją przegłosowały. Od samego początku chciała, żeby grupa okazała się silniejsza niż jednostka, ale nigdy by nie pomyślała, że tą jednostką będzie właśnie ona. Nigdy nie sądziła, że głos grupy stanie się silniejszy niż jej głos.

Podpisała dokument, który naruszał wszystko, w co wierzyła, i przez kilka miesięcy nie mogła dojść do siebie. Nigdy więcej nie wspomniała o spółce z ograniczoną odpowiedzialnością.

Grupa ruszy dalej, a Jonell razem z nią. Po raz kolejny dokładnie to, co sprawiło ból Jonell, okazało się początkiem czegoś cudownego dla całej trzynastki.

Rozdział dziewiąty
Nancy Huff, entuzjastka
Uczy się lepiej bawić

Po porannym, sześciokilometrowym spacerze Jonell, Patti i Dale zatrzymały się w Palermo. Zwykle Nancy Huff przyłączała się do „Walkie Talkies” - jak je nazywali niektórzy mieszkańcy - ale dziś musiała pojechać wcześniej do biura. Tego wrześnieowego poranka brylanty lśniły na czarnej koszulce z lycry Jonell. Niedawno dostała naszyjnik po raz drugi.

Jej umysł sparaliżowany kwaśnym posmakiem pozostawionym przez dyskusję o spółce sześć tygodni temu znowu zaczął pracować. Inni mogą sobie otaczać grupę prawniczym murem, uznała, ale to ona wymyśli, jak szerzej rozpropagować prawdziwą misję naszyjnika.

Rosslyn Nikala, dwudziestosiedmioletnia kelnerka za ladą, przyjęła zamówienie kobiet na trzy podwójne latte i bajgiel z serem, po czym zauważyła naszyjnik.

- Kocham brylanty - powiedziała powoli. Akcentowała każde słowo i przeciągała wyraz „kocham”. - Mam brylantowy pierścionek zaręczynowy - wyciągnęła lewą dłoń - brylantowe kolczyki i brylantowy naszyjnik, który dostałam od męża na pierwsze Walentynki po naszym ślubie, ale ma tylko trzy kamienie. Pewnego dnia zażyczę sobie takiego naszyjnika, jak twój.

Jonell widziała wiele kobiet, które wpatrywały się w naszyjnik, ale żadna nie patrzyła z tak jawnym pożądaniem. Odpięła brylanty, sięgnęła ponad ladę i zapięła je na szyi Rosslyn. Gest bardzo naturalny dla kobiety wierzącej w egalitaryzm, ale nie dla młodej kelnerki za barem. Oczy Rosslyn się zaszklily.

- Och, kurczę. - Tylko tyle mogła powiedzieć między urywającymi się, pełnymi niedowierzania wdechami. - Rety. Może dostanę taki po dziesięciu latach małżeństwa. Boże, tak bym chciała. Dzięki tobie będę miała wspaniały dzień.

Jonell chłoneła słowa, które właśnie usłyszała, wpatrując się w rozanieloną twarz Rosslyn, i wpadła na nowy pomysł.

Na zewnątrz, gdzie stali bywalcy siedzieli wokół małych, okrągłych stolików, Jonell zaoferowała naszyjnik kobiecie, którą знаła, wiecznie młodej artystce.

- Chciałabyś przez chwilę ponosić brylanty? - zapytała.

- O, tak! Mogłabym?

Drobna, opalona artystka wyglądała na tak zaskoczoną i podekscytowaną, jakby wygrała na loterii. Po kwadransie Jonell zaproponowała naszyjnik następnej osobie, potem kolejnej. Tego ranka większość gości stanowili mężczyźni, ale Jonell nie robiło to różnicy. Przedsiębiorca budowlany, rzeźbiarz, właściciel salonu, pośrednik handlu nieruchomościami, muzyk - wszyscy chętnie przymierzali naszyjnik. Jedni puszyli się jak pawie, inni krygowali, jeszcze inni śmiali.

- Powiniennem był założyć obcasy - zażartował rosły policjant, kiedy brylanty zaśniły na tle granatowego uniformu. Nie pasowały do złotej odznaki.

Kiedy wszyscy zdecydowali, że na białych koszulkach naszyjnik nie wygląda wystarczająco dobrze, dwóch artystów po prostu się rozebrało. Patti robiła każdemu zdjęcie swoim nieodłącznym aparatem cyfrowym, a Dale chwaliła każdą pozę. Mężczyźni dyskutowali o tym, czy brylanty wyglądają lepiej na owłosionej czy gładkiej klatce. Gładka wygrała sześć do zera. W trakcie rozmowy o naszyjniku zaczęli się zastanawiać, czym oni mogliby się podzielić: łodzią, przyczepą kempingową, porsche? Tego ranka w Palermo

można było znaleźć nie tylko latte i „Los Angeles Times”, ale także gorącą dyskusję i poczucie wspólnoty.

Ventura, oryginalnie nazwana San Buenaventura („miasto szczęścia”), powstała jako ostatnia osada założona przez ojca Junipera Serre, hiszpańskiego franciszkanina, który ufundował w Kalifornii wiele placówek misyjnych. Niegdyś senne miasteczko na kalifornijskim wybrzeżu, o dwukrotnie mniejszej liczbie mieszkańców niż Mayberry - by - the - Sea, dziś tętni życiem, a jego mieszkańcy to eklektyczna mieszanka artystów i farmerów, przedsiębiorców i ekologów. Niebędąca ani placem zabaw dla bogatych, jak pobliskie Monticeto, ani atrakcją turystyczną, jak Santa Barbara, Ventura jest społecznością ludzi pracujących. Oxnard Plains, obszar Hrabstwa Ventura, chwali się jedną z najżyźniejszych gleb na Ziemi, dzięki czemu nosi przydomek „Truskawkowej Stolicy Świata”.

Odnowione centrum roi się od nowych restauracji, galerii, butików i salonów kosmetycznych. Różne rodzaje sklepów wzdłuż wysadzonej palmami Main Street - od ekscentrycznych i snobistycznych aż po erotyczne i z osobliwościami - tworzą tę samą wyjątkową atmosferę, jaka panuje w Boulder w Colorado i w Asheville w Północnej Karolinie. Pomimo nowoczesnego wyglądu w centrum nie ma ani śladu parkometru.

Jonell ruszyła do samochodu jeszcze szybciej niż zwykle. Widok radości, jaką sprawił innym naszyjnik, podniósł jej poziom endorfin. Przez następne trzy tygodnie pytała: „Czy chciałabyś (chciałbyś) przymierzyć naszyjnik?”, równie często, jak mówiła „dzień dobry”. Otoczyła brylantami szyje swojej matki, córki, manikiurzystki, ogrodnika, sprzedawczyni i klientów u Chica, kelnerki w Starbucks, bezdomnych kobiety i mężczyzny, których poznała podczas swych porannych wypadów. Większość z nich nosiła naszyjnik przez

kilka minut, parę osób nawet przez godzinę. Pod koniec miesiąca brylanty Jonell gościły na szyjach około osiemdziesięciu osób.

Na następnym spotkaniu podekscytowana Jonell opowiedziała grupie, gdzie była Jewelia. Kiedy przyszła ich kolej, kobiety poszły w ślady Jonell, ale każda na swój sposób, we własnym stylu.

W centralnej części Przemysłowego Centrum Maulhardt, w sąsiednim miasteczku Oxnard, mieści się biuro firmy, która jest właścicielem całego kompleksu dwunastu budynków. Niebieska metalowa fasada zdobi zewnętrzną, betonową ścianę. Samo biuro ma nudny wystrój, z białymi ścianami, szarą wykładziną i wyciszonym dachem. Nie ma jednak niczego pospolitego ani nudnego w kobiecie, która tu rządzi.

Nancy Maulhardt Huff jest pierwszą osobą widoczną za pięćipółmetrowym biurkiem w uniwersalnym pomieszczeniu, które służy jako biuro Nancy i jej pięćdziesięcioletniej księgowej Noreen pracującej na pół etatu. Nie ma między nimi drzwi, jest tylko komputer, na którym obie pracują. W bałaganie na biurku Nancy leżą zdjęcia rodzinne, banan, magazyn „People” („kiedy zdarzy się chwila przerwy” - wyjaśnia), kolorowe teczki podnajmujących, sterta listów i wszechobecne karteczki samoprzylepne.

Nancy prowadzi tę firmę. Odbiera też telefon, który dzwoni cały dzień bez przerwy.

Stanowisko głównego szefa i odbieranie telefonów nie wydaje się dziwne ani Nancy, ani tym, którzy ją znają. Powiedzieliby, że Nancy jest pełna sprzeczności. Od niemowlęcia rodzice zabezpieczyli jej przyszłość. Dorastała w domu o powierzchni tysiąca pięciuset metrów kwadratowych, z polem golfowym, miała lekcje tenisa w country clubie i konia w sąsiedniej stajni, ale stąpa po ziemi tak twardo, jak to

tylko możliwe. Była w ciąży, kiedy jako dwudziestolatka wyszła za męża, a mimo to jej małżeństwo przetrwało prawie czterdzieści lat. Jest gorliwą katoliczką, która lubi sprośne riposty. W ciągu normalnego tygodnia Nancy kilka razy odwiedza owdowiałą matkę i dzwoni do niej dwa razy dziennie. Zagląda do brata i sprawdza, czy nie ma przecieków gazu. Zajmuje się finansami jego, matki, swoim małżeństwem i firmą, a mimo to codziennie wchodzi do biura w nieodmiennie doskonałym humorze.

Dzwoni telefon.

- Centrum Przemysłowe Maulhardt. Cześć, kochanie, jak się masz? - Patrzy na wnętrze lewej dłoni i słucha. - Dobrze... Kocham cię... pa, pa.

To był mój syn, mieszka w San Francisco. O niczym nie musiałam mu przypominać. Zapisuję flamastrem na lewej ręce listę spraw do załatwienia. Zawsze tak robiłam. Nazywam to Podręcznym Pilotem Boga.

Dzwoni telefon.

- Siostra Jill. Jak tam żyjesz, dziewczyno? Nie mogę uwierzyć, że zapomniałaś o moich urodzinach... Przyjedź, to się spotkamy. Czy mogłabyś wziąć ze sobą matkę...? Chciałabym, żebyś zaczęła się modlić za mamę... Dobrze... Kocham cię... Pa.

Jill była moją współlokatorką w college'u. Teraz jest zakonnicą. Mieszkanie ze mną poprowadziło ją do Boga.

Mike, broker nieruchomości, który pracuje w sąsiednim biurze, jeden z dwadzieściorga lokatorów Nancy, wpada, żeby się przywitać.

- Dostałam zdjęcie twojej córeczki - mówi Nancy. - Tutaj poznałam cię z twoją żoną i jestem wściekła, że nie nadaliście małej mojego imienia... Och, masz nowe okulary. Czyż nie wyglądasz słodko? A czy ja wydaję ci się szczuplejsza? Tylko

na tym mi zależy. Ważę teraz więcej niż kiedykolwiek wcześniej. Po urodzinach przechodzę na dietę South Beach.

Nancy dużo mówi o swojej nadwadze, której się wcale nie zauważa. Ma w sobie coś z chochlika, z tymi krótkimi włosami („Zrób mi na głowie bałagan” instruuje swoją fryzjerkę), świeżą, umalowaną na „bez makijażu” twarzą, szybkimi ruchami i nieustanną paplaniną.

- W szkole przezywali mnie „gadula” - mówi.

Od razu widać, że była jedną z tych popularnych dziewcząt, z którą każdy chciał się przyjaźnić, bo życie z Nancy było po prostu weselsze.

Nancy ma na sobie brązowy kaszmirowy sweter („dwadzieścia osiem dolarów u Talbota”), wełniane spodnie w kratę od Ralphi Lauren („dwadzieścia dolarów w Macy's”) i brązowe, zamszowe buty na płaskim obcasie marki Gabor („droższe niż cała reszta razem wzięta”). Zrzuca buty i paraduje po biurze w skarpetkach w grochy („od Marshalla”). Okulary w szylkretowej oprawie zsuwają się jej z nosa.

- Kiedyś podnajmował u mnie biuro prywatny detektyw - mówi Nancy po wyjściu Mike'a. - Opowiadał wspaniałe historie. Nazywałam go „moim prywatnym szpiclem”, ale mąż kazał mi przestać.

Nancy bez przerwy patrzy przez frontowe okna, żeby sprawdzić, co się dzieje na parkingu. Gdy tylko zobaczy kogoś zmierzającego do biura, zrywa się z krzesła i idzie do drzwi, żeby się przywitać, po czym mówi przez całą drogę powrotną do biurka.

- Guillermo! - Nancy biegnie do drzwi.

- Chcesz, żebym umył ci samochód?

- Tak, poproszę. Noreen, chcesz, żeby ci umyć samochód? Ja stawiam... Hej, Mike, chcesz mieć czysty samochód? Ja płacę... Wymyj je wszystkie, Guillermo!

Lubię dawać mu pracę - wyznaje Nancy po wyjściu Guillerma. - Mogę dawać pieniądze Kościołowi, żeby wpłacili je na leczenie jakiegoś pedofila albo pomóc samotnemu ojcu wychowującemu dwoje dzieci - hallooooo?

Dzwoni telefon.

- Mamo, dobrze się czujesz? - Nancy patrzy na lewą dłoń - nie ma tam nic, o czym powinna przypomnieć matce. - Dobrze, zadzwonię do ciebie później. Kocham cię... pa. Och, spójrz, autobus! W Oxnard nigdy nie widzimy autobusów.

Dzwoni telefon.

- Tak, cześć kochanie... Nie pamiętam, o co miałam cię zapytać... Dobrze... Oczywiście... Muszę lecieć. - Odkłada słuchawkę. - To był Wayne. W zeszłym tygodniu mieliśmy rocznicę - trzydzieści siedem lat. Żeby to uczcić, kochaliśmy się z Jewelią. Było zabawnie i inaczej niż zwykle. Ciekawa jestem, czy zabieranie do łóżka jej służy.

- Chciałabym tego spróbować - wzdycha Noreen, obliczając podwyżki czynszu.

- Proszę - mówi Nancy, po czym zdejmuje naszyjnik i zapina go na szyi Noreen. - Zabierz Jewelię do domu. Masz przesłodkiego męża. - Noreen uśmiecha się szeroko.

Dzwoni telefon.

- Cześć, Lindy. Na sześćdziesiąte urodziny Paula chcę wam podarować noc z Jewelią. Przyniosę ją na przyjęcie w sobotę wieczorem. Pamiętaj, Jewelia nigdy nie mówi „nie”. - Nancy odkłada słuchawkę. - Ja nigdy nie odmawiam mężowi - mówi. - Wiele lat temu pozwoliłam, żeby zamieszkała z nami dziewczynka chora na raka. Zajmowałam się nią i dziećmi, zaniedbywałam Wayne'a i on odszedł na pół roku. Przysięgłam wtedy, że już nigdy więcej go nie zaniedbam. Nie zawsze jestem w nastroju, ale w końcu nabieram ochoty. Chyba jestem jedyną osobą, która zaoferowała seks za Busha. Zaproponowałam Wayne'owi układ: jeśli ty zagłosujesz na

Busha, ja będę ci oddawać seksualne przysługi. Żyję z demokratą, co innego mogłam zrobić? Mężczyźni myślą główkami.

Dzwoni telefon.

Nancy słucha przez kilka minut.

- Twój problem, Gary, polega na tym, że masz ADHD... Dobrze... Dobrze... Pa. Ja też mam ADHD - mówi. - Jestem nadpobudliwa. Doprowadzałam rodziców do szaleństwa.

- Zaczęłam prowadzić samochód na ranchu mojego ojca w Oxnard, kiedy miałam osiem lat. W wieku trzynastu zabrałam auto rodziców i jechałam sześćdziesiąt pięć kilometrów do Santa Barbara. W liceum powiedziałam rodzicom, że będę spała u koleżanki, po czym pojechałam z przyjaciółkami do Meksyku. Dla mnie to były przygody, dla moich rodziców przestępstwa.

Moja matka była bywalczynią salonów, która wydała mi trzy przyjęcia debiutanckie. Mój tata był developerem i szykował moich braci, żeby przejęli po nim interesy. Uważał, że ja powinnam siedzieć w domu i wychowywać dzieci. Kiedy Wayne zapytał mojego ojca, czy może mnie poślubić, tata powiedział:

- Żadnego depozytu. Żadnych zwrotów. Ona nie umie gotować. Nie umie szyć. Nie wiem, co ona potrafi.

Czy można się dziwić, że miałam zerowe poczucie własnej wartości? Kiedy zmarł tata, wszyscy, w tym ja, myśleliśmy, że interesy poprowadzą moi bracia. Jednak dwóch z nich nie było w stanie, a trzeci, który jest dyrektorem finansowym, prowadził inną firmę, więc ja zasiadłam za sterem.

Nie sądziłam, że mi się uda. Przez osiemnaście lat siedziałam w domu i wychowywałam dzieci. Nie ukończyłam college'u. Nie znałam się na komputerze. Gdy wracałam z pracy do domu, czułam się chora, przygnieciona i

spanikowana. Budziłam się w środku nocy zlaną zimnym potem i zadawałam sobie pytanie: co ja robię? Pomoc i wsparcie, które były mi potrzebne, znalazłam u przyjaciółek. Sekretarka mojego ojca, która była mózgiem całej firmy, przed śmiercią nauczyła mnie wszystkiego, co sama umiała. Bratowa pokazała mi, jak używać samouczków do komputera, a Noreen ocaliła życie. Dzięki Jonell znalazłam odwagę, o którą nawet się nie podejrzewałam. Niczego bym nie osiągnęła bez moich przyjaciółek.

Nigdy sobie nie wyobrażałam, że będę prowadziła taką firmę. Dzięki pieniądzom ojca wiodłam wygodne życie, ale gdy zarabiam sama, wiem, że jestem mądrzejsza i pewniejsza siebie. Budzę się co rano i czuję się dobrze. Wydaje mi się, że mam dwadzieścia jeden lat. W moim wieku same jesteśmy swoimi lustrami.

Nancy je lunch z Noreen w małej sali konferencyjnej naprzeciwko recepcji. Posypuje sałatkę migdałami, rozkłada dietetyczne krakersy na talerzu jak karty i popija wodę z butelki.

Wchodzi jej starszy brat, Steve. Jest wysokim, tęgim mężczyzną, równie cichym, jak Nancy jest gadatliwa. Bez słowa kieruje się do swojego biura. Nancy woła do niego:

- Myślisz, że twoja żona chciałaby założyć Jewelię na waszą rocznicę?

Steve odwraca się i patrzy na nią.

- Noreen będzie się bzykać, Paul Miller też. Po prostu troszczę się o ciebie, Stevie. Chodzi tylko o to, żeby ci się poszczęściło.

Wyraz twarzy Steve'a mówi, że jest przyzwyczajony do odzywek siostry. Wchodzi do biura i zamyka za sobą drzwi.

- Dużo pracuję nad moimi relacjami z bratem - tłumaczy Nancy - między innymi dlatego, że kocham jego żonę i cztery córki.

Kończy sałatkę i zrywa się, żeby zrobić rundkę po lokatorach. Do nowego podnajemcy mówi:

- Zadzwoń, gdybyś czegokolwiek potrzebował. Jestem jak mama - kwoka dla swoich lokatorów.

Zapewnia kobietę, która niedawno została wdową:

- Nie martw się. Nie podniosę ci czynszu. Wraca do biura, mówi bez przerwy.

- Mój brat sądzi, że powinnam być twarda, ale ja w to nie wierzę. Tata uważał, że współczucie jest w biznesie najważniejsze. Wszystko zawdzięczam katolickiemu wychowaniu, dzięki któremu zyskałam poczucie humoru i które wpoilo we mnie zasady moralności. Ludzie mówią, że przypominam im mojego tatę i wtedy czuję, że jestem na właściwym miejscu. On był moim bohaterem.

Przy biurku Nancy odbiera kilka telefonów.

Wchodzi żona Steve'a, Leslie.

- Potrzebuję naszyjnika - mówi - bo podobno obiecałaś coś mojemu mężowi.

- Dziś wieczorem bierze go Noreen, więc musisz przyjść jutro. Tylko oddaj do soboty, obiecałam naszyjnik Lindy na sześćdziesiąte urodziny jej męża.

- Mój mąż pójdzie na przyjęcie urodzinowe Paula, bo to jego stary przyjaciel - wyjaśnia potem Nancy. - Ale zwykle Wayne nie chce nigdzie wychodzić. Kiedyś nazywałam go Iskra, teraz Ogarek. Ja jestem zwierzęciem stadnym, on nie.

Rankiem po naszym ślubie - opowiada później Nancy - powiedziałam do Wayne'a: Jestem taka podekscytowana. Możemy pójść na spacer po plaży, na mszę w małym kościółku w Montecito, potem zjeść obiad w Baltimore, zwiedzić Santa Barbara. Spędzimy cudowny dzień". Wayne popatrzył na mnie i odpowiedział: „Dziś jest Super Bowl"(Super Bowl - finałowa rozgrywka o mistrzostwo amerykańskiej zawodowej ligi National Football League.) i

włączył telewizor. Cała we łzach pobiegłam do telefonu i zadzwoniłam do taty. „Chcę wrócić do domu!”, krzyczałam. A on odrzekł: „Nie wrócisz do domu. To nie twoje ostatnie finały. Musisz się przyzwyczaić”. Powiedziałam mu, żeby zawołał mamę, ale on odrzekł: „Nie. Wayne po prostu szybko cię uświadomił. Takie jest życie”. Miałam dwadzieścia lat, spodziewałam się dziecka i byłam przerażona. Jeśli takie było życie, to ja go nie chciałam.

Ale jestem katoliczką. Musiałam się postarać. No i byłam szaleńczo zakochana. Kiedy pojawiły się dzieci, miałam pełne ręce roboty. Gdy chodziły do szkoły, opiekowałam się każdą drużyną, w której grały. Zasiadałam w radzie szkoły. Straciłam dawnych znajomych gdy moje najmłodsze dziecko skończyło liceum. Kiedyś trzy razy w tygodniu grywałam w tenisa, uwielbiałam to, ale musiałam zrezygnować, kiedy zaczęłam pracę tutaj. Straciłam więc kontakt także z tamtymi ludźmi. Spędzałam wiele czasu razem z córką, ale potem ona przeprowadziła się do San Francisco. Tutaj, w biurze, czuję się odizolowana, niewielu gości tu zagląda.

Wayne pracuje w budownictwie, więc wstaje o piątej rano i o dwudziestej leży w łóżku. W moje urodziny miał katar i zasnął o wpół do siódmej. Wykupiłam abonament do teatru, ale na początku trzeciego aktu on już spał. Im byliśmy starsi, tym częściej on chciał zostawać w domu, a ja wychodzić.

Patrzyłam, jak przyjaciółki wychodzą z mężami do teatru, na koncerty i przyjęcia, podczas gdy ja siedziałam w domu. Byłam sfrustrowana i zła. Poświęcałam się dla Wayne'a. To pieniądze mojej rodziny pozwalały nam prowadzić życie, jakie wiedliśmy. Czułam, że on pozbawia mnie czegoś, czego potrzebuję.

Nie lubię wychodzić sama. Kiedy idę sama, moja matka dostaje spazmów. Powiedziałam jej: „To co mam zrobić? Rozwieść się? To by rozwiązało problem”. Ale to nie jest

powód do rozwodu. Kocham męża, dziś bardziej niż kiedykolwiek. Jest moim najlepszym przyjacielem. Pracujemy w pokrewnych branżach, więc mamy mnóstwo tematów do rozmowy. Dzwonię do niego dwa razy dziennie, żeby poprosić o radę. On sprowadza mnie na ziemię, dzięki niemu zachowuję trzeźwość umysłu.

Reszta też układa się dobrze. Poza tym nie zabrania mi robić niczego, co lubię.

Miałam dwa wyjścia: albo zamknąć się w domu, albo zacząć się udzielać towarzysko. Jeśli chciałam bywać, sama musiałam sobie znaleźć towarzystwo. Dzięki Jewelii mam to, czego potrzebowałam: więcej przyjaciółek, więcej wyjść, więcej zabawy. Przyjemności nie trafiają się tak po prostu, trzeba wysiłku, żeby ich doznać. Po kilku godzinach zabawy dużo łatwiej ze mną żyć. Nigdy nie myślałam, żeby wyjść gdzieś w naszym kraju. A gdzie mogłabym go założyć? Mam dużo więcej radości z pożyczania go innym, niż gdybym nosiła brylanty sama. Za każdą pożyczką kryje się jakaś historia.

A oto historia, którą Nancy usłyszała od swojej księgowej Noreen:

- Kiedy wróciłam z pracy do domu, nie mogłam się doczekać, żeby pokazać brylantowy naszyjnik mężowi - powiedziała. - Nie wywarł na nim zbyt wielkiego wrażenia, dopóki nie miałam na sobie nic innego. Naszyjnik zabrał nas w przeszłość, do pierwszych wspólnych lat, kiedy seks był bardziej frywolny, zanim popadliśmy w rutynę. Chichotaliśmy, rozmawiając o tych wszystkich ludziach, którzy nosili Jewelię nago. Częścią zasady powinno być zapalone światło. Jak inaczej zobaczysz błysk brylantów? Następnego ranka wcale nie chciałam ich oddawać.

Według słów męża Nancy, Wayne'a:

- Jewelia okazała się cholernie dobrym gadżetem erotycznym.

Jewelia okazała się czymś dużo więcej, kiedy kobiety dzieliły się nią z tymi, których lubiły i kochały. Pożyczały go wnuczkom w dniu chrztu, siostrzenicom na ukończenie szkoły, matkom na urodziny. Dzieliły się nią z koleżankami i siostrami, sąsiadami i przyjaciółmi, z rozchichotanymi

nastolatkami i dojrzałymi mężczyznami. A drogę sznurka błyskotek znaczyły małe cuda.

W szkole

DONELLE CLAYPOOL, pięćdziesiąt siedem lat, nauczycielka piątej klasy, szkoła Wniebowzięcia Naszej Pani:

- Jako nauczycielka w katolickiej szkole nie zarabiam dużo i brylantowy naszyjnik jest poza moim zasięgiem. Nosząc go przez cały dzień, czułam się jak we śnie, jak mała dziewczynka przebrana na bal. Starannie wybrałam strój, założyłam czerń, żeby uwidocznic brylanty. Jestem niska i otyła, ale w naszyjniku czułam się wyższa i szczuplejsza. Nie żeby zmiana była widoczna, ale miałam takie wewnętrzne przeświadczenie, dzięki któremu czułam się dobrze przez cały dzień. A to, co naprawdę sprawiło mi przyjemność, to bliskość, jaką poczułam, kiedy Tina mi go zaoferowała.

Uczniowie byli tak zainteresowani historią naszyjnika, że zapytałam ich, co oni mają cennego, czym chcieliby się podzielić. Naszyjnik wywołał w klasie fantastyczną dyskusję na temat przyjaźni i hojności.

GABI AGUIRRE, lat czternaście, uczennica ósmej klasy w szkole Wniebowzięcia Naszej Pani:

- Ja byłam prezenterką telewizyjną podczas szkolnego procesu, bo to właśnie chcę robić, kiedy dorosnę. Na próbie mówiłam bardzo szybko, a wtedy pani Os borne powiedziała: jeśli będziesz mówiła powoli, pozwolę ci założyć Jewelię. Byłam taka podekscytowana, że ćwiczyłam całą noc. Kiedy następnego dnia pani Os borne założyła mi naszyjnik, poczułam ogromny przypływ wiary w siebie, przecież miałam na szyi brylanty warte milion dolarów. Tak naprawdę nie kosztowały miliona dolarów, ale ja tak się czułam. Mama zrobiła mi milion zdjęć - nie milion, ale mnóstwo - a jedno oprawiła i powiesiła w moim pokoju. Nie noszę już Jewelii na

szy, ale ona wciąż tam jest. Pani Osborne jest nauczycielką, której nigdy nie zapomnę.

MARISSA HOOD, lat siedemnaście, ostatnia klasa, technikum Foothills:

- Poprosiłam mamę, żebym mogła założyć naszyjnik do szkoły w moje szesnaste urodziny. Było super. Miałam go na sobie przez cały dzień. Czulałam, że mam się czym pochwalić i wszyscy chcieli go zobaczyć. Ale naprawdę super było to, że moja mama mi zaufała. Wiedziała, że będę na niego uważać.

W pracy

CAROL FREEMAN, lat czterdzieści dziewięć, listonoszka w U.S. Postal Service:

- Słyszałam o naszyjniku, więc zapytałam o niego Dale, kiedy spotkałam ją na trasie. Odpowiedziała: „Chciałabyś go ponosić?”. Mój mundur nie był dla niego najlepszym tłem, ale co za uczucie! Roznoszę pocztę od dwudziestu dwóch lat i nigdy nie zdarzyło mi się nic równie wspaniałego. Przez cały dzień czulałam się podniesiona na duchu. Po powrocie na pocztę opowiadałam o tym każdemu. Jak często listonoszka nosi brylantowy naszyjnik, roznosząc listy, albo w ogóle w życiu?

ANNA SERRETEC trzydzieści pięć lat, szefowa hurtowni „Fashion Forms”

- Zapytałam, czy mogę go założyć, bo z powodu dnia, w którym się urodziłam, brylant jest moim kamieniem. Od dawna marzyłam o naszyjniku z brylantami. Dziewczyny w hurtowni nie mogły wyjść z podziwu. Miałam kiepski nastrój, bo znów myślałam o swojej nadwadze, ale dzięki naszyjnikowi poczułam się szczęśliwa, a nawet kobieca. Poczułam się sexy.

LUCY WILLIAMS, lat pięćdziesiąt dwa, właścicielka salonu fryzjerskiego „Lucy in the Sky”:

- Czułam, jak dreszcz przebiega mi po plecach. Naprawdę byłam „Lucy in the Sky with Diamonds” (Lucy in the Sky with Diamonds - tytuł piosenki Beatlesów; dosłownie: Lucy w niebie z diamentami.). Czułam łaskotanie w brzuchu, kiedy strzygłam w naszyjniku. Czasami, gdy jestem w ogrodzie, wspominam, jak to było, kiedy nosiłam brylantowy naszyjnik. To takie cudowne uczucie, jak odwieczne słońce, wspaniałe, pełne nadziei prognozy dla planety.

ANDREA LEON, dwadzieścia sześć lat, recepcjonistka medyczna:

- Jednego popołudnia nosiliśmy go w biurze wszyscy. Tego dnia praca nie wydawała się taka wykańczająca. Poprosiłam jedną z dziewczyn, żeby zrobiła mi z Jewelią zdjęcie, które mogłabym dodać do swojego profilu na My - Space. Ukończyłam studia feministyczne na UC Santa Cruz i widok tych kobiet oferujących naszyjnik innym, którzy nie mogli sobie na niego pozwolić, był inspirujący. Mam nadzieję, że kiedyś ja będę mogła zrobić coś takiego dla moich przyjaciół.

LORI SHEPHERD, czterdzieści lat, pracownica biurowa, Biuro Stanu Kalifornia, Sacramento:

- O wpół do siódmej rano wyszłam spod prysznicza i natknęłam się na moją siostrę. Nie miałam pojęcia, co ona tam robi. Zawołała „niespodzianka!” i pokazała naszyjnik. Pożyczyła mi go na cały dzień moich czterdziestych urodzin. Z natury jestem cicha i powściągliwa, ale tym razem byłam podekscytowana. Po drodze do pracy cały czas spoglądałam we wsteczne lustro. Mam w biurze kierowniczkę, która nigdy nie mogłaby sobie pozwolić na kupno takiej ozdoby, nawet sobie nie wyobrażała, że mogłaby coś takiego założyć, więc pożyczyłam jej naszyjnik. Była zachwycona, a ja tak samo podekscytowana z jej powodu, jak z powodu mnie samej. Kocham brylanty, ale w ogóle nie pomyślałabym o

kupnie takiego naszyjnika, kiedy potrzebujemy nowego dachu i okien. Być może nigdy nie będę go miała, ale też nie zapomnę dnia, w którym nosiłam brylantowy naszyjnik.

MONICA SCHILLER, sześćdziesiąt lat, starszy konsultant:

- W moje sześćdziesiąte urodziny prowadziłam warsztaty w Ojai. Z samego rana Mary Osborn pożyczyła mi naszyjnik na cały dzień. To był dla mnie niespodziewany i rozczulający gest. Po południu, w biurze, urządzono mi przyjęcie. Moi współpracownicy wjechali na wózku i wręczyli mi laskę, koszyk, w którym leżały babcine okulary, pieluchy dla dorosłych, klej do protez, maść na hemoroidy, ogromne pudełko na lekarstwa i niebieska peruka. Pomyślałam wtedy sobie: możecie mi dawać te wszystkie okropne, starcze prezenty, ale prawda jest taka, że siedzę tutaj w cudownym, brylantowym naszyjniku, że czuję się młoda i piękna.

W chorobie

SUZANNE STELLA, pięćdziesiąt dziewięć lat, emerytowana bibliotekarka, San Francisco:

- Kiedy poszłyśmy na kolację, Roz nalegała, żebyśmy założyły go wszystkie po kolei. Miałam na sobie sweter z kołnierzem i nie sądziłam, żeby naszyjnik do niego pasował, ale Roz powiedziała: „Nie o to chodzi. Chcę, żebyś go założyła w celach zdrowotnych”. Całe dni spędzam u lekarzy i w szpitalach - chodzę na dializy. Tamtego wieczora byłam taka beztroska. Nie mogę powiedzieć, że po zdjęciu naszyjnika czułam się zdrowsza, ale byłam wzruszona tym, że Roz chciała, abym go założyła. Poruszyło mnie znaczenie jej gestu i może właśnie od tego zaczyna się ozdrowienie.

CHONA PARDO, pięćdziesiąt sześć lat, mama na pełnym etacie:

- Moja matka była w hospicjum, strasznie cierpiała przez raka żołądka. Była bardzo smutna. Odwiedziła ją Patti Channer, założyła na szyję matki brylanty i podała jej

lusterko. Mama uśmiechnęła się i przez cały dzień była szczęśliwa. Patti zrobiła jej zdjęcie w naszyjniku, a potem dała odbitki mnie, moim siostrze i braciom. Matka zmarła miesiąc później. Ta fotografia zawsze będzie dla nas wyjątkowa, bo to ostatnie zdjęcie matki, jakie mamy, a ona się uśmiecha.

W grze

TAKA YAMASHITA, sześćdziesiąt dziewięć lat, emerytowana pielęgniarka:

- Założyłam naszyjnik na zawody golfowe i od razu poczułam się wspaniale. Dzięki brylantom grałam lepiej, przyniosły mi szczęście. Zdobyliśmy pierwszą nagrodę! Jestem zachwycona duszą tego naszyjnika, tym, że każdy, kto go nosi, przeżywa dzięki niemu cudowne chwile.

BOBBIE BATTEN, lat osiemdziesiąt dziewięć, matka Jonell:

- Zarezerwowałam naszyjnik na trzy spotkania klubu brydżowego. Wszyscy na mnie patrzą, kiedy go noszę. Dzięki niemu czuję się wyjątkowa i piękna. Za drugim razem pozwoliłam go też założyć innym paniom.

Osiem kobiet siedzi wokół dwóch stolików do brydża w nowoczesnym domu Bobbie Batten w Venturze. Grają razem od dwudziestu lat i traktują brydża bardzo poważnie. Jedwabna, chińska bluzka Bobbie pasuje do azjatyckiego wystroju domu. Bobbie ma starannie uczesane srebrne włosy, paznokcie pomalowane na blad różowo, a na jej pięknej twarzy prawie nie widać zmarszczek („zimna maseczka Merle Norman co wieczór przez kwadrans”, wyjaśnia).

Każda kobieta, zanim nadejdzie jej kolej na założenie naszyjnika, skupia się na kartach.

- Właśnie on dopełni mój strój - mówi siedemdziesięciodziewięcioletnia Ruby ubrana w jaskraworóżową koszulkę w paski i marynarkę w tym samym kolorze.

Jonell zakłada naszyjnik wszystkim kobietom po kolei, każdej robi zdjęcie.

- Nigdy nie miałam na sobie brylantowego naszyjnika - mówi Margaret licząca sobie dziewięćdziesiąt cztery lata. - To cudowne uczucie. Nie chcę go zdejmować.

- Musisz mi zrobić jeszcze jedno zdjęcie - prosi Jean, która nie chce podać swojego wieku. - Stań na tyle blisko, żeby ująć brylanty, ale nie rób zbliżenia mojej twarzy.

- Nie zależy mi na fotografii - mówi Tammy, kiedy przychodzi jej kolej. - Chcę tylko założyć naszyjnik.

Jonell wychodzi po chińskie jedzenie na lunch: kurczaka w pomarańczach, smażony ryż, lo mein i fasolkę szparagową z orzechami. Podczas posiłku kobiety rozmawiają o książce na temat CIA, dziecku, które zostało agentem FBI, życiu w Argentynie, pożarach w Catalinie i nowych budynkach w Venturze. Opowiadają o stronach brydżowych na Yahoo i o tym, w jaki sposób wziąć udział w internetowych międzynarodowych zawodach brydżowych.

- Kto ma naszyjnik?

- Wciąż ja - odpowiada Carolyn, osiemdziesięcioczerolatka, ubrana w różowy komplet.

- Miałaś go przez cały lunch - protestuje jedna z kobiet.

- Chyba przyrósł mi do szyi - mówi Carolyn. - Jest mu tam wygodnie. Obawiam się, że nie mogę go zdjąć.

Pięć miesięcy później jedna z brydżowych przyjaciółek Bobbie opisała w corocznym, świątecznym liście najważniejsze momenty mijającego roku. Na środku strony umieściła swoje zdjęcie w Jewelii.

Innego dnia, po drugiej stronie miasta, w pokoju nauczycielskim w szkole Wniebowzięcia Naszej Pani, trzynaście kobiet je sałatki, pomarańcze, pije dietetyczną colę i wspomina swoje przeżycia związane z noszeniem Jewelii. Dotychczas Tina pożyczyła ją sześciu nauczycielkom, dwóm

pomocom nauczycielskim, jednej sekretarce i jednej dyrektorce.

- Unosiłam się nad ziemią, byłam zarumieniona, jaśniałam przez cały dzień - opowiada jedna z nauczycielek.

- Podobało mi się, że naszyjnik jest prawdziwy - wspomina inna. - Zwykle, kiedy ludzie komplementują moją biżuterię, muszę im mówić, że jest fałszywa.

- A ja czułam się jak księżniczka w diademie - oznajmia młoda kobieta uczesana w koński ogon.

- Podobało mi się, że naszyjnik od razu uwydatniał biust - mówi smukła blondynka. - W dodatku potwierdził, że nie potrzebuję brylantów, żeby być szczęśliwą.

Kobiety zastanawiają się, czy mężczyźni też mogliby się czymś dzielić.

- Może - zastanawia się głośno jedna z nauczycielek - gdyby to był właściwy przedmiot, jak drogi samochód albo komplet ekskluzywnych kijów golfowych. Założę się, że niektórzy mężczyźni chętnie dzieliliby się kobietą.

Jubiler Tom Van Gundy mówi, że kiedy kobieta kupuje brylantowy naszyjnik dla siebie, zwykle nosi go od dwunastu do piętnastu razy w roku. Ze stanu zapięcia wnioskuje, że Jewelia była zakładana siedemset razy.

- W każdej biżuterii zapięcie jest zawszeajsłabsze - wyjaśnia. - Obawiam się, że pewnego dnia naszyjnik się „znosi”.

Jednak zanim ten dzień nastąpi, kobiety w całej Venturze udowadniają trafność słów dawno wypowiedzianych przez Marka Twaina: „Nie bądźmy drobiazgowi. Lepiej mieć stare brylanty z drugiej ręki, niż nie mieć ich wcale”.

Doktor Roz nie rozumiała kobiet w grupie, które chciały się tylko dobrze bawić. Co to znaczyło? Przez całe dorosłe życie utożsamiała zabawę z ucieczką, a ona nigdy nie uciekała. Nie miała na to czasu. Potępiała uciekanie, bo to zrujnowałoby jej życie.

Dlatego powiedziała brylantom: „nie”. Czym więcej mogłyby być niż zabawą? A potem, pewnego wieczoru w Saticoy Country Club, zobaczyła Patti Channer i Mary Karrh, roześmiane i plotkujące nad naszyjnikiem. Doktor Roz i jej mąż niedawno przenieśli z Zachodniego Wybrzeża do Ventury wspólną praktykę ginekologiczną, po czym wstąpili do klubu, żeby poznać nowych ludzi. Słuchając w toalecie przekomarzania Patti i Mary na temat naszyjnika, Roz czuła, że ją to pociąga. Nie naszyjnik, który nie wzbudził w niej żadnych głębszych uczuć, ale poczucie przynależności do żeńskiego stowarzyszenia. Zdała sobie sprawę, że aby wejść do tego bractwa, będzie musiała kupić plakietkę.

Swoją szansę straciła czterdzieści lat temu, chociaż nic tego nie zapowiadało. Roz pochodziła z żydowskiej rodziny, była najstarszym dzieckiem, a także jedyną córką z pięciorga dzieci sędziego i gospodyni domowej. W liceum Shortridge w Indianapolis była kapitanem cheerleaderek, brała udział w paradzie absolwentów. Miała pójść na Uniwersytet Indiany i wstąpić do żeńskiego bractwa.

Zamiast tego w wieku siedemnastu lat zaszła w ciążę.

Inaczej niż większość nastolatek, Roz raczej działała, niż marzyła, jej intelekt dominował nad uczuciami. Spokojnie rozważyła, jakie ma wyjścia. Mogła poddać się aborcji, ale w 1962 roku aborcja była nielegalna i niebezpieczna. Mogła wyjechać i urodzić, ale nie potrafiłaby wrócić do domu, jakby nigdy nic, udawać, że dziecka nie było. Mogła też wyjść za swojego chłopaka i rozpocząć inne życie. Wybrała trzecie

wyjście. Dla Roz dziecko nie było przeszkodą, tylko zmianą planów.

Ze względu na ciążę nauka w college'u nie oznaczała dla Roz randek, żeńskich stowarzyszeń ani nawiązywania przyjaźni na całe życie - właściwie nie nawiązała żadnych. Musiała dostosować się do szkół i kariery męża, więc uczyła się z przerwami w siedmiu różnych college'ach w całych Stanach, sprzedawała kosmetyki Avonu w ciągu roku szkolnego, a latem prowadziła motel - oprócz tego wychowywała syna.

- Po pięciu latach obudziłam się pewnego dnia, a mojego męża nie było - mówi. - Zostawił kartkę. Byłam załamana i przerażona. Jak mam go odzyskać? Jak mam powiedzieć o tym mojej mamie? Odnalazłam go i błagałam, żeby wrócił. Kiedy przyjechałam z powrotem bez niego, spojrzałam w lustro i powiedziałam sobie: „Przestań. Teraz możesz zacząć lepsze życie. W ciągu jednego dnia przeszłam od uczucia porzucenia do szaleństwa i w końcu do nadziei. Byłoby cudem, gdyby to małżeństwo przetrwało. Byliśmy dziećmi.

Mój mąż zmienił zawód i wrócił do szkoły, więc dawał mi na syna tylko sto dolarów miesięcznie. To były naprawdę ciężkie lata.

Mieszkałam w Indianie i uczyłam biologii w liceum, kiedy pokochałam zawodowego koszykarza, który był czarnoskóry. Społeczność w moim liceum stanowiła mieszanicę, więc kultura czarnoskórych nie była mi obca. Mój ojciec, silny, uparty człowiek, przysłał dwóch moich braci, żeby mnie ostrzegli, że jeśli nie przestanę spotykać się z tym facetem, to ktoś zrobi krzywdę mnie i mojemu synowi. W tamtych czasach na Środkowym Zachodzie mieszana para nie mogła być razem. Wysłuchałam moich braci, ale nie zamierzałam pozwolić, żeby inni ludzie dyktowali mi, co mam robić.

Zapakowałam rzeczy do samochodu i pojechałam z sześciolatnym synem do Los Angeles. Miałam dwadzieścia cztery lata.

Przez to wszystko już jako młoda osoba czułam się stara.

Nie zerwałam tego związku, co praktycznie zabiło mojego tatę. Jedyne sposobem, w jaki mógł sobie z tym poradzić, to udawanie, że ten związek nie istnieje, podobnie jak ja sama. Rodzice opuścili mnie na bardzo długo. Nie finansowo - byłam samowystarczalna - ale emocjonalnie. Dzwoniłam do nich raz w miesiącu, ale tata nie chciał ze mną rozmawiać. Mama słuchała mnie przez minutę czy dwie, po czym mówiła: „Nie wolno mi z tobą rozmawiać”. Ich decyzja mnie zasmuciła, ale nie zdruzgotała.

Sześć lat po wyjeździe z Indiany wróciłam do domu, bo mój tata miał zawał. Kiedy odwiedziłam go na oddziale intensywnej terapii, dostał drugiego. Mój widok okazał się dla niego zbyt wielkim stresem, na szczęście przeżył.

Rozpoczęłam studia medyczne, kiedy miałam trzydzieści dwa lata. Mój syn był w liceum, więc razem chodziliśmy do szkoły. To były potwornie ciężkie czasy. Powiedziałam mu, że nie mogę być takim rodzicem, który zawsze ma dla niego czas, bo nauka w szkole medycznej jest bardzo czasochłonna. Posłałam go do dobrej szkoły, gdzie miał odpowiednią opiekę. Spędzał dużo czasu w domu swojego najlepszego przyjaciela. Mój syn był i jest bardzo odpowiedzialny. Zabrałam go ze sobą na spotkanie z kolegami z liceum. Dlaczego nie? On także chodził do mojej klasy.

Drobna i szczupła doktor Roz nosi ubrania przypominające mundur: czarne, wąskie spodnie, pantofle w tym samym kolorze na płaskim obcasie marki Primo i, jeśli jest zimno, czarną kurtkę z polaru. Jedyne, co zmienia, to kolor koszuli z dzianiny: lila, żółtozielony, fuksja - kolory, które podkreślają kolor jej siwych włosów do ramion. Zdjęcia

z lat siedemdziesiątych pokazują ją w afro, wyglądającą jak ładniejsza wersja Barbary Streisand w pierwszych scenach filmu Tacy byliśmy. Dzisiaj doktor Roz poskramia loki czterogodzinnym chińskim zabiegiem prostowania. Nosi okulary bez oprawek, nie maluje się. Brylantowy naszyjnik schowała pod fioletową koszulką polo.

Idzie na spotkanie zarządu Saticoy Country Club, któremu przewodniczyła przez dwa lata. Takie stanowisko to nic nowego dla doktor Roz, która przez cztery lata z rzędu była przewodniczącą roku w szkole medycznej UCLA, a w Filadelfii kierowała zespołem zadaniowym i inicjatywami opieki zdrowotnej. Jednak dla zdominowanego przez mężczyzn zarządu Saticoy Roz była pierwszą kobietą przewodniczącą w osiemdziesięcioletniej historii klubu. Członkowie zarządu mówią o niej w samych superlatywach: „zadziwiająca kobieta”, „doskonały rozmówca”, „pokazała ludziom w klubie, że kobieta może zarządzać, i to lepiej niż ktokolwiek przed nią”.

Podchodzi do niej starsza para. Mężczyzna zauważa naszyjnik.

- Uważaj - mówi do Roz - powinnaś się w nim kochać.

- Mam zabrać go do domu? - pyta Roz jego żonę.

- Nie - odpowiada kobieta - ale ja bym chciała pożyczyć naszyjnik.

Mężczyzna przerywa:

- Przez was czuję się jak kawałek mięsa. Jego żona zmienia zdanie.

- Możesz go pożyczyć - mówi do Roz.

- To by ci nie przeszkadzało?

- Nie, on ma osiemdziesiąt cztery lata.

Roz śmieje się, po czym rusza do sali zarządu. Dobrze wie, że bez względu na to, czy mężczyźni mają osiemdziesiąt cztery, czy trzydzieści cztery lata, jedna z pierwszych rzeczy,

o jakich myślą na widok naszyjnika, to wytyczna w sprawie seksu.

- Jak się masz, kochana? - wita ją jeden z członków zarządu.

Roz kładzie rękę na jego ramieniu i się uśmiecha.

- Mam naszyjnik - kokietuje - a wiesz, co to oznacza.

- Pewnie - odpowiada. - Będiesz uprawiała seks w brylantach.

- Masz rację - flirtuje Roz. - Chcesz wrócić ze mną do domu?

- A będzie tam Michael?

- Pewnie tak.

- Cześć, piękna - mówi inny.

W wyłożonym drewnem pokoju z imponującym widokiem na pole golfowe Roz siedzi z jedenastoma opalonymi, zamożnymi mężczyznami w wieku pięćdziesięciu, sześćdziesięciu lat, emerytowanymi profesjonalistami i przedsiębiorcami, agentem ubezpieczeniowym, geologiem oraz sędzią. Niektórzy przyszli prosto z pola golfowego, w szortach khaki, koszulkach polo, inni mają na sobie garnitury i krawaty po dniu spędzonym w biurze. Przy penne pasta, zielonej sałacie i pierniczkach czekoladowych członkowie zarządu dyskutują o finansach, renowacji, nadchodzących zawodach - wszystkim, co jest związane z wielomilionową transakcją. Roz słucha z uwagą, ale rzadko się odzywa.

Po spotkaniu żartuje z kucharzami, kelnerami, kierownikiem klubu - samymi mężczyznami.

- Pozwól, że cię uściskam - mówi do każdego, zanim się pożegna.

- Przez całe życie nie mogłam dogadać się z kobietami - wspomina później. - Dorastałam w rodzinie zdominowanej przez mężczyzn. Zawsze pracowałam z mężczyznami. Tak naprawdę nie lubiłam przebywać z kobietami. Nigdy nie

czułam się wśród nich komfortowo. Moją strefę bezpieczeństwa stanowili mężczyźni. Myślę, że moja mama była taka sama. Na żadnym etapie życia nie miałam przyjaciółek.

Kiedy robiłam specjalizację położniczo - ginekologiczną, odkryłam, że potrafię radzić kobietom, sprawić, żeby czuły się przy mnie dobrze. Myślę, że część tych umiejętności zawdzięczam pracy nauczyciela.

Gdy dołączałam do grupy, czułam, że moja opinia może ją zdominować. Kobiety darzyły mnie ogromnym szacunkiem tylko dlatego, że jestem lekarzem. Ale to nie czyni mnie ekspertem w każdej dziedzinie.

Jestem naukowcem, co oznacza, że umiem obserwować bez konieczności wydawania opinii. W grupie zachowuję się cicho. Zawsze obserwuję, interpretuję i gromadzę informacje. Interesuje mnie dynamika grupy.

Kiedy byłam na praktykach, musieliśmy opisać przypadek w trzech zdaniach. To był świetny trening zwięzłego mówienia. Z drugiej strony ciężko mi słuchać, jak ludzie mówią bez końca, a kobiety w grupie tak robią. Kobiety w świecie kobiet funkcjonują inaczej niż w świecie mężczyzn. Rozwiązanie każdego problemu trwa dłużej.

Spotkania, które odbywamy z mężczyznami, rzadko są konfrontacjami. Mężczyźni wolą rozwiązywać swoje problemy przed spotkaniem, w cztery oczy. Łatwo lekceważą problemy, podczas gdy kobiety do wszystkiego angażują emocje.

Konfrontacje były dla mnie nowością, ale okazało się, że potrafię radzić sobie w sporach. Od samego początku byłam buforem, równowagą dla Jonell. Odwrotnie niż ona, nigdy nie miałam konkretnego planu ani oczekiwań. Czasami ciężko mi wysiedzieć do końca spotkania, ale przekonałam się, jak ważna jest moja umiejętność słuchania i pomoc w popychaniu

spraw do przodu. Czuję, że grupa skorzystała z moich umiejętności.

A ja potrzebuję grupy. Zanim tu przyjechałam, w moim życiu była tylko praca. Kobiety z pokolenia baby boom jako pierwsze masowo weszły na rynek pracy w czasach pokoju. Docieramy do obecnego etapu naszego życia z deficytem przyjaciół, bo zostawiamy ich po drodze. Przez osiemnaście lat prowadziłam praktykę w Filadelfii, ale nie mam tam ani jednej przyjaciółki, z którą mogłabym porozmawiać.

Dzięki tym kobietom nie czuję się samotna. Jeśli potrzebuję z kimś porozmawiać, mogę po prostu zadzwonić do siedmiu czy ośmiu z nich. Wiem, że im na mnie zależy. Jestem samowystarczalna. Wszystkie moje bitwy stoczyłam sama. Ale teraz mam te kobiety, które dodają mi siłę, kiedy tego potrzebuję. Nadały mojemu życiu lepszą jakość, dały bazę, której przedtem nie miałam. Dowiedziałam się, że potrzebuję w życiu kobiet i że to ważne, żeby w nim były.

To, co zdarzyło się potem, zaskoczyło doktor Roz - a niełatwo ją zaskoczyć.

Lider artystów w Venturze zwrócił się do Patti o pomoc w zorganizowaniu zbiórki funduszy na rzecz wynajmu po przystępnych cenach mieszkań dla artystów. Potrzebne były przedmioty na licytację. Czy Patti ma jakieś pomysły? Oczywiście Patti miała: Czarujący Wieczór z Kobietami Jewelii i Dwunastką Twoich Przyjaciół. Patti nie miała pojęcia, kto mógłby wykupić taki wieczór, ale bardzo chciała się dowiedzieć. Pod koniec wieczoru dwie działaczki zapłaciły za wieczór z trzynastoma kobietami „od naszyjnika” tysiąc dwieście dolarów. W ciągu kilku dni zaprosiły na spotkanie najważniejszych mieszkańców miasta.

W Czarujący Wieczór Patti ubrała się na fioletowo: włożyła jedwabne spodnie w prążki, marszczoną bluzkę z tego samego materiału i zamszowe buty. Chciała, żeby wszystko

wyglądało idealnie w jej domu na wzgórzu, bezpretensjonalnej, ale przepięknej kalifornijskiej chacie. I wszystko było idealne. Dwadzieścia sześć kobiet jadło włoskie grzyby faszerowane, wędzonego łososia, prosciutto, pieczone warzywa polane śmietaną, różne gatunki zagranicznych serów, świeże jagody, suszone owoce i trzy dekadencjonalne torty. Popijały szampana, chardonnay i san pellegrino. Patti puściła w obieg brylantowy naszyjnik.

O zachodzie słońca kobiety zebrały się na szarej werandzie otaczającej front domu Patti. Za linią pomarańczowych, cytrynowych i mandarynkowych drzew rozciągał się widok na Pacyfik: od Surfer's Point aż po Chanel Islands. Lampki olejowe w czerwonych, mozaikowych świecznikach rzucały ciepły blask.

Doktor Roz kierująca spotkaniem poprosiła każdego gościa, żeby powiedział coś o sobie. Kobiety były liderkami w dziedzinach sztuki, przedsiębiorczości, działalności charytatywnej. Im głębszy zapadał zmierzch, tym większe były osiągnięcia i mniej skromna narracja.

Kobiety Jewelii czuły się zaszczycone towarzystwem tak wyjątkowych kobiet i starały się dawać z siebie jak najwięcej.

Wiedziały, że coś się zaczęło. Nie wiedziały dokładnie co, ale to nie miało znaczenia. Istotne było tylko to, że tamtej magicznej nocy poszerzył się „krąg naszyjnika”.

Patti wprowadziła grupę na następny poziom i dzięki temu sama znalazła swoją drogę. Dodała nowych gości do listy e-mailowej. Za pomocą brylantowego naszyjnika nawiąże więcej znajomości, zbierze więcej kobiet, które dzięki wspólnej pracy odcisną głębszy ślad na ich społeczności.

Na kolejnym spotkaniu Patti zaproponowała, żeby następnym razem każda z dwudziestu sześciu kobiet mogła zaprosić jedną lub dwie przyjaciółki. Dwa miesiące później sześćdziesiąt kobiet spotkało się w restauracji Hush w

centrum, żeby poznać się i rozmawiać o tym, czego brakuje w ich społeczności i nad czym mogą razem popracować.

Organizacja tych spotkań była tak prosta, że w głowie Patti zaroilo się od pomysłów. Czyż nie byłoby wspaniale, zaproponowała na następnym spotkaniu, gdybyśmy uhonorowały kobiety wyróżnione za zasługi dla społeczności naszymi, który każda z nich będzie mogła założyć na swoją uroczystość?

Tak też się stało. Z uśmiechami elfów kobiety zaskoczyły lśniącym naszymi filantropkę tego wieczoru, gdy ona i jej mąż zostali uhonorowani tytułem „Mecenasów Sztuki Roku”.

- Nigdy nie miałam na sobie naszego ani niczego innego wartego więcej niż dwadzieścia tysięcy dolarów - powiedziała odznaczona Sandra Laby. - To cudowne uczucie samo w sobie. To był oryginalny i wspaniały sposób, żeby pomóc mi świętować wieczór, który był jednym z ważniejszych w moim życiu.

Szczera radość Sandry Laby sprawiła, że grupa obdarowała naszymi kasjerkę z banku, która za oddanie nerki koleżance z pracy otrzymała tytuł „Wyjątkowej Kobiety Roku”, nauczycielkę świętującą trzydziestolecie pracy z dziećmi specjalnej troski i wydawczynię, która znalazła się na liście „Pięćdziesięciu Najważniejszych Kobiet Przedsiębiorczości w Hrabstwie Ventura”.

- Brylantowy naszownik był jak mocny, lśniący uścisk, był widocznym znakiem, że kobiety stoją za mną i za magazynem - powiedziała Amy Jones, czterdzieści jeden lat, wydawczyni „VC Life & Style”. - Naszownik stał się totemem naszej społeczności, dlatego mając go na sobie, czułam w środku ciepło, jak gdybym była ogniwem długiego łańcucha miłości.

Rozdział jedenasty
Jone Pence, projektantka
Świętuje drugą szansę

Jadąca na listopadowe zebranie Priscilla cieszyła się na spotkanie z grupą, ale była przerażona zadaniami, jakie czekały ją później. Jej syn Sean właśnie ogłosił, że za sześć tygodni bierze ślub. Młodzi mieli niewiele pieniędzy, rodzina panny młodej żadnych. Priscilla widziała, jak syn z narzeczoną płaczą się, mówiąc o przygotowaniach do ślubu.

- Nie martwcie się - uspokoiła ich. - Ja się wszystkim zajmę.

Jednak dużo trudniejsze okazało się uspokojenie samej siebie. Cały dom był zavalony pudłami, wciąż nierozpakowanymi po niedawnej przeprowadzce Priscilli z mężem, Tomem, do małego kondominium. W Dzień Dziękczynienia i w pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia miała u nich gościć trzynastoosobowa rodzina. Priscilla musiała kupić dla wszystkich prezenty - a cały czas pracowała na pełny etat w sklepie jubilerskim w najbardziej ruchliwym okresie roku. Zaczynała się martwić, jak da radę zorganizować ślub trzydziestego grudnia.

Spotkanie z kobietami uciszyło na chwilę jej obawy.

Uwielbiała ich beztroskie docinki. Jonell jak zwykle zamknęła spotkanie pytaniem:

- Czy chcecie jeszcze o czymś porozmawiać?

- Mój syn się żeni i wszystkie jesteście zaproszone - powiedziała Priscilla szybko. - Jestem bardzo podekscytowana, Nicole jest cudowna. Ale jej rodzina nie może pomóc. Martwię się, jak dam radę zorganizować wesele dla dwustu osób za niewielkie pieniądze, i to przed Nowym Rokiem.

Patti, kobieta czynu, odezwała się pierwsza:

- No dobrze, dziewczyny, jak możemy pomóc Priscilli?

Kobiety zaczęły zgłaszać się jedna po drugiej. Jone Pence, dekoratorka wnętrz, zaproponowała, że ozdobi salę weselną na plebanii. Patti zgłosiła się do zaprojektowania i rozesłania zaproszeń mailowych. Tina chciała przynieść ze szkoły świece i lampy sztormowe. Mary Osborn zapewniła, że z chęcią wyjdzie w piątek przed ślubem wcześniej z pracy, a w sobotę wszystkie przyjdą przed czasem, żeby pomóc.

Priscilla nie była w stanie mówić. Chciała tylko się wyzalić, bo wiedziała, że poczuje się lepiej, kiedy koleżanki omówią jej kłopot. Ani przez chwilę nie spodziewała się takiej reakcji. W drodze do domu zaczęła płakać. Nikt nigdy nie zaoferował jej tak bezinteresownej pomocy. Ani razu.

Ślub miał się odbyć za dwa tygodnie, a Priscilla jeszcze nie kupiła sukni. Nienawidziła zakupów. Jej sylwetka miała kształt gruszki, toteż nic nigdy na nią nie pasowało, wszystko trzeba było przerabiać. Zwykle chodziła do Macy's w centrum handlowym naprzeciwko jej biura i zawsze czuła się przytłoczona różnorodnością asortymentu. Potrafiła godzinami przymierzać ubrania i wrócić do domu z pustymi rękami. Nic dziwnego, że ociągała się z zakupem.

Patti wyczuła problem Priscilli. Znała idealny sklep dla niej. To było proste - Patti znała wszystkie sklepy.

- Yon Hui's, butik na East Main - powiedziała Priscilli. - Spotkamy się na miejscu.

Kiedy Patti weszła, Priscilla patrzyła na coś niebieskiego. Nie, pomyślała Patti, to zupełnie nie dla niej.

- Nie jestem pewna, czy to rzeczywiście to - zasugerowała uprzejmie.

Zaczęła szybko przebierać w strojach palcami, przesuwając wieszaki po drążku, aż wyciągnęła dwuczęściową suknię w kolorze szampana z marynarką trzy czwarte, ozdobioną małymi, lśniącymi paciorkami która mogła wydłużyć sylwetkę

Priscilli. Patti przechyliła głowę, zabębniła palcami o policzek.

- Ta mi się bardziej podoba - powiedziała. - Będiesz w niej świetnie wyglądała. Jest piękna. Jest uniwersalna. Możesz nosić górę do czarnych spodni lub dżinsów, a spódnicę do czarnej bluzki. Przymierz ją.

Priscilla poszła do przebieralni. I bardzo ta wyprawa na zakupy różniła się od poprzednich! Nigdy wcześniej nie chodziła po sklepach z przyjaciółką. Patti była taka szybka, a jednocześnie - co dziwne - Priscilla nie czuła się poganiana.

W przebieralni włożyła sukienkę. Pasowała! Bez wątplenia kolor podkreślał jej oliwkową cerę i kasztanowe włosy.

Wyszła z przebieralni, wyraz twarzy Patti powiedział jej, że to był doskonały wybór.

- Jest cudowna - powiedziała Patti. - Wyglądasz oszałamiająco. Jak się w niej czujesz? Jest wygodna? Obróć się.

Priscilla wykonała polecenie. Teraz ona także się uśmiechała.

- Nie kupuj żadnych dodatków - ostrzegła Patti. - Mam wszystko, czego ci potrzeba, nawet buty, przecież nosimy ten sam rozmiar. - Patti uśmiechnęła się, a jej oczy zalśniły.

Priscilla wracała do biura podniesiona na duchu. Zdobyła sukienkę - jedno z najważniejszych zadań wykonane - i to w jak krótkim czasie? W dwadzieścia minut? Z Patti zakupy były nie tylko proste, ale i przyjemne. Priscilla zawsze myślała, że im się jest mądrzejszą i bogatszą, tym mniej potrzebuje się innych ludzi, tym bardziej jest się samowystarczalną. Priscilla nigdy nikogo o nic nie prosiła. Teraz zaczynała myśleć inaczej. Może im się jest mądrzejszą, tym szybciej zdaje się sobie sprawę z kłopotów i prosi o pomoc?

Dzień przed ślubem Patti przyjechała o pierwszej, żeby pomóc urządzić salę. Priscilla już tam była, podobnie jak Jone Pence.

Nowa w grupie Jone (wymawia się „Joanie”) przyłączyła się do nich, kiedy jedna z kobiet opuściła miasto. Jone uczestniczyła dopiero w sześciu spotkaniach i wciąż była bardziej obserwatorem niż uczestnikiem.

Od lat przyjaźniła się z Jonell, ale nie знаła większości pozostałych kobiet. Znała się jednak na transformacji przestrzeni. Naturalnie chrapliwy głos, blond włosy i wesołe usposobienie nadawały jej seksowny urok dziewczyny z sąsiedztwa, który w latach pięćdziesiątych uosabiała Doris Day. Jone ubierała się jak projektantka. Nosła neutralne kolory, ale zawsze z barwnym akcentem w postaci artystycznie udrapowanego czerwonego szalika lub modnych żółtozielonych sandałów. Śmigąła po mieście kremowym garbusem ze składanym dachem, z Blue, mieszańcem pudła i shih tzu, u boku.

Jone uwielbiała rozwiązywać dekoratorskie problemy. To właśnie robiła przez sześć dni w tygodniu dla około dwadzieścioro klientów. Rozwiązywała też problemy milionów widzów programu „Designer's Challenge” na kanale HGTV. Szybko stała się etatową dekoratorką grupy, wybierała kolory ulotek i plakatów na zbiórki charytatywne. Lubiła, gdy kobiety mówiły:

- Mamy Jone, ona się tym zajmie.

Zajęła się więc „tym” w Kościele Świętego Serca z pomocą Patti i innych. Udekorowała salę z parkietem tanecznym pośrodku - to była największa prośba panny młodej. Jone znalazła w magazynie dwadzieścia okrągłych stołów i rozmieściła je tak, by zostawić wygodne przejścia. Ustawiła jeden długi stół dla orszaku weselnego i stoły na prezenty, otoczyła rzędem babeczek miejsce na tort,

wyznaczyła inne na przekąski, bufet oraz otwarty bar w pokoju obok. Uznała, że gwiazdy betlejemskie z kościoła, wciąż piękne po niedawnych świętach, najlepiej wyglądają ustawione niczym czerwone rakiety u podnóża sceny. Dyskretnie ukryła w kątach śmietniki kościelne. W końcu odkryła, że wnękowe lampy można przygasić - niezwykle w kościele, pomyślała Jone, ale dzięki przyćmionemu światłu każda przestrzeń mogła wyglądać wyjątkowo. Jeśli możesz przygasić światło, uda się stworzyć atmosferę.

Jone i Ślubna Ekipa Jewelii okryły stoły beżowo - białymi obrusami, ustawiły białe świece. O piątej sala wyglądała tak pięknie, jak to tylko możliwe w przypadku sali parafialnej.

- Zawsze przepadałam za dekorowaniem - mówi Jone. - Dorastałam w Minnesocie i kiedy wychodziłam na śnieg, nie robiłam bałwanów, tylko domy. Nigdy nie chciałam lalek. Chciałam nowego łóżka z baldachimem i mebli do kompletu.

Moi rodzice w ogóle nie rozmawiali ze mną o mojej karierze zawodowej. Matka sądziła, że powinnam pójść do college'u, żeby znaleźć męża. W szkole Cal State - Northridge uczyłam się na nauczycielkę głuchoniemych, ale kiedy zakochałam się i wyszłam za męża, moje życie zaczęło kręcić się wokół męża. On chciał założyć firmę produkującą programy telewizyjne, więc zapomniałam o zawodzie nauczycielki i zajęłam się administracyjną stroną przedsięwzięcia - organizowaniem spotkań, zamówieniami, planowaniem budżetu, finansami. Miałam głowę do interesów. On nie.

Naszym pierwszym domem był duży magazyn w Hollywood. Tam prowadziliśmy też firmę. Nienawidziłam Hollywood i nie cierpiałam naszego mieszkania. To on je urządził. Sypialnia na poddaszu wyglądała jak w filmie porno: z kominkiem, wielkim łóżkiem wodnym, skórą niedźwiedzia pod wanną na niedźwiedzich łapach i huśtawką zwisającą z

sufitu. Żeby zejść na parter, musieliśmy zjeżdżać po słupie, jak strażacy.

Wynajęłam mieszkanie w Burbank, żeby poza interesami łączyło nas także życie małżeńskie. On nigdy się tam nie pojawił. To był znak, że nie nadaje się na męża, ale ja chciałam, żeby nam się udało. Nie miałam innego planu. Przyjęłam postawę pokolenia mojej matki: jesteś kimś dopiero, kiedy wyjdiesz za mąż.

Tak łatwo się przystosowywałam, że zgadzałam się na wszystko, czego on chciał. Ale kiedy kobieta jest uległa, partner jeździ po niej jak po łysej kobyle. On był kobieciarzem, zaczął mnie zdradzać pół roku po ślubie. Wciąż kręcił jakiś program, imprezował, całymi nocami nie wracał do domu. Kiedyś już spałam, gdy usłyszałam, jak chichocze w jacuzzi z jakąś dziewczyną. A mimo to wciąż miałam nadzieję. Jestem bystrą kobietą interesu, ale jeśli chodzi o mężczyzn, jestem tępa.

Tak bardzo chciałam mieć dom. Moi rodzice pomogli nam kupić ziemię, na której mieliśmy wybudować nasze wymarzone gniazdko. Problem polegał na tym, że nie mieliśmy na czym budować małżeństwa. Przez pięć wspólnie spędzonych lat on był związany z co najmniej trzema kobietami.

Pewnego dnia zrobiłam bilans firmy, spakowałam walizkę i odeszłam. Jestem pewna, że tamtego wieczoru miał randkę. Powiadają, że człowiek w życiu przechodzi trzy największe kryzysy: kiedy utraci pracę, dom i małżonka. Ja w ciągu jednego dnia straciłam wszystko.

Gdy powiedziałam matce, że się rozstaliśmy, jej pierwszą reakcją była odpowiedź, że pewnie nie gotowałam wystarczająco dobrze, nie dobieierałam odpowiednio kolorów warzyw.

Przeprowadziłam się do San Francisco i rozpoczęłam pracę dla agencji reklamowej J. Waltera Thompsona. Po pięciu latach zapragnęłam mieszkać w mniejszej społeczności, więc wróciłam do Ventury, dokąd moi rodzice przeprowadzili się, kiedy byłam w gimnazjum.

Cztery lata temu - byłam pięćdziesięciodwulatką - kupiłam mój pierwszy dom. Wyglądał kiepsko: wszędzie ciemna boazeria, niedbale pomalowany sufit, kuchnia połączona z salonem. Zdałam wszystko do cna i odnowiłam w ciągu trzech miesięcy. Podejmuję decyzje szybko, bardziej jak mężczyzna, ale mój dom jest zdecydowanie kobiecy, z płóciennymi zasłonami i mnóstwem kwiatów w ogrodzie. W końcu stworzyłam dla siebie idealną przestrzeń - moje małe marzenie. Powiesiłam ostatni obraz i przez miesiąc tańczyłam w salonie do piosenek Nory Jones. Poczułam, że wiele osiągnęłam, kiedy sama urządziłam swój dom i zapłaciłam za niego.

Jestem rozwiedziona od dwudziestu lat. Miałam wiele poważnych związków, ale moje małżeństwo okazało się taką porażką, że jestem teraz bardzo ostrożna. Poza tym rzadko czuję się samotna. Lubię swoje towarzystwo i uwielbiam mieć własną przestrzeń. Brakuje mi seksu i bliskości, jaką daje związek, ale mężczyźni trudno by było wprowadzić się do mojego domu. Jego rzeczy stanowiłyby problem. Mogłabym mu zaproponować jedynie szufladę na skarpetki. Ale uwielbiam zmieniać wystrój, z radością bym coś dodała.

Dopiero od dziesięciu lat moja matka przestała mi mówić, że powinnam znaleźć sobie mężczyznę. Mój ojciec chorował przez ostatnich pięć lat, a przez pół roku przed śmiercią był przykuty do łóżka. Pewnego dnia moja matka zwierzyła mi się:

- Życie z twoim ojcem było ciężkie.

W końcu zobaczyła drugą stronę życia małżeńskiego.

- Widzisz, mam - powiedziałam - moje życie jest łatwe.

A ona na to:

- Jone, bardzo dobrze sobie radzisz sama. Jestem dumna z ciebie i z tego, co osiągnęłaś.

Poczułam, że kiedy w końcu przestała wymyślać dla mnie wymarzoną przyszłość, po raz pierwszy zobaczyła mnie. Nie musiałyśmy już walczyć. Zostałyśmy przyjaciółkami i powierniczkami. W końcu w moim życiu wszystko było na swoim miejscu.

Nie potrzebuję mężczyzny, żeby przeżyć. Wszystko, co mam, osiągnęłam własnymi siłami. Potrzebuję jednak rodziny i przyjaciółek. Kiedy Jonell pierwszy raz do mnie zadzwoniła, to nie był dobry moment. Włożyłam wszystkie pieniądze w renowację domu i byłam kompletnie zaprzężona wiciem gniazdka. Nie chciałam nigdzie wychodzić. Do czego miałby mi być potrzebny brylantowy naszyjnik? Nigdy nie miałam żadnego brylantu.

Kiedy Jonell zapytała mnie po raz drugi, powiedziałam „tak”. Nauczyłam się, że w życiu zawsze można dostać drugą szansę.

W dniu wesela Van Gundy Jone spotkała się rano z klientami, po czym pojechała prosto na salę weselną, żeby upewnić się, czy wszystko jest w porządku. Ślubna Ekipa Jewelii wyszła wcześniej z kościoła, żeby jej pomóc. Zapaliły świece na stołach, rozstawiły kieliszki, skontrolowały jedzenie: tace pełne przystawek (salsa i chipsy, surowe warzywa, dip z karczochów, czosnkowe bułeczki, świeże owoce). Meksykańska uczta złożona z barbacoa (Barbacoa - mięso pieczone powoli na otwartym ogniu.) , arroz (Arroz (hiszp.) - ryż.), frijoles de la olla (Frijoles de la olla - „garnek fasoli”, fasola gotowana z cebulą.; skwarkami i papryczkami chili.) i bolillos (Bolillos - bułeczki meksykańskie.).

Goście napłynęli do sali i zajmowali miejsca, kładli na krzesłach torebki i marynarki. Kiedy pojawiło się więcej gości, niż potwierdziło przybycie, Priscillę ogarnęła panika, ale Patti położyła jej rękę na ramieniu.

- Nie martw się, kochana - powiedziała. - Poradzimy sobie z tym.

Patti znalazła dwie kobiety z grupy i razem nakryły dodatkowy stół.

Rozejrzała się po sali. O mój Boże, pomyślała, jeden barman, ale ani jednego kelnera na stu pięćdziesięciu gości! Zadziałała błyskawicznie. Poleciała członkom orszaku weselnego roznieść szampana gościom i się przedstawić - szybko! Raz, dwa, trzy!

Kobiety Jewelii, które siedziały przy jednym stole, czuły się jak matki chrzestne - wróżki, kiedy patrzyły na pannę młodą krążącą między stołami. W długiej, białej sukni bez ramiączek i ich brylantowym naszyjniku Nicole lśniła jak Kopciuszek na balu. Tak, brylanty ozdabiały wiele atrakcyjnych szyj, ale żadna nie była piękniejsza niż szyja Nicole. Kobiety pochłaniały jedzenie, które zgodnie uznały za delicioso (Delicioso (hiszp.) - przepyszne.). Patti znowu omiotła wzrokiem salę. Nikt nie sprzątał ze stołów. Mój Boże, pomyślała, goście weselni nie mogą sprzątać własnych cholernych talerzy!

- No dobrze, moje panie, pora posprzątać - zarządziła Patti i wstała. - Rozdzielamy się i bierzemy do roboty.

W mgnieniu oka kobiety zamieniły się w kelnerki, każda objęła jedną z sekcji sali. Priscilla pobladła na widok koleżanek sprzątających ze stołu, ale wróciły jej rumieńce, gdy ujrzała, że wykonują swoją pracę z uśmiechem. Ona także się uśmiechnęła. Zrelaksowała się i znowu zaczęła oddychać.

Musiała oddychać głęboko, bo po raz pierwszy od dziesięciu lat miała zaśpiewać publicznie. Wiedziała, że

dobrze wygląda - jeszcze nigdy tak wiele kobiet nie skomplementowało jej sukienki. Była pewna swojego głosu, ale martwiła się, że zapomni słów.

Weszła na scenę, za nią dziesięciu mariachi. Syn Priscilli, Sean, patrzył na nią zdumiony. Odmówiła, kiedy kilka tygodni temu poprosił ją, żeby zaśpiewała na jego weselu. Nie rozumiał, dlaczego matka nie mogła wyświadczyć mu tej jednej przysługi. Ona zawsze mówiła „nie”. Gdy dorastał, to ona była rodzinnym kapralem, złym gliną. Kiedy patrzył, jak jego mama śpiewa na rodzinnych spotkaniach, widział jej drugie oblicze. Kochał taką mamę, o świetnym głosie i prezencji scenicznej. Jej śpiew zawsze kojarzył mu się z dobrymi chwilami.

Gitary, skrzypce i trąbki akompaniowały Priscilli, kiedy śpiewała hiszpańską balladę miłosną Sabor A Mi. Alt miała dźwięczny niczym wiolonczela, mocne płuca wyćwiczone przez lata, gdy jako dziecko śpiewała bez mikrofonu z zespołem mariacki. Kobiety Jewelii nie mogły uwierzyć własnym uszom. To Priscilla ma taki głos? Śpiewała jak meksykańska Edith Piaf, z uczuciem, całym ciałem. Większość grupy nie rozumiała hiszpańskich słów, ale ze sposobu, w jaki śpiewała, wiedziały wszystko. Kiedy wyśpiewała ostatnią nutę, ani jedna kobieta na sali nie miała suchych oczu.

Płakał też jeden mężczyzna: syn Priscilli, Sean, obiekt jej uczuć. Mama pożyczyła Nicole - jego żonie! - brylantowy naszyjnik. Z pomocą przyjaciółek zorganizowała cały ślub. A teraz dała mu najpiękniejszy prezent ze wszystkich: swój śpiew.

Kiedy starszy syn Priscilli, Aaron, profesjonalny DJ, puścił piosenkę Let's Groove zespołu Earth, Wind & Fire, kobiety Jewelii wbiegły na parkiet, żeby rozpocząć zabawę. Jeden z muzyków złapał Tinę, Priscilla, Patti i Nancy tańczyły

ze sobą nawzajem. Twarz Priscilli jaśniała po odniesionym sukcesie. Ślub się udał. Jej występ się udał. Uszczęśliwiła syna. Zanurzyła się bez reszty w piękną chwilę, rozkoszowała tym dniem, muzyką, towarzystwem tych kobiet.

- To było moje pierwsze wyjście z kobietami Jewelii - opowiadała projektantka Jone po weselu. - Pomyślałam: o mój Boże, mamy sprzątać stoły. Ale to była dla mnie wielka chwila, kiedy wszystkie kobiety stanęły na wysokości zadania, żeby pomóc Priscilli, gdy patrzyłam, jak trzynaście osób działa niczym jedna. Moja matka należała do wielu kobiecych grup i kiedy zachorował ojciec, jej przyjaciółki codziennie przychodziły wspierać ją i pocieszać. Widziałam, jak wiele znaczyły dla mamy te wizyty i zdałam sobie sprawę, że tego brakuje w moim życiu. Nigdy nie należałam do żadnej kobiecej grupy. Widok całej Jewelii pomagającej Priscilli przygotować wesele dał mi komfortowe uczucie pewności, że jeśli będę tego potrzebowała, ta grupa kobiet pomoże także mnie.

O szóstej po południu w piątek, miesiąc po ślubie, Priscilla bierze trzecią lekcję śpiewu. Stoi obok małego pianina w salonie swojej nauczycielki, Toni Janotty. Pokój to ekscentryczna przestrzeń artystki z kolorowymi mobilami, witrażowymi lampami i półtorametrowym drapakiem dla kota rosyjskiego niebieskiego, który skrada się po drewnianej podłodze.

Priscilla jest ubrana w bluzkę z motywem skóry leoparda i wielokolorowymi cekinami oraz czekoladowo - brązowe spodnie. Toni zaczyna ćwiczenia. Priscilla śpiewa gamy, oddycha przeponą. Jej głos sięga coraz wyżej. Śpiewa krótkie dźwięki staccato, od których skacze jej brzuch, wciąż i wciąż od początku.

Męczy się. Poci. Nie przestaje.

W końcu przyjemne zadanie: Toni przerzuca strony Wielkiego śpiewnika amerykańskiego w poszukiwaniu piosenki w tonacji Priscilli. Podaje jej książkę otwartą na klasycznym utworze Sinatry. Priscilla zakłada okulary do czytania w szylkretowej oprawie. Patrzy na nuty i zaczyna miękko śpiewać:

Właśnie z drzewa życia szczęście mi kapnęło,
Pojawiłaś się ty i wszystko śpiewać zaczęło,
Jednak jestem pewien, że najlepsze dopiero przed nami.
(Frank Sinatra The best is yet to come.)

Przy trzecim wersie śpiewa pełnym głosem. Zrozumiała przekaz.

Priscilla jest zmęczona i zachrypnięta, ale pełna energii. Wsiada do srebrnego mercedesa, jej pierwszego luksusowego wozu, prowadzi lewą ręką, a prawą bezustannie gestykułuje. Chce zgłosić się na przesłuchania, wystąpić w musicalu, założyć społeczny teatr. Jednak najpierw zamierza zrealizować jedno marzenie: chce przygotować występ dla przyjaciół i rodziny. Wyznaczyła sobie termin, który mija za dwa lata. Wynajmie restaurację lub bar, zatrudni muzyków, wybierze motyw przewodni i będzie prezentowała swój repertuar przez jeden lub dwa wieczory. W roli doradcy zatrudni swoją nauczycielkę śpiewu, która jest profesjonalną śpiewaczką. Priscilla jest podekscytowana na samą myśl o „Wieczorze z Priscilla”.

- Jako nastolatka wiedziałam, że mam talent - mówi. - Jednak potem wyszłam za mąż, urodziłam dzieci i przestałam śpiewać. Odpuściłam sobie. Ale przez śpiew można dotrzeć do ludzi. Jestem zdeterminowana zrobić karierę przed śmiercią. Nie jest za późno. Bez tej grupy kobiet nigdy by mi to nie przyszło na myśl. Teraz mam przyjaciółki, które wesprą mnie w tak ryzykownym przedsięwzięciu. Wiem, że tam będą

i namówią wszystkich przyjaciół, żeby także przyszli. Oni wypełnią salę.

Zanim spotkałam te kobiety, żyłam w świecie, w którym nie byłam wiele warta, nie byłam wystarczająco dobra. Wmawiałam to sobie przez całe życie. Te kobiety pokazały mi, że to kłamstwo, które w sobie wmawiałam, ponieważ czułam lęk. Teraz boję się tylko tego, że rozczaruję samą siebie, że dojdę do końca życia, nie wykorzystawszy wszystkich darów, jakie dostałam.

Przed Jewelią myślałam: Ciekawe, co ze mną będzie? Teraz myślę: Ciekawe, co zrobię jutro? Po raz pierwszy sama komponuję swoje życie.

Rozdział dwunasty

Mary O'Connor, rock - and - rollowa dziewczyna

Tworzy spuściznę dla nas i dla naszych córek

Patti była tak wzruszona widokiem synowej Priscilli w naszyjniku, że zaproponowała pożyczanie go na ślub córce przyjaciółki. Sama Patti nie miała dzieci, ale matkowała córkom przyjaciół. Była matką chrzestną dziesięciu dziewczyn, które dorastały z córkami niektórych kobiet Jewelii, w tym przyszłej panny młodej. Wieść, że „coś pożyczonego” to może być Jewelia, szybko rozeszła się po całej Venturze.

Niektóre córki kobiet Jewelii były zaskoczone, jedna urażona, a jedna otwarcie rozczarowana, że dziewczyna spoza grupy założy naszyjnik na ślub, zanim one założą go na swoje. Matki narzekały. Kupiły naszyjnik między innymi po to, żeby każda z ich córek mogła włożyć Jewelię w dzień swojego ślubu. Nie podobał im się taki obrót sprawy.

Nie podobało im się także pożyczanie cichcem. Czy Patti nie powinna z nimi tego skonsultować? Hola, czy nie powinny podyskutować na ten temat? Ślub nawet nie odbywał się w miesiącu Patti. Pożyczyła naszyjnik, żeby dać go komuś obcemu. Czy w ten sposób będą działać?

Łańcuch, który je łączył, znów zaczął uwierać, znowu rozpętało się istne piekło.

Następne spotkanie rozpoczęło się przeprosinami Patti. Chciała tylko się dzielić, powiedziała. Czy nie po to stworzyły tę grupę? Czy nie to właśnie robią już od roku?

Cóż, owszem, po to, przyznała Nancy Huff, ale śluby to co innego. Śluby to szczególne wydarzenia, wyprawia się je, żeby uczcić wartość życia rodzinnego. Naszyjnik miał być pamiątką rodową, którą każda z nich przekaże swojej córce w

dzień ślubu. Jest różnica między pożyczaniem go komuś na kilka godzin w pracy a pożyczaniem na ślub.

Patti popatrzyła na Nancy z niedowierzaniem. Czy to ta sama hojna, pełna współczucia Nancy, którą знаła od dwudziestu lat? Co się z nią stało?

- Nie ma żadnej różnicy - zaproponowała Jonell. - Dzielenie się to dzielenie.

- Przedmiot, który jest powszechnie i łatwo dostępny, traci swoją wartość - powiedziała inna matka dziewczyny w wieku odpowiednim do zamążpójścia. - Jeśli każdy może założyć naszyjnik na swój ślub, na ślubach naszych córek nie będzie wyjątkowy.

- Nie - zaprotestowała Jonell. - To dzielenie się naszyjnikiem czyni go wyjątkowym.

- Myślę, że powinniśmy wrócić do dzielenia się naszyjnikami tylko między nami, tak jak na początku - zaproponowała trzecia matka dziewczyny szukającej męża.

- Chyba żartujecie! - zawołała Jonell. - Co się dzieje z tą grupą? Po cośmy ją w ogóle stworzyły? Jedyne, co w niej ciekawe, to dzielenie się.

- Tak, chodzi nam o dzielenie się - odpowiedział ktoś - ale nigdy nie rozmawialiśmy o tym, w jaki sposób mamy to robić. Może powinniśmy ustalić jakieś zasady.

Zasady? Jonell była przerażona. Tylko nie znowu to samo.

- Pragniemy jedynie, żeby naszyjnik pozostał dla naszych córek czymś wyjątkowym. Nie chcę, żeby moja córka nie chciała go założyć dlatego, że tak wiele dziewcząt nosiło go przed nią.

- Zapominacie o podstawowym przesłaniu tej grupy - przypomniała Jonell. - Chodzi nam o inkluzję, nie o wykluczanie.

Jonell także miała córkę w wieku odpowiednim do zamążpójścia, ale absolutnie nie rozumiała tego punktu widzenia.

- Przynajmniej - wtrąciła inna matka dwudziestoparolatki - powinniśmy wcześniej omawiać pożyczanie naszyjnika na śluby czy inne uroczystości, najpierw to uzgadniać.

Jonell straciła cierpliwość.

- Mówicie mi, że mam zwoływać zebranie, zanim będę mogła podzielić się z kimś naszyjnikiem?

Dla Jonell ta kłótnia była jeszcze gorsza niż spór o utworzenie spółki, bo dotyczyła sedna jej eksperymentu. Ona podzieliła się z nimi dwunastoma, więc dlaczego one nie mogą podzielić się z innymi?

- To był mój pomysł i ten naszyjnik jest dla wszystkich - wybuchnęła. - Nie ma żadnych ograniczeń.

Zapadła cisza.

W końcu przemówiła Nancy, najstarsza przyjaciółka Jonell.

- Tak, to był twój pomysł, Jonell. Ale naszyjnik nie należy już tylko do ciebie. Teraz stanowimy grupę.

- Masz rację - zgodziła się Jonell. - Przepraszam.

Połowa grupy nic nie powiedziała. Te kobiety, które nie miały dzieci, w ogóle nie rozumiały dyskusji. Te, które przeszły poważne choroby, nie mogły usiedzieć na miejscach.

Kobieta, która przerwała ciszę, powiedziała, że naszyjnik powinien coś znaczyć dla osoby, która go nosi. Może kobiety, które zakładają Jewelię na jakąś okazję, na przykład na ślub, powinny coś zrobić w jej imieniu, na przykład wpłacić pieniądze na cel charytatywny.

Jonell znowu nie wytrzymała.

- Teraz mi mówicie, że kobiety mają płacić, żeby założyć naszyjnik?

Emocje wrzały i wybuchały. Pod koniec wieczoru kobiety nie doszły do porozumienia.

Nancy wróciła do domu w fatalnym humorze. Miała ochotę odejść z grupy. Także Jonell opuściła koleżanki w podłym nastroju. Żałowała, że w ogóle założyła tę grupę.

Nikt nie słuchał dyskusji z większym zainteresowaniem niż Mary O'Connor.

Mary była jedną z niewielu kobiet, które wypisały czek na naszyjnik jeszcze przed zobaczeniem go. Nie musiała oglądać brylantów. Skusiła ją wyłącznie jedna perspektywa. Chciała pożyczyć je swojej córce w dniu ślubu. Mary sądziła, że po jej śmierci Karen, jako spadkobierczyni, pozna córki przyjaciółek i zaprzyjaźni się z nimi.

Mijał grudzień, miesiąc, w którym naszyjnik należał do Mary. Kobieta postanowiła zamiast zwykłego spotkania urządzić przyjęcie ze spadkobierczyniami. Grudzień był doskonałym miesiącem na przyjęcie, choć Mary nie potrzebowała takich wymówek.

W wieku sześćdziesięciu dwóch lat Mary O'Connor była najstarszą członkinią grupy, ale wciąż bawiła się i ubierała jak gwiazda rockowa. Nosiła obcisłe, pastelowe kurtki ze skóry, kamizelki z głębokim dekoltem, spódnice do połowy uda. Na kostce nagiej, smukłej nogi miała delikatną, złotą bransoletkę. Blond włosy spływały jej falami na ramiona. Nie wyglądała na byłą kierowniczkę szkolnej katedry języka angielskiego, tylko na odlotową nauczycielkę, jaką chciałby mieć każdy uczeń.

Wciąż sześć razy w roku szalała w tłumie na koncertach rockowych, razem z mężem, inżynierem systemów kosmicznych, młodszym od niej o dziesięć lat. Zabrała dwójkę swoich dzieci na ich pierwszy koncert rockowy, dzieliła z synem miłość do Led Zeppelin, a z córką do Hall & Oates. Mary z mężem przyzwyczaili się do imprezowego stylu życia

dawno temu, w Buffalo w stanie Nowy Jork, kiedy o wpół do dwunastej w nocy przyjeżdżali po opiekunkę, do czwartej rano odbywali rundę po klubach oraz barach, po czym jedli śniadanie i wracali do domu. Teraz ich dzieci były dorosłe i zapraszały rodziców na imprezy, ich przyjaciele także. Młody duch obojga sprawił, że zawsze byli pierwszymi gośćmi na liście.

Mary O'Connor tak samo lubiła wydawać przyjęcia, jak w nich uczestniczyć. Na wieczór, w którym miała przekazać brylanty, z rozmachem udekorowała cały pięciopiętrowy dom w hiszpańskim stylu. Ozdobiła poręcze schodów sosnowymi girlandami, poprzetykała zieleń migającymi lampkami oraz kokardami w kolorze burgunda i złota. Powiesiła trzy zielone wieńce, ubrała trzyipółmetrową sosnę, rozciągnęła światelka nad trzykondygnacyjnym tarasem z widokiem na Pacyfik. Wszyscy goście jak zwykle zebrali się wokół bufetu w jadalni. Na poprzednie spotkania każdy coś przynosił, ale tym razem Mary sama zapewniła wyżywienie: olbrzymie krewetki, łosoś, dipy krabowe, wybór kanapek na francuskim cieście i tamale (Tamale - popularna potrawa meksykańska: mielone mięso przyprawione chilli albo innymi przyprawami, zawijane w cieście kukurydzianym.) - podstawowe dania na przyjęciach w Południowej Kalifornii.

Kobiety przyszły ze swoimi spadkobierczyniami: córkami, pasierbicami, kuzynkami i siostrami. Siedziały w salonie - połowa gości na podłodze - a Mary goszcząca dwa pokolenia bawiła się tak dobrze, że pod koniec wieczoru spontanicznie zaprosiła kobiety Jewelii do swojego domu na jednej z wysepek Florida Keys. Żadna z nich nie była nigdy na Key West, ale nikt nie był zaskoczony, że taka rozrywkowa dziewczyna ma drugi dom trzydzieści parę kilometrów od jednego z najbardziej imprezowych miast w kraju.

- Niech przyjedzie siedem pierwszych, które kupią bilet - powiedziała Mary ogarnięta entuzjazmem.

Trzy miesiące później, ubrana w kwiecistą bluzkę bez pleców i białe szorty, zaprosiła swoich gości na najlepsze mięso smażone w cieście i mojitos (Mojitos - drinki z rumu Bacardi z listkami mięty.) na wyspie. Zabrała je do każdego znanego baru: Sloppy Joe's, Captain Tony's, Hog's Breath Saloon i jej ulubionego, Green Parrot. Zawiozła kobiety na wycieczkę do domu i muzeum Hemingwaya, na wyprawę po sklepach na Duval Street i oglądanie zachodu słońca na Mallory Square. Każdego wieczoru Tina i Nancy, które zwykle już o dziesiątej leżały w łóżkach, zaczynały ziewać i pytać:

- Możemy iść do domu? A Mary odpowiadała:

- Ale jest dopiero druga w nocy!

W Venturze córka Mary, Karen, też nie mogła dotrzymać jej kroku.

Karen, młodsza wersja matki, wygląda jak Christie Brinkley (Christie Brinkley - amerykańska modelka i aktorka.): żywa, ładna twarz i kształtne, atletyczne ciało. Tak jak matka mówi z emfazą, żywo gestykulując. Pracują razem w firmie Mary, zajmującej się tablicami elektronicznymi. Razem chodzą do kościoła, do opery i na Super Bowl, jeśli uda im się zdobyć bilety. Są zapalonymi kibickami i najlepszymi przyjaciółkami.

- Kiedy pierwszy raz usłyszałam o naszymyjniu, zbagatelizowałam to - mówi Karen, trzydziestodziewięciolatka. - Mama powiedziała, że będę mogła go założyć w dniu mojego ślubu, a ja pomyślałam: taaa, pewnie. Byłoby miło, ale to się nigdy nie zdarzy. Nigdy nie wyszłam za mąż i pomyślałam, że córki wszystkich kobiet z grupy założą go przede mną. Ale wszystko się zmieniło, kiedy po raz pierwszy zobaczyłam mamę w naszymyjniu na

gwiazdkowym przyjęciu rodzinnym. Brylanty były takie piękne, a ona aż jaśniała. Myślę, że to z powodu tego, co naszyjnik dla niej znaczy, to jak noszenie serca na dłoni, choć w tym wypadku nosisz je na szyi. Pomyślałam, że byłoby tak cudownie, gdybym mogła go włożyć na swój ślub.

Jednak teraz już nie wydaje mi się taki wyjątkowy, skoro mają go nosić wszystkie dziewczyny w mieście. Wolałabym założyć perły babci.

Mary O'Connor nie przeszkadzało, że inne młode kobiety miałyby założyć naszyjnik przed jej córką. Martwiła się tylko jednym: jej córka nie była tak podekscytowana tą perspektywą, jak kiedyś.

Mary O'Connor dorastała w rodzinie z wyższej klasy średniej w Williamsville, dzielnicy Buffalo w stanie Nowy Jork. Jej ojciec był radiologiem, matka irlandzką pięknoscią, która paradowała do sklepu w szpilkach i futrze z norek. Mary jako najstarsza z czwórki dzieci i jedyna córka często opiekowała się młodszymi braćmi. Jej życie rodzinne było zdominowane przez mężczyzn.

- Byłam dobrą uczennicą, sportsmenką, przewodniczącą klasy i kapitanem cheerleaderek, ale rodzice rzadko przychodzili na moje szkolne uroczystości. Byli zbyt zajęci wychowywaniem moich braci. Matka rzadko zwracała na mnie uwagę. Kiedy byłam w ostatniej klasie liceum, pomyślałam, że może teraz, ale wtedy znowu zaszła w ciążę. Pamiętam, jak raz przyszła na mój występ. Przyprowadziła mojego młodszego brata. Byłam wniebowzięta widokiem matki na trybunie.

Dziesięć minut później, po zakończeniu układu, podniosłam wzrok i zobaczyłam, że wychodzi. Według niej mój brat zagroził, że będzie wrzeszczał jak opętany, jeżeli nie wyjdą. Wtedy było mi ciężko bez jej pomocy. Poza tym chciałam się nią pochwalić. Była bardzo wytworna.

Sama postępowałam z córką zupełnie inaczej. Była moim jedynym dzieckiem przez dwanaście lat, z których przez cztery byłam samotną matką, i bardzo się ze sobą zżyłyśmy. Uczyłam w szkołach, do których chodziła Karen. Trenowałam jej zespół, kiedy została cheerleaderką. Redagowałam gazetkę szkolną, w której pisała o sporcie. Nadzorowałam jej bal na koniec szkoły. Przetrwałam trzy godziny Duran Duran - a nie jest to moja ulubiona muzyka - żeby Karen i jej trzy przyjaciółki mogły pojechać na koncert do Los Angeles.

Tak samo zaangażowałam się w życie mojego syna. Zawsze opiekowałam się jego drużyną, byłam na każdym meczu. Kiedy w liceum grał w piłkę nożną, rzucałam wszystko, żeby pomóc podczas przedsezonowego „tygodnia w piekle”, kiedy gracze przez pięć dni trenowali, jedli i spali w szkole. Brałam urlop, żeby tam być. Rzucałam na boisko wodę, gatorade (Gatorade - napój izotoniczny.) i pomarańcze. Gotowałam wielkie brytfanny lazanii i ogromne gary makaronu z warzywami dla sześćdziesięciu pięciu chłopców. Robiłam im obiady i kolacje, sprzątałam stoły, ładowałam naczynia do zmywarki.

Chłopcy przywozili z domu materace, na których sypiali. Zobaczyłam, że materac mojego syna wciąż leży w samochodzie, więc mimo że chłopak miał wtedy metr osiemdziesiąt trzy centymetry wzrostu, ważył osiemdziesiąt sześć kilo i był w doskonałej formie, postanowiłam zataścić ten materac do sypialni za niego. Zmagałam się z wielkim materacem, ciągnąc go po ziemi, kiedy minęło mnie dwóch trenerów. Usłyszałam, jak jeden mówi do drugiego:

- Myślisz, że wróci wieczorem, żeby otulić go kołderką?
- Zrobiło mi się strasznie wstyd.

Kiedy mój syn zobaczył, co robię, był upokorzony. Złapał materac, a ja dałam nogę. Wtedy zdałam sobie sprawę, że

jestem nadopiekuńcza. Jednak tak mi to weszło w krew, że nie mogłam się powstrzymać.

Kiedy moja córka chciała kupić dom, wzięłam urlop i całym weekendami pomagałam jej w poszukiwaniach. Przez trzy miesiące praktycznie każdego dnia kontrolowałam z nią budowę domów, analizowałam każdy szczegół. Pomogłam jej wybrać kafelki i podłogi, materiały i meble. Pomogłam w przeprowadzce, rozpakowywaniu i wieszaniu firanek. Zaprojektowałam ogród.

Naprawdę brakuje mi nauczania. Nigdy się nie spodziewałam, że zostanę w obecnej branży dłużej niż kilka lat. Myślę o słowach piosenki Pink Floyd The Dark Side of the Moon: „I pewnego dnia zobaczysz, że masz za sobą dziesięć lat”. Zostałam w tej branży, bo dzięki temu możemy z Karen pracować razem.

Pracowałam przez całe dorosłe życie, najpierw jako nauczycielka, potem właścicielka firmy, ale zawsze byłam przede wszystkim matką. Jeśli moje dzieci mnie potrzebują, nic innego się nie liczy. Wciąż pomagam im obojgu finansowo. Przeżywam związki mojej córki. Chrissie Hyde śpiewała: „Zabierz mnie w swą najczarniejszą godzinę, a ja nigdy cię nie opuszczę. Będę przy tobie”. Tak czuję się jako matka.

Zdaję sobie sprawę, że niańczenie dzieci to moja słabość. Teraz rozumiem, że moja matka, wychowując mnie w taki, a nie inny sposób, dała mi ogromny dar: niezależność. W wieku dwudziestu jeden lat byłam bardziej niezależna niż którekolwiek z moich dzieci. Mam świadomość, że im bardziej niańczę dzieci, tym bardziej puste staje się gniazdo po ich odlocie. A dzieci muszą odchodzić z domu.

Mój syn dostał awans i przeprowadził się do Nevady - po raz pierwszy od dwudziestu ośmiu lat mieszka dalej niż pół godziny drogi od domu. Córka właśnie zaczęła nową pracę -

po raz pierwszy od dwudziestu lat nie pracujemy razem. To wielka zmiana. Tęsknię za nimi.

Kiedy dorastałam, od drugiej klasy podstawówki miałam cudowną grupę przyjaciółek. Zakonnice nazywały nas „Szybką Piętnastką”. Pożyczałyśmy sobie ubrania, powierzałyśmy tajemnice, dzieliłyśmy się radością i łzami. Kiedy moja matka była zajęta moimi braćmi, zwracałam się do przyjaciółek. Minęło czterdzieści lat, a my wciąż pozostajemy w kontakcie i spotykamy się raz do roku.

Teraz, z Jewelią, mam nową grupę przyjaciółek. Dołączyłam do porannych spacerów. Razem z Nancy Huff wykupiłyśmy abonament do teatru. Te kobiety wypełniły w moim życiu wielką pustkę. Kiedyś myślałam, że gdy przejdziemy z mężem na emeryturę, wyprowadzimy się na Florida Keys, ale już tak nie sędzę. Nie chcę zostawiać tych kobiet.

W efekcie kłótni o pożyczanie naszyjnika Mary O'Connor jako była nauczycielka angielskiego chciała tylko, żeby zdefiniowały pojęcie dzielenia się. Nancy Huff zaś zwróciła się do kobiety, którą szanowała i której zdanie ceniła: swojej córki Christen, dwudziestosiedmioletniej studentki szkoły pielęgniarskiej.

- Czy jesteśmy samolubne? - spytała Nancy załośnie.

Pierwszą reakcją Christen na pożyczanie naszyjnika na ślubu była, tak jak w wypadku innych córek, irytacja. Jednak jej złość potrwała tylko pół godziny, dużo krócej niż irytacja matki. Christen odpowiedziała matce wprost:

- Myślę, że tracie z oczu to co najważniejsze. Wydaje mi się, że wy, matki, kłócicie się jak w liceum. Nie ma dla mnie znaczenia, kto nosi naszyjnik. Wciąż chcę go założyć w dniu mojego ślubu i na poród pierwszego dziecka. Chcę mieć go na sobie w ważnych chwilach mojego życia.

Christen zaproponowała, żeby założyły dziennik, w którym każda kobieta zakładająca naszyjnik na jakąś okazję, na przykład na ślub, opíše, co to dla niej znaczyło. Dziennik zagwarantuje, że naszyjnik będzie miał nie tylko historię, ale i duszę.

W powodzi przeprosin Nancy rozesłała mail z propozycją córki, którą kobiety przyjęły jednogłośnie. Christen Huff nie tylko pomogła rozstrzygnąć spór, ale zrobiła to dość pomysłowo i wdzięcznie, by kobiety zyskały pewność, że następane pokolenie także będzie potrafiło się dzielić.

Nazajutrz Patti przeglądała towar w sklepie z upominkami. Znalazła oprawiony w miękką skórę dziennik z delikatnym motywem kwiatów w azjatyckim stylu w kolorze złotym, czerwonym i zielonym, rozkwitających na czarnym tle - idealny dodatek dla Jewelii.

Rozdział trzynasty
Roz McGrath, feministka
Rozbudza świadomość w kobietach

Ostatni spór dał się Jonell we znaki. Musiała sobie coś odpuścić i postanowiła, że zrezygnuje z prowadzenia spotkań. Za dużo mówiła, była zbyt uparta i zaciekle. Jej dominacja nieuchronnie wywoływała konflikty.

- Kto go nosi, ten przewodzi - powiedziała na następnym spotkaniu.

- Świetny pomysł - chwaliła jedna kobieta za drugą. Jonell roześmiała się w duchu. Ciekawe, od jak

dawna o tym myślały? Roz McGrath była następna w kolejce do naszyjnika, więc to ona miała wprowadzić pomysł w życie. Nie mogła się doczekać, kiedy stanie na czele grupy. Wymyśli coś ciekawego. Jako jedna z trzech bezdzietnych kobiet nie mogła słuchać tej całej kłótni o „dzieleniu się”. Wyszła wcześniej ze spotkania i nie czytała późniejszych maili. Brakowało jej czasu na takie bzdury. Miała mnóstwo zobowiązań, z których najważniejszym była sprzedaż swoich produktów na targu. Roz była zapracowaną kobietą.

*

W sobotę o ósmej rano Roz parkuje poobijaną furgonetkę Chevy (rocznik 1976) z napisem „Ekologiczna farma rodziny McGrath” przed targowiskiem na starym mieście w Camarillo. Zakłada fioletowy fartuch na jasnoniebieską kamizelkę i krótką spódnicę w kolorze khaki. Jest drobna i piegowata, ma ciemne włosy i oczy. Wyglądem przypomina trochę Stockard Channing, która łączyła ładną buzię z trudnymi rolami. Roz też jest uosobieniem dychotomii: uprzejma i elegancka w obejściu, ale zahartowana w bojach i brudzie polityki.

Rozwiedziona od jedenastu lat, emerytowana nauczycielka od czterech, współprowadzi rodzinną farmę, z której plony

sprzedaje na ośmiu targowiskach od Ojai po Santa Monica. Jej farma dostarcza też ekologiczne produkty do około trzydziestu luksusowych restauracji w Santa Monica, Malibu i Beverly Hills.

Pięćdziesięcioośmioletni blond atleta, zawodowy nurek i nowa miłość Roz, pomaga jej ułożyć warzywa w dekoracyjnych stosach. Na zadaszanej ladzie rozkwitają fontanny kolorów i kształtów: francuska zielona fasolka, włoskie buraki fero, miniaturowe kolby kukurydzy azjatyckiej, pulchne marchewki, poskręcane, czerwone liście sałaty, młode listki sałaty i szpinaku, czarna rzodkiew, cebulka dymka, pasternak, botwina i truskawki. Mnóstwo truskawek.

- Najbardziej lubię buraki - mówi Roz. - Gotuję je, aż są miękkie, a potem kroję na plasterki i podaję z gorgonzolą oraz orzechami włoskimi.

Z boku głównej lady Roz układa bukiety liliowego zatrwanu, złocistego krwawnika, czerwonych suchokwiatów, kwiatów karczocha i słoneczników.

- Proszę spryskać zatrwan odrobiną lakieru do włosów, wtedy dłużej postoi - radzi klientowi.

Podchodzi starszy pan, żeby kupić fasolę i marchew.

- Dziękuję, młoda damo - mówi. Roz uśmiecha się do niego.

- Proszę bardzo.

Kiedy mężczyzna oddala się na bezpieczną odległość, Roz szepcze:

- Nie cierpię, kiedy ludzie nazywają mnie młodą damą. Nie jestem młoda i nie jestem damą. Jestem kobietą i mam swoje lata. Nie nazywaj mnie tak więc ani nie zadzieraj ze mną. - Uśmiecha się porozumiewawczo. Wie, że ludzie nadal będą ją tak nazywać, a ona dalej będzie się irytować.

Z sąsiedniego stoiska macha do niej sześćdziesięciolatka w wielkim, przystrojonym kwiatami kapeluszu i nagle zauważa coś, co przykuwa jej wzrok. Podchodzi do Roz.

- Masz brylantowy naszyjnik! - woła.

- Tak, to mój miesiąc - żartuje Roz.

- Musiałam podejść, żeby zobaczyć go z bliska. Świetnie pasuje do tego stroju. Nigdy nie zapomnę, jak założyłaś go po raz pierwszy. Nigdy nie widziałam na targu nikogo w takiej biżuterii. W przyszłym tygodniu założę mój podwójny sznur pereł. Zainspirowałaś mnie. Jesteś pionierką.

Roz podoba się to określenie. Pochodzi z rodziny pionierów i sama przez długi czas uważała się za jedną z nich.

W latach pięćdziesiątych dziewiętnastego wieku jej pradziadkowie wyjechali z Irlandii w czasie wielkiego głodu i stali się pierwszymi brytyjskimi farmerami w Hrabstwie Ventura. W najlepszym okresie rodzina posiadała ponad dwa tysiące hektarów ziemi. Dziś najbliższa rodzina Roz - jedna z ostatnich farmerskich gałęzi klanu McGrath - uprawia ekologicznie około tysiąca dwustu hektarów.

Roz była pierwsza pod wieloma względami. Urodziła się jako pierwsza z dziesięciorga dzieci. Po niedawnej śmierci matki została najstarsza w trzydziestotrzyosobowej rodzinie. Wstąpiła do Narodowej Organizacji Kobiet w pierwszych latach jej działania i wykupiła prenumeratę czasopisma „Ms.” („Ms.” - pismo feministyczne.), kiedy tylko pojawiło się na półkach.

Jako była przewodnicząca organizacji California Women for Agriculture (California Women for Agriculture - Kobiety Kalifornii dla Rolnictwa.) była pierwszą kobietą w Ventura County Farm Bureau (Ventura County Farm Bureau - Rolnicze Biuro Hrabstwa Ventura.). Pracowała przy pilotażowym programie, który miał na celu zatrudnianie kobiet w typowo męskich zawodach, jak choćby na polach

naftowych. W 1976 roku została pierwszą dyrektorką wykonawczą Koalicji ds. Walki z Przemocą Domową w hrabstwie. Założyła pierwsze schronisko dla ofiar przemocy w rodzinie. Jako pierwsza z kobiet Jewelii przekonała resztę, żeby to właśnie Koalicja była beneficjentką ich pierwszej zbiórki funduszy.

Trzy razy startowała w wyborach do zgromadzenia stanowego, kiedy kobiety stanowiły tam mniej niż piętnaście procent.

- Startowałam w wyborach, ponieważ jako nauczycielka byłam zła, że stan Kalifornia, który gdyby stanowił odrębny kraj, byłby siódmą najbogatszą społecznością na ziemi, zajmował czterdzieste ósme miejsce w kraju pod względem wydatków na publiczną edukację. To doświadczenie pozbawiło mnie złudzeń. Mężczyźni wciąż dominują w polityce, która nadal jest skorumpowana. Podczas drugiej kampanii moim przeciwnikiem był skrajnie prawicowy ewangelik, który rozkładał po kościołach ulotki przedstawiające mnie jako popierającą aborcję poganę. Oburzałam się, że wykorzystywał w tym celu kościoły. Byłam bardzo naiwna.

Załamalam się, kiedy przegrałam, bo sukces był tak blisko. Poniosłam klęskę mniej niż jednym procentem głosów. Najtrudniej było mi pogodzić się z porażką, bo wygrał taki oferma, którego popierały NRA i Christian Coalition. Poza tym miał dużo mniej doświadczenia ode mnie. Płakałam przez dwa tygodnie. Byłam tak załamana, że musiałam pójść do terapeuty. Potem wróciłam do pracy w przedszkolu i poczułam się lepiej. Mimo wszystko cieszę się, że wystartowałam w wyborach. Spotkałam niesamowitych ludzi, którzy do dziś są moimi przyjaciółmi. Lubię myśleć, że zainspirowałam do kandydowania inne kobiety.

Dużo bardziej zmartwiłam się, kiedy w dwutysięcznym roku Bush wygrał na Florydzie. Czułam, że to nie może przynieść niczego dobrego. Po jedenastym września chciałam wyjechać ze Stanów, przeprowadzić się do Irlandii, ale tu są moje korzenie. Gdy Bush został wybrany po raz drugi, byłam już demokratką w depresji. Grupa pomogła mi przewyciężyć rozpacz spowodowaną wynikiem wyborów.

Nie zajmuję się już polityką, ale gdyby był jakiś sposób, żebym mogła zaangażować się w oskarżenie George'a Busha o uchybienie godności urzędu, zrobiłabym to na sto procent. Wożę w samochodzie ulotki, pomyślałam, że rozdram je kobietom na następnym spotkaniu, zobaczę, jak zareagują.

Uśmiecha się porozumiewawczo.

Pionierzy myślą o przyszłości, więc kiedy Roz po raz pierwszy miała gościć grupę, zorganizowała spotkanie w siedzibie Ventura Community Foundation (Ventura Community Foundation - Społeczna Fundacja Ventury.). Gdyby kiedykolwiek grupa zarobiła jakieś pieniądze, powiedziała kobietom, mogłybyśmy pozostawić w moim imieniu spadek dla polepszenia życia kobiet.

Za drugim razem chciała, żeby grupa pomyślała o życiu kobiet w inny sposób. Ustawiły krzesła w okręgu, Roz usiadła tak, żeby móc wszystkich widzieć. Przez lata prowadziła lekcje, zebrania grup kobiecych i narady, więc poprowadzenie spotkania nie stanowiło dla niej żadnego problemu. Była pewna siebie i spokojna, kiedy łagodnym głosem przedstawiała plan spotkania. W końcu nie przyniosła swoich ulotek. Zamiast tego, jak przystało na nauczycielkę, którą była przez trzydzieści lat, rozdała pisemne ćwiczenie:

„Napisz nazwisko kobiety, żyjącej lub nieżyjącej, która odegrała jakąś rolę w historii, którą podziwiasz. Dlaczego żywisz dla niej podziw? Jaki wpływ wywarła na twoje życie? Czy myślisz, że młodsze pokolenie wie, kim była?”.

- Znajdźcie sobie cichy kąt do pisania - poinstruowała kobiety. - Możecie swobodnie poruszać się po całym budynku. Nie śpieszcie się.

Gdy rozeszły się po kątach, Roz uśmiechnęła się do siebie. To dopiero zabawa: znowu miała swoją klasę.

Kobiety spędziły nad odpowiedziami tak dużo czasu, że gdy oddały je Roz, była już pora iść do domu. Później Roz miała dużo więcej radości z odgadywania, kto co napisał. Większość prac była niepodpisana, ale autorki nietrudno było odgadnąć. Tylko Jonell mogła wybrać anarchistkę Emmę Goldman, „ponieważ anarchia wydaje się najbardziej pozytywną manifestacją równości i inkluzji”. Nieokiełznana kocica na motorze, Mary Osborn, wołała uwielbiającą ryzyko pilotkę Amelię Earhart, która odważyła się wejść w świat mężczyzn. Tina Osborne, nauczycielka w katolickiej szkole, urodzona niedaleko Hollywood, podzieliła swój głos między Marię Teresę i Jackie Kennedy. Frankofilka i smakoszka Dale Muegenburg wybrała Julię Child. Nancy Huff - Condoleezzę Rice, „ponieważ jest wierna swoim zobowiązaniom wobec Busha”, a doktor Roz Warner Hillary Clinton za „wspaniałe inicjatywy w służbie zdrowia”. Wybór Roz McGrath: aktywistka ruchu na rzecz kontroli urodzeń, Margaret Sanger, której zasługą jest „polepszenie warunków życia wszystkich kobiet”.

*

Roz mieszka w czarującym wiejskim domu usytuowanym wysoko na wzgórzu, otoczonym polami truskawek i malin. Wzdłuż podjazdu rosną eukaliptusy i drzewa awokado. W powietrzu czuć zapach magnolii i szaławii. Aż do drzwi frontowych sięga linia brzegowa stawu ze złotymi rybkami. Owczarek pirenejski, Jack Russell terrier, welsh corgi i beagle drepczą z pokoju do pokoju i na patio, ich łapy stukają jak sekcja perkusji. Przestronny, parterowy dom, z imponującym

widokiem na Oxnard Plain, łączy luksus i wygodę: duża, wiejska kuchnia, sufity z belek, celtycka harfa przed kamiennym kominkiem, indiańskie dywaniki, wszędzie zdjęcia oraz książki. Dwadzieścia lat temu Roz spłaciła rodzeństwo i zamieszkała w domu, w którym wszyscy dorastali.

- Dziwnie jest feministce należeć do tej grupy kobiet - mówi Roz następnego dnia po spotkaniu. - Feministki nie miewają brylantów. Książki - owszem. Mam ogromną bibliotekę feministyczną. Kiedy pierwszy raz dostałam naszyjnik, nie wiedziałam, co z nim zrobić. Zapomniałam, że go noszę. Kupuję ubrania w Target. Pomysł posiadania brylantowego naszyjnika wydaje mi się absurdalny. To coś, co Marilyn Monroe nosiła w filmie. Jednak jako narzędzie do zbierania funduszy - to coś innego. Od samego początku widziałam w nim coś więcej niż tylko sznurek błyskotek.

Nie sędzę, żeby większość kobiet w grupie nazwała siebie feministkami. To mnie nie tyle dziwi, ile rozczarowuje. W latach siedemdziesiątych chodziłyśmy innymi drogami. One rodziły dzieci, a ja pisałam magisterkę.

Rodzice wpoili mi przekonanie o wartości edukacji, o tym jak ogromny ma wpływ na nasz los. Byłam dobrą uczennicą, ale w college'u oblałam etykę. Na egzaminie mieliśmy wyjaśnić, dlaczego aborcja i homoseksualizm są moralnie naganne. Napisałam: „Nie potrafię, ojcie, a ojciec?”. Automatycznie dostałam jedynkę. To by było na tyle, jeśli chodzi o katolicką edukację. Myślałam, że chrześcijanie powinni uczyć tolerancji.

Byłam hippiską, ale nie wyrzutkiem. Myślałam alternatywnie. Nauczyłam się tego od mojej angielskiej matki. Jako obywatelka brytyjska kwestionowała amerykański punkt widzenia w każdej sprawie: od broni po środowisko. Była dużo bardziej liberalna niż jej amerykańscy przyjaciele.

Po college'u nie chciałam zostać tylko żoną jakiegoś mężczyzny. Czułam, że mam ważniejsze powołanie. Poszłam na kursy podyplomowe i zrobiłam specjalizację z „Edukacji bez względu na płeć”. To wtedy zostałam feministką. Północna i Południowa Kalifornia są jak dwa różne stany, kobiety tutaj nie pamiętają, czym był ruch wyzwolenia kobiet. „Feminizm” to wciąż groźne słowo, co mnie smuci, bo wszystkie wspieramy feministki.

Myślę, że kluczem do życia jest edukacja. Żałuję, że nie napisałam doktoratu ze studiów kobiecych. Wtedy nie było to możliwe, a teraz nie chcę już tego robić. Doktorat pochłoniąłby cały mój czas, a ja chcę uprawiać ogród, pisać, malować, grać na harfie i bawić się z psami. Po huraganie Katrina zgłosiłam się do Czerwonego Krzyża - to powinnam teraz robić. Pracowałam przez całe swoje dorosłe życie i już nigdy nie chcę mieć posady na pełny etat. Poza tym dzięki doktoratowi nie poczułabym się lepiej. Byłabym z siebie dumna, gdybym napisała lub namalowała coś, co by po mnie pozostało.

Już kiedy miałam dwadzieścia kilka lat, wiedziałam, że nie chcę ani nie potrzebuję dzieci, by wypełniły mi życie. Bycie rodzicem to praca na pełny etat, od której nie ma odwrotu. Patrzyłam, jak rodzice zmagają się z potrzebami dziesięciorga dzieci. Widziałam, jak moja matka cierpi i wciąż się zamartwia. Wiedziałam, że ja pragnę czegoś innego. Prawdopodobnie ta decyzja wywarła największy wpływ na moje życie. Dzięki niej miałam więcej czasu, energii i pieniędzy, które mogłam poświęcić dla dobra innych. Nie żałuję tego. W moim życiu zawsze były dzieci: uczniowie, siostrzeńcy, bratankowie, chrześniacy, dzieci przyjaciół. Wychowywanie jest ważne dla dobrego samopoczucia nas wszystkich i mam nadzieję, że zostanę zapamiętana jako dobry wychowawca.

Zawsze wierzyłam w wybieranie mniej uczęszczanych dróg. Dlatego zgodziłam się na naszyjnik - to była mniej uczęszczana droga.

Mimo że jako grupa pochodzimy z różnych miejsc pod względem kulturowym, socjalnym i politycznym, jako kobiety możemy działać razem dla osiągnięcia wspólnego celu. Nauczyłam się, że nieważne, czy jesteśmy republikankami czy demokratkami, katoliczkami czy pogankami, nasze cele jako kobiet są podobne: zebrać pieniądze, które coś zmienią w naszej społeczności, polepszą życie innych.

Jesteśmy produktem wychowania, najbardziej liberalnego wychowania dziewcząt w historii ludzkości. Teraz mamy okazję wykorzystać nasze dary i zrobić coś dobrego. Każda liczba ma swoją moc i tym razem trzynastka okazała się szczęśliwa.

Rozdział czternasty
Eksperyment
Tworzy własną historię

Maggie Hood spała tylko sześć godzin, ale obudziła się pełna zapału do rozpoczęcia medytacją pierwszego całodziennego wyjazdu grupy. Zrobiła postępy w poznawaniu kobiet. Umówiła się na lunch z Jonell i Priscillą. Kobiety zgodziły się, żeby rozpocząć wyjazd od medytacji. Spotkania w kościele metafizycznym Maggie zawsze zaczynały się od medytacji, którą uwielbiała. W ten sam sposób rozpoczynała swoje zajęcia fitness.

Poprzedniego wieczoru przygotowywała się przez trzy godziny. Zapisała każde słowo, starannie wybrała muzykę. Ćwiczyła na głos. Spór o „dzielenie się” jeszcze nie poszedł w niepamięć i chciała, żeby medytacja ukoїła nerwy. Wiedziała, że dostała szansę, której nie mogła zmarnować. Nie chciała, żeby wymknęły się jej słowa, które mogłyby kogoś obrazić. Zadzwońiła do starszej siostry Patti, Kathleen, żeby poprosić o radę.

Kathleen Morris, terapeutka, służyła grupie licznymi talentami przy wielu okazjach, ponieważ kochała swoją siostrę, znała Jonell od lat i wspierała każde przedsięwzięcie, które zawierało słowo „możliwości”.

Towarzyszyła Jonell w dniu, w którym ta kupowała naszyjnik, wypisywała identyfikatory i zbierała datki podczas zbiórek funduszy, pomagała przygotować wesele syna Priscilli i doradzała Jonell przed spotkaniami. Była tak hojna i mądra, że kobiety nazwały ją „honorową członkinią Jewelii”.

Kathleen miała krótkie siwe włosy i szczerą twarz. Podobnie jak Patti, uśmiechała się chętnie i często, a jej oczy wtedy lśniły.

Kobiety poprosiły Kathleen, żeby poprowadziła ich sesję wyjazdową, podczas której chciały rozmawiać o przyszłości.

W pokoju klubowym swojego domu Kathleen ustawiła czarne metalowe krzesła w półokrąg, a Patti ozdobiła pomieszczenie białymi i purpurowymi liliami oraz lawendowymi peoniami, po czym zapaliła podgrzewacze z uspokajającym olejkiem lawendowym. Siostry przygotowały kawę, sok i świeże owoce.

Kobiety zaczęły zjeżdżać się o ósmej piętnaście z muffinkami i ciastkami. Farmerka McGrath przyniosła miskę dopiero co zerwanych truskawek. Razem z jedzeniem kobiety wniosły energię dobrą niczym nektar.

Zaraz po dziewiątej Maggie włożyła do przenośnego odtwarzacza płytę „Gentle Landscapes”. Ubrana w czarny strój do ćwiczeń, usiadła przed reżyserskim krzesłem Kathleen. Denerwowała się, że zapomni słów, ale była podekscytowana. Uwielbiała prowadzić medytacje. Rozłożyła ramiona, po czym położyła ręce elegancko na kolanach, aby przyjąć pozycję z jogi. Rozluźniła mięśnie. Przy wtórze miękkich dźwięków indiańskich fletów i piszczałek zaczęła mówić:

- Zamknijcie oczy, głęboko wciągnijcie powietrze. Poczujcie obecność Ducha, miłość, spokój, harmonię i to, co nas łączy... Przychodzimy do tego bezpiecznego miejsca, by w pełni wyrazić siebie... Przynosimy akceptację, zrozumienie i, przede wszystkim, miłość... Jesteśmy tu dzisiaj, aby razem osiągnąć coś, co jest większe niż każda z nas osobno.

Wyobraźcie sobie, że siedzicie na brzegu rzeki...

Powoli, ostrożnie, Maggie poprowadziła kobiety do miejsca wolnego od zakłóceń i dyskomfortu, oceny i

krytycyzmu. Nancy wierciła się na swoim krześle. Priscilla sięgnęła do torebki po różaniec. Po piętnastu minutach Maggie zakończyła medytację:

- Teraz spójrzcie w wodę i zobaczcie odbicie każdej kobiety w grupie, ujrzyjcie ich miłość, mądrość i hojność. Zostawiamy wszystko, co nie służy wyższemu dobru. Stoimy na skraju wody, czujemy się wolne i lekkie, oczekujemy na progu przyszłości i marzeń. Kiedy otworzycie oczy, popatrzcie na twarze otaczających was kobiet. Zobaczcie współczucie i pokrewieństwo. W miarę rozwoju wypadków będziemy wspierać się nawzajem miłością ...

Maggie otworzyła oczy. W pokoju panował kompletny bezruch. Nigdy wcześniej nie widziała tak cichej grupy.

- To było piękne, Maggie - powiedziała Jonell, a inne poparły ją słowami: „to było wspaniałe”, „tak”, „dziękujemy ci”.

Maggie się uśmiechnęła. Jej skóra lśniła, tym razem od psychicznego wysiłku. Twarze kobiet powiedziały jej, że użyła właściwych słów. Została wysłuchana.

- Mamy kształtować przyszłość - powiedziała Kathleen. - To rodzi pytanie: co jest potrzebne, żeby ta grupa spełniła twoje oczekiwania?

Kobiety odpowiadały jedna po drugiej: aktywne słuchanie, wspólna wizja, komunikacja, delikatność, szacunek, zaufanie.

Poranna dyskusja toczyła się wokół „metod pracy”, popołudniowa wokół wizji na przyszłość.

Gdy każda wypowiadała swoje zdanie, wychodziły na jaw jaskrawe różnice między nimi. Jonell patrzyła na grupę, którą stworzyła, i czuła się na przemian zaskoczona, pełna nadziei, wzruszona i sfrustrowana.

Założyła grupę, w której - jak miała nadzieję - skupią się kobiety o podobnym sposobie myślenia, jednak odkryła, że każda z nich miała inny powód, by kupić naszyjnik, z których

każdy różnił się od motywacji Jonell. Jonell nie szukała przyjaciółek, wsparcia ani siostrzanych uczuć. Przyjaciółki lgnęły do niej przez całe życie - najlepszym dowodem było czternaście sukni druchen w jej szafie. Dla niej ten eksperyment miał charakter polityczny, chciała w taki sposób zmanifestować swoje zdanie na temat konsumpcji, materializmu i kurczących się zasobów Ziemi. Od początku widziała w naszyjniku sposób na wprowadzenie w życie swoich utopijnych poglądów.

Jonell nie chciała zmienić swojej wizji. Chciała zmienić zdanie wszystkich innych.

Eksperyment odmienił kobiety, ale w inny sposób, niż oczekiwała.

Chciała, żeby grupa miała większą świadomość, czytała więcej książek. Niektóre kobiety powiedziały otwarcie: „nie”.

Chciała, żeby grupa chodziła na marsze pokoju. Republikanki zjeżyły się i powiedziały: „nie ma mowy, nigdy w życiu”.

Chciała, żeby grupa wspierała działania feministek. Niektóre kobiety zaprotestowały: „nie, inne akcje także”.

Chciała, żeby grupa myślała globalnie. Niektóre powiedziały: „nie, dom jest najważniejszy”.

Wyobrażała sobie niekonwencjonalny eksperyment społeczny. Nie wzięła pod uwagę różnorodności kobiet, nie przewidziała konfliktów.

Jednak to konflikt był kluczem. Spór prowokował kobiety do myślenia o tym, kim były, i co było dla nich ważne w życiu. Konflikty zmuszały je do bardziej precyzyjnego definiowania swoich wartości, do powiedzenia głośno, co będą, a czego nie będą wspierać. Grupa stała się lustrem, odbiciem tego, kim były i - być może - chciałyby być.

Niektóre ściszyły donośne głosy, inne wzmocniły łagodne. Niektóre wyrażały swoje zdanie po raz pierwszy. W

bezpiecznej społeczności kobiet każdy głos stawał się coraz prawdziwszy.

Jonell od początku miała silny głos i nigdy nie bała się wyrażać swoich opinii. Demonstruje je - dosłownie - na swoich ubraniach, lodówce, ścianach garażu. Jedno z jej ulubionych powiedzeń sformułował Tom Robbins: „Kto macha rękami, może pofrunąć”. Teraz boryka się - chociaż paradoksalnie sprawia jej to przyjemność - z przedstawieniem swojego punktu widzenia kobietom, które stały się na tyle silne, by pokonać ją w dyskusji. Każdy charyzmatyczny przywódca potrzebuje ludzi, których pociągnie za sobą, ale kobiety Jewelii już nie chcą za nikim iść.

Wbrew sobie Jonell także się zmieniła. Nauczyła się tego, z czego w końcu muszą zdać sobie sprawę wszyscy silni ludzie: że ma ograniczenia. W trakcie odkrywania granic odnalazła nową siłę: umiejętność kapitulacji. Żeby zachować swoją wizję, utrzymać jedność grupy, nauczyła się sztuki kompromisu. Zrozumiała, że potrafi się dostosować. Teraz lepiej rozumie inne z jej ulubionych powiedzeń: „nie wierz we wszystko, co myślisz”.

Jonell nie ściszyła głosu, wciąż oręduje na spotkaniach w swoich sprawach, ale zmieniła kierunek. Chciałaby pisać felietony dla gazety w Venturze pod tytułem „Szampańska socjalistka”.

- Zamiast wpychać listę lektur grupie, która nie chce być klubem książki - mówi - powinnam pójść tam, gdzie ludzie chcą się uczyć.

Szerokie zainteresowania Jonell sprawiły, że zastanawiała się nad kursami z planowania miejskiego, polityki i gerontologii, jak również z architektury, archetypów, poezji i filozofii. Zdarza się, że w jednym tygodniu idzie na wykład z teozofii, odczyt poezji erotycznej i spotkanie Downtown Organization. Dyskutuje o pomysłach, które czerpie ze stosu

naukowych książek przy łóżku. Co wieczór ogląda „Charlie'ego Rose'a" (Charlie Rose - amerykański dziennikarz, który od 1991 roku prowadzi telewizyjny talk - show.). Jej umysł nigdy nie przestaje pracować, szukać powiązań.

- Chciałabym pracować dla społeczności - mówi. - Wiem, że powinnam zmienić zawód. Gdy widzę, jak otwarte były kobiety na ten eksperyment, jak miasto przyjęło go z otwartymi ramionami, czuję, jakbym mogła zrobić wszystko.

Jonell jedzie obejrzeć posiadłość za sześć milionów dolarów na Sadle Peak Road w Malibu. Dokumentacja obiecuje pięć hektarów na szczycie wzgórza z długim, prywatnym podjazdem prowadzącym do nowoczesnej willi z panoramicznym widokiem na miasto. Jonell uwielbia prowadzić i nie przestaje mówić podczas jazdy siedmioletnim, srebrnym mercedesem po krętych kanionach. Opowiada, że z natury jest oszczędna, w domu ma głównie meble i dzieła sztuki, które dostała od matki. Jednak kupiła sobie „ładny" samochód, bo wozi klientów do „ładnych" miejsc. Syn nazywa ją „jedyną rewolucjonistką, która jeździ mercedesem".

Jonell ma na sobie miękkie sztruksy w kolorze szaławii i luźny sweter od J. Jill w tym samym odcieniu. Jej strój jest klasyczny i niczym się niewyróżniający, a słowa prowokacyjne i pełne zapału.

Opowiada o swoim piętnastoletnim małżeństwie. Od dziesięciu lat mieszkają z mężem osobno i spotykają się w weekendy.

- Oddzielne mieszkanie pozwala nam korzystać ze wszystkich zalet intymnego związku: mamy bliskość, bezpieczny seks, randki, jeśli przyjdzie nam na nie ochota, bez codziennych problemów domowego życia - tłumaczy. - Podtrzymuje romantyzm i daje nam tematy do rozmowy. Miło jest mieć mężczyznę w życiu, ale on nie jest mi potrzebny

przez cały czas. - Uśmiecha się łobuzersko. - Trochę jak brylantowy naszyjnik.

Opowiada o córce, która wyprowadza się z domu, co oznacza, że Jonell po raz pierwszy od dwudziestu ośmiu lat będzie sama.

- Z kim będę rozmawiała? - pyta.

Śmieje się, ale jej śmiech jest podszyty troską.

Wskazówki, jak dojechać do odległej posiadłości, są dość ogólne, ale Jonell nie traci głowy, kiedy dwa razy gubi się i przez godzinę kluczy dwupasmową drogą między stromymi kanionami, pokonując zabójcze zakręty. Gdy w końcu dojeżdża do willi w Malibu, przechodzi szybko przez pokoje, po czym zadaje agentowi pół tuzina pytań. Kwadrans później jest już w drodze powrotnej do Ventury.

Po godzinie parkuje na wschodnim krańcu miasta, gdzie znajdują się należący do Jonell i jej matki mały park przyczep, cztery niewielkie domy i sklep spożywczo - monopolowy na rogu. Świętej pamięci ojciec Jonell był przedsiębiorcą, który wykazał się sprytem i w 1964 roku otworzył sklep z alkoholem nieopodal pól naftowych, na których roiło się od ośrodków przemysłowych.

Jonell występuje tu w roli właścicielki odbierającej czynsz.

- Cześć, Bob. Jak się masz?

- Dobrze.

- Jak ci się podoba nowy kolor tamtej przyczepy? Tę pomalujemy w przyszłym tygodniu.

- Pewnego dnia zamienisz to miejsce w komunę - mówi Bob.

- Tu już jest komuna - odpowiada Jonell.

Idzie szybko, ale przystaje, żeby pogawędzić z każdym, kogo spotyka.

- Cześć, Charlie, jak leci? Masz swój plaster? Starszy mężczyzna siedzący w ogrodowym fotelu

podciąga rękaw, żeby pokazać plaster antynikotynowy.

- Palilem przez sześćdziesiąt pięć lat, zacząłem, kiedy miałem piętnaście - mówi. - A teraz rzuciłem.

- To wspaniale, Charlie. Cudownie. Jestem z ciebie dumna. Trzymaj tak dalej.

Przyczepy z blachy falistej, ceramiczne żaby i plastikowe flamingi na trawnikach to coś całkiem innego niż południowokalifornijskie wille, ale Jonell czuje się tu tak samo u siebie, jak w Malibu.

Odkąd zaczęła pracować w nieruchomościach, opowiada, dużo myślała o domach i o tym, gdzie mogłaby zamieszkać, kiedy nie będzie już potrzebowała domu dla całej rodziny. Często fantazjują z innymi członkiniami Jewelii, że pewnego dnia zamieszkają razem w parku przyczep - oczywiście gruntownie odnowionym. W tym marzeniu mają jeden wielki telewizor, jedną wannę z gorącą wodą i jeden ogród.

- Przedstawiałam tę wizję mężczyznom i kobietom - mówi Jonell - ale kobietom bardziej spodobał się ten pomysł. Dlaczego miałybyśmy się wprowadzać do jakiegoś ośrodka z obcymi ludźmi, skoro możemy mieszkać z przyjaciółmi?

Jewelina okazała się „próbą na sucho” wspólnego mieszkania. Jeśli możemy dzielić się naszymi rzeczami, to możemy podzielić się wszystkim.

Posiadanie jest przereklamowane. Powinniśmy więcej się dzielić. Bogactwo jest indywidualne, dzielenie się - kolektywne. Nie jesteśmy tym, co posiadamy. Jesteśmy tym, co robimy, komu pomagamy i co potrafimy zmienić na świecie. Na początku grupa miała bardzo ograniczony punkt widzenia na dzielenie się. Wydaje nam się, że kiedy się dzielimy, coś oddajemy, dostajemy mniej. Ale im szersze kręgi obejmował nasz dzielnik, tym głębsze stawało się nasze

doświadczenie. Dzięki dzieleniu się zyskałyśmy o wiele więcej. Jeśli dalej będziemy to robić, dóbr Ziemi wystarczy dla wszystkich. Dzielenie się to naprawdę droga do szczęścia.

Wśród kobiet Jewelii znalazły się przyjaciółki, krewne i obce osoby. Z czasem stały się rodziną. I jak to w rodzinie, ich odmienne osobowości ścierają się ze sobą, co czasem sprawia trudności.

Mimo to grupa jest zwarta, zaangażowana nie tylko w pożyczanie sobie lśniącego naszyjnika, ale i wzajemnie w swoje życie. Przez ostatnie trzy lata kobiety poznały swoje rodziny i zaczęły się o nie troszczyć. W codziennych e-mailach piszą o sukcesach dzieci, matkach w szpitalu, chrztach i micwach wnuków. W cyberprzestrzeni dzielą się żartami, inspirującymi opowieściami, prośbami i modlitwami. Proszą doktor Roz o poradę medyczną, a Jone o pomysły dekoratorskie. Bezustanne pogaduszki mailowe, które zwabiły Priscillę na pierwsze spotkanie, pozwalają im uczestniczyć nawzajem w swoim życiu, odsunąć dzielące je różnice postaw i pogłębić tolerancję.

Wiedzą, że ich przyjaźń przetrwa. Nie wiedzą, jak rozwiną się jako grupa. Nie mogły przewidzieć tego, co już się wydarzyło. Mają nadzieję, że spotka je więcej niespodzianek. Jonell wyobraża sobie grupę międzypokoleniową, dwukrotnie liczniejszą, o szerszym zasięgu. Uważa, że - głównie dzięki Patti - mogą stać się jeszcze większą siłą w społeczeństwie.

- Jewelia nas ośmieliła - mówi. - Jako grupa jesteśmy o wiele silniejsze niż jako jednostki.

Jednym z ostatnich celów działalności charytatywnej było adoptowanie przez grupę Gale Levesque, pięćdziesięciodwuletniej bezdomnej, która desperacko szukała pracy. Kobiety kupiły jej telefon komórkowy z zapasem minut na pół roku, bilety autobusowe na dwa miesiące i dwa tygodnie noclegów w Ocean View Motel. Jonell pomogła jej

napisać CV i zawiozła na pierwszą rozmowę. Gale dostała pracę na pół etatu i szuka drugiej posady. Nazywa siebie „czternastą siostrą”.

W ostatnie święta Bożego Narodzenia kobiety Jewelii odkryły, że kuchnia w domu tymczasowego pobytu Armii Zbawienia jest zupełnie pusta. Wyśmienita kucharka Dale poprosiła ośrodek o listę potrzebnych rzeczy i grupa wypełniła szafki garnkami, patelniami oraz drobnym sprzętem kuchennym. Tabliczka „Kuchnia Jewelii” upamiętnia imię fundatorki. Patti bezustannie szuka w mieście nowych potrzebujących.

- Dzięki Jewelii stałam się bardziej świadoma tego, co posiadam ja, a czego nie mają inni - mówi. - Teraz widzę różnicę między wydaniem pięciuset dolarów na torebkę a nakarmieniem bezdomnych.

Dzisiaj kobiety rzadko kiedy rozmawiają o naszyjniku, który jednak wciąż pojawia się w rozmowach innych ludzi. Wieść o nim rozeszła się i brylanty zaczęły żyć własnym życiem.

Albert Garibay, pięćdziesięciosiedmiolatek, emerytowany zastępca szeryfa Ventury, szukał prezentu na dwudzieste dziewiąte urodziny swojej córki Jenny. Była taka cudowna, gdy pomagała mu w opiece nad jego sędziwą matką, że chciał wymyślić coś wyjątkowego. Co mógłby jej podarować, żeby pokazać, jak bardzo ją docenia? Płytkę? Ma ich już cały stos. Bluzkę? Nawet on wiedział, że to zbyt banalny prezent. Widział, jak Jenny przeglądała katalogi Tiffany'ego z biżuterią, na którą nie było jej stać. Słyszał, jak mówiła o brylantowym naszyjniku, i widział, jak wpatrywała się w niego na ślubie Van Gundy. Śledziła historię naszyjnika, czytając o nim wszystko, co zostało napisane. Nigdy nie sądziła, że mogłaby założyć taką biżuterię, pomyślał Albert,

ale jak mogę wyobrazić sobie to, czego ona nie mogła, a to, co mogę sobie wyobrazić, mogę też zrealizować.

Zadzwoił do Priscilli Van Gundy, którą znał od lat - chodzili do jednej klasy w podstawówce, a potem pracowali w więzieniu stanowym.

- Chciałbym poprosić cię o przysługę - powiedział. O dziewiątej rano, w dzień urodzin Jenny, Albert, jego żona, matka, Priscilla i Tom Van Gundy zaskoczyli Jenny wizytą w przychodni, gdzie pracowała jako asystentka.

- Wszystkiego najlepszego od Jewelii - powiedziała Priscilla i otoczyła szyję Jenny brylantami. - Dzisiaj należy do ciebie.

Jenny zalała się łzami. Albert też się rozplakał. Wiedział, że znalazł idealny prezent.

Pół roku później Jenny wciąż zachwyca się urodzinowym prezentem.

- Wiem, że to tylko biżuteria - mówi - ale razem z nią rodzice podarowali mi chwile, które przeżywa się tylko raz w życiu.

Na drugim końcu kraju, w Cudjoe Key, trzydzieści dwa kilometry od Key West, Judi Gibbs dzwoniła do sąsiadki Mary O'Connor za każdym razem, gdy ta przyjeżdżała do miasta.

- Masz naszyjnik? - pytała.

Wizyty obu kobiet na Florydzie często się pokrywały, ale ani razu nie miało to miejsca tego miesiąca, w którym Mary nosiła naszyjnik. W końcu, po dwóch i pół roku, Mary O'Connor zadzwoniła do przyjaciółki i sąsiadki.

- Mam naszyjnik - powiedziała - i jest ze mną kilka kobiet z grupy.

Judy Gibbs, pięćdziesięciodziewięcioletnia emerytowana nauczycielka księgowości, była tak podekscytowana, że natychmiast zadzwoniła do członkiń swojej grupy kobiecej, Divine Divas, po czym zaprosiła je do siebie, by poznały

kobiety z Ventury i zobaczyły z bliska brylantowy naszyjnik. Cztery godziny później dziewięć Div powitało pięć kobiet Jewelii. Gdy tylko weszły do domu, Mary zdjęła naszyjnik.

- Co robisz? - zapytała Judi.

- Zdejmuję naszyjnik, żebyś ty mogła go założyć - odpowiedziała Mary i podała brylanty przyjaciółce.

- O rety! - zawołała Judi. Podskoczyła do góry, popędziła do lustra i znowu zaczęła skakać. - O, rety! - Odwróciła się do Mary. - Myślałam, że przyniesiesz go w futerale i będziemy na niego tylko patrzeć. Nigdy sobie nie wyobrażałam, że go założę! - Znowu pobiegła do lustra. - Muszę się przebrać!

Judi szybko udała się do sypialni, zamieniła białą, bawełnianą koszulę z kołnierzykiem i długimi rękawami na wydekoltowaną koszulkę na ramiączkach.

- O, rety! - powtarzała bez przerwy, znowu pobiegła do lustra, z uśmiechem tak szerokim, jak u Carol Channing, do której była podobna.

Podczas gdy Judi tańczyła po pokoju, Divy, w wieku od pięćdziesięciu do osiemdziesięciu dwóch lat, zasypywały kobiety z Ventury pytaniami: w jaki sposób się dzielicie? Jak zbieracie fundusze? Czy możemy założyć grupę - córkę?

W końcu brylantowy naszyjnik stał się symbolem, jednak nie bogactwa i statusu, ale pragnień, które przekraczają granice kultur i pokoleń, powiązań wykraczających poza czas i miejsce. Być może nie da się uciec od kultury materialnej, ale trzynaście kobiet z Ventury, w stanie Kalifornia, udowodniło, że można ją kształtować na własnych zasadach.

Kobiety Jewelii przemieniły oznakę przywileju w symbol humanitaryzmu. W ten sposób napisały od nowa opowieść o pragnieniu.